

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń — Janvier 1952

INSTYTUT



LITERACKI

Oświadczenie w sprawie nowej emigracji

Oświadczenie w sprawie nowej emigracji, które zamieściliśmy w poprzednim numerze „Kultury”, zostało podpisane dodatkowo przez następujące osoby:

I. M. BOCHENSKI O.P., Waleria FUKSA, Paweł HOSTOWIEC, Konstanty A. JELEŃSKI, Janusz KOWALEWSKI, Wanda i Wacław KOZŁOWSCY, Wiktor OSTROWSKI, Józefa RADZYMIŃSKA.

Noty biograficzne autorów

Jeanne HERSCH, urodzona w Genewie w r. 1910. Studia w Genewie, Heidelbergu, Freiburgu-en-B i Paryżu. Dyplom w r. 1931. Studiowała łacinę, literaturę i filozofię. Jej przewodnikiem i mistrzem jest Jaspers. Od roku 1933 do chwili obecnej wykłada w Ecole Internationale w Genewie (łacina, literatura francuska, filozofia). W r. 1946 doktorat z literatury w Genewie. W r. 1947 — Privat-docent na uniwersytecie w Genewie. Obecnie pracuje naukowo w Paryżu. Ważniejsze publikacje filozoficzne: „Les images dans l'œuvre de Bergson” (1931, praca dyplomowa); „L'illusion philosophique” (1936, tłumaczone na włoski); „L'Etre et la Forme” (1946, praca doktorska); inne publikacje: „Temps alternés” (1942), „Le centre d'éducation”, „Foyer de la culture générale de l'ouvrier” (1944), „Le problème de l'élite ouvrière” (1947). Tłumaczenia dzieł Karla Jaspersa: „La culpabilité allemande” (1948), „Nietzsche et le christianisme” (1950), „Introduction à la philosophie” (1951); w przygotowaniu „La foi philosophique”.

Józef-Maria URSYN, ur. w 1914 na Wileńszczyźnie, studia uniwersyteckie w Warszawie (dyplom magistra praw) i w Grenoble (Hautes Etudes Supérieures en droit). Przed wojną urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

W czasie wojny — kampania we Francji, potem, dwa lata pobytu w Afryce. W 1944 mianowany zostaje oficerem łącznikowym przy SHAEF. Po zakończeniu działań wojennych przydzielony zostaje do Oddziału Propagandy i Prasy przy 2-gim Korpusie.

Przed wojną współpracował jako krytyk literacki i publicysta w szeregu pism: „Bunt Młodych”, „Polityka”, „Czas”, „Podbiptęta”, „Dziennik Poznański” itd. Od wojny współpracuje z szeregiem polskich pism emigracyjnych.

Ostatnio wydał w Paryżu u Calmann-Lévy po francusku powieść pt. „Torricola”.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Literatura „Obleźzonego Miasta”

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

Tymon Terlecki napisał doskonały artykuł pt. „Literatura na Emigracji”. W szkicu tym czytamy m. in.: „Literatura na emigracji nie zrozumiała sensu emigracji, nie ogarnęła wyobraźnią i uczuciem jej patosu, przeznaczenia, konieczności historycznej — oto diagnoza”. A w innym miejscu Terlecki zauważył: „...literatura na emigracji nie uwierzyła w swoją własną rację istnienia. Nie wierząc w nią, sama oczywiście nie była zdolna narzucić jej nikomu”. („Wiadomości”, Nr 295).

O ile diagnoza, postawiona przez autora, jest bezspornie słuszna, o tyle, wydaje mi się, zbyt wielkim uproszczeniem obarczać odpowiedzialnością za chorobę wyłącznie samego pacjenta. Terlecki sądzi bowiem, iż: „powody, że ta literatura jest taka, a nie inna, że choć mogłaby coś znaczyć — znaczy nie wiele — leżą nie poza nią, ale w niej samej”.

Nie wydaje mi się, żeby tak było. Myślę, że przyczyny, iż literatura emigracyjna „jest taka, choć mogła być inna” leżą w równej mierze poza nią co i w niej samej.

Literatura emigracyjna jest taka jaka jest emigracja. Literatury nie można ani zrozumieć ani osądzić w oderwaniu od społeczeństwa i epoki, która ją wydała.

Terlecki stwierdza, że literatura emigracyjna „nie zaangażowała się” i „przez neurotyczną odmowę zaangażowania, zawisała ona pośrodku, między emigracją z którą nie chciała dzielić całego losu, a Krajem”.

A czy emigracja jest „zaangażowana”?

Z kim i z czym jesteśmy związani — z jakim ruchem, czy prądem?

Myślę często o słowach Piłsudskiego — cytowanych wielokrotnie — o owym „przystanku niepodległości”. Dziś nie pamięta się o tym, że Piłsudski wysiadł wprawdzie na „przystanku niepodległości”, ale nie wysiadł wcześniej! Dopóki nie dotarł do tego przystanku, zarówno on, jak i „jego” ludzie „zaangażowani” byli w wielkim, międzynarodowym, rewolucyj-

1957 W 1497/3

P9486 Chr. Aich

nym ruchu. Piłsudski swą akcję niepodległościową wiązał mocno z rzeczywistością, wiązał z najbardziej dynamicznym prądem epoki, z nurtem stulecia.

My zaś, jesteśmy wygnańską sektą, która zbudowała sobie na obcej ziemi kapliczkę na kształt i podobieństwo owego "przystranku" dumnego wodza. I trwamy w rytualnej czystości zakonu.

Nasi wodzowie to nie są "zaangażowani" bojowi przywódcy, którzy by wiązali naszą sprawę i politykę z dynamiką prądu przebudowy Europy i świata — lecz to są tylko kapłani, którzy strzegą litery prawa zakonu i wyrokują na temat ortodoksyjnej czystości egzegezy.

W miarę jak oddalamy się od Września — kostnieją coraz bardziej przepisy emigracyjnego koranu i rośnie przepaść pomiędzy nami, a światem niewiernych. Wszystko co wywieźliśmy z Polski zaczynamy traktować za prawdy objawione, których nikt nie jest władny ani zmienić, ani zdjąć z listy dogmatów.

Wprawdzie nie ma u nas opinii publicznej, ale wszystko pokrywa ortodoksyjny konformizm. Wylamanie się z tego konformizmu jest niemal równoznaczne z wystąpieniem z sekty.

Kanonem konformizmu jest zasada: "nie czas dziś na...". Nie czas na krytykę, nie czas na inicjatywę, nie czas na dyskusję. Może najlepiej ujął to Hemar, który się wyraził, że on sam natychmiast przejdzie do opozycji, ale... jak rząd osiadzie w Warszawie. Dziś nie czas na to.

Przebywając na Zachodzie sami sobie nałożyliśmy kaganiec, a wolność wielbimy tylko w przemówieniach na rocznicowych akademiach. Broń Boże w praktyce i na co-dzień!

Naszą postawę charakteryzuje psychologia obłąconego miasta. W odniesieniu do wszystkiego obowiązuje u nas stan wyjątkowy w permanencji. Niczego nie wolno, na nic nie jest czas. Przede wszystkim niczego nie wolno zmieniać. Przetrwać, to znaczy zachować nienaruszony "status quo". Przetrwać to znaczy donieść do wolnego Kraju ową "Arkę Przymierza", która, według emigracyjnej wiary — zdeponowana jest w naszych rękach. Choćbyśmy nic nie zdziałali, a nawet nie próbowali czegoś dokonać — to i tak, jak kiedyś wrócimy z tą "arką" z wygnania, naród powita nas kwiatami. To jest nasza mistyka.

Konformizm narzucony został z góry. Rządzący, rytuałem tym zapewniają sobie nietykalność na czas trwania stanu wyjątkowego, a obowiązki swe redukują do strzeżenia "arki". My zaś — tzw. szary tłum emigracyjny za cenę przestrzegania przepisów zakonu, kupujemy poczucie spokoju, które zagodzi nasz kompleks winy. Płacąc szylinga miesięcznie na Skarb Narodowy i "skupiając się wokół legalnego rządu" — jeżeli wolno użyć sakramentalnego zwrotu — emigrant zdobywa oficjalne stwierdzenie, "że trwa na posterunku". W niczym interesie nie leży burzenie tej harmonii. Nie leży ani w interesie

sie tych, co sprzedają te narodowe "odpusty", ani nie leży w interesie tych, co tak łatwo mogą je nabyć.

Ów skostniały konserwatyzm grupy, która swój rodowód wywodzi od spiskowca, rewolucjonisty, bojowca, burzyciela starego porządku europejskiego — jest czymś zdumiewającym. Widocznie istnieje jakieś prawo, które powoduje, że pogrobowcy burzycieli reakcyjnych imperiów są z reguły biurokratami, którzy schedę wodza duszą pod zielonym sukniem, a natchnienie przerabiają na slogany. I tak kończy się rewolucja, a zaczyna — reakcja.

Jesteśmy reakcyjni, bo uważamy się nie tylko za uchodźców z niepodległej Polski, ale i za uchodźców z Europy "ancien régime". Jesteśmy reakcyjni, bo na wzór po-carskiej rosyjskiej emigracji jesteśmy białą emigracją, która swą sprawę wiąże nie z postępem i rewizją, lecz przeciwnie, z dążeniem do przywrócenia "status quo ante". Jesteśmy reakcyjni, bo w tej epoce przełomowej zamiast być awangardą postępu, jesteśmy stróżami mauzoleum skostniałych doktryn.

Przed kilku tygodniami 33 wybitnych Amerykanów — wśród nich Joseph Grew, William Philipps i generał Marshall — opublikowało list otwarty do narodu amerykańskiego, domagając się całkowitego zespolenia polityki zagranicznej i gospodarczej państw atlantyckich. Politycy ci proponują stworzenie jednej, naczelnej instytucji, której podlegałby gen. Eisenhower jako dowódca armii atlantyckiej.

Czy jest do pomyślenia, by wśród polskich polityków na emigracji znalazło się 10 — wśród nich generał, który w naszych wymiarach stanowiłby podobny autorytet co gen. Marshall — którzy by podpisali list otwarty do emigracji apelując o stworzenie federacji narodów Europy środkowo-wschodniej i występując z konkretnymi propozycjami powołania wspólnej reprezentacji politycznej?

Wydaje mi się, że w emigracyjnym układzie taka inicjatywa jest nie do pomyślenia. Dlaczego? Bo apel taki byłby herezją z punktu widzenia konformistycznego "Credo", którego fundamentem jest zasada: żadnych zmian. Świat się może zmieniać — my się nie zmieniamy i co najsmutniejsze poczytujemy sobie to za objaw "krzepy".

Historia zna tylko dwa typy emigracji politycznych. Pierwsza kategoria to ludzie, którzy uciekają z kraju przed reakcją i decydują się walczyć o wolność i postęp zagranicą. Emigracja polityczna drugiej kategorii rekrutuje się z ludzi, którzy uciekają ze swego kraju przed naporem rewolucji. Emigranci polityczni tej kategorii marzą zagranicą o restaurowaniu reakcji we własnym kraju.

Sens historyczny i polityczny ma tylko pierwszy typ emigracji. Piłsudski, w okresach gdy przebywał zagranicą, był klasycznym przykładem emigranta politycznego pierwszej kategorii. I my jesteśmy emigracją polityczną tej samej kategorii

co Piłsudski. Uważamy, że w naszym kraju rządzi agentura reakcyjnego, moskiewskiego stalinizmu i zdecydowaliśmy się pozostać zagranicą, by móc prowadzić walkę o wolność dla naszej ojczyzny. Ale w tym punkcie analogia się kończy. Carskiej Rosji Piłsudski przeciwstawiał wręcz rewolucyjny program i ideologię.

A co my przeciwstawiamy stalinowskiej reakcji, która dla- wi nasz kraj? Jaką rewolucję, jaki program reform?

Zastanówmy się spokojnie. — Polska 20-lecia nie była mo- że, w pełnym tych słów znaczeniu, państwem demokratycznym. Ale postęp był widoczny na wszystkich polach i gdyby Histo- ria ofiarowała nam jeszcze drugie dwa dziesiątki lat niepod- ległości — stalibyśmy się z całą pewnością nowoczesnym, de- mokratycznym państwem.

Gdyby ktoś obcy, obserwując instytucje polityczne polskiej emigracji chciał na tej podstawie wyrobić sobie pogląd o Pol- sce 20-lecia — dojść by musiał do zupełnie fałszywych wnio- sów. Fałszywych i krzywdzących. Albowiem Polska 20-lecia była wzorem postępowości w porównaniu z instytucjami emi- gracyjnymi. Najbardziej BBWR'owskie wybory, były szczytem demokracji i kultury parlamentarnej w porównaniu z proce- durą powołania członków IV Rady Narodowej. Ale ktoś może zauważy, że na emigracji łatwiej jest mianować niż wybierać. Sięgnijmy zatem po przykłady z innych dziedzin. Rzućmy okiem na naszą wolną prasę. Ureakcyjniamy się powoli i dla- tego nie zdajemy sobie w pełni sprawy z tego procesu. W cał- kowitym odcięciu i izolacji, nasz nacjonalizm wirując w miej- scu zagęszcza się jak na centryfudze i przybierać zaczyna ka- rykaturalne formy.

W Polsce przed wojną ten nacjonalistyczny, bizantyński ma- nieryzm stylu, owe "krzepy", "pięcia się wzwyż", "ani jednego guzika" i klasyczne "byczo" — równoważone były prężnym, nie-konformistycznym duchem opozycji i ciętej krytyki.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Czy byłoby do pomyśle- nia, by w dawnych "Wiadomościach Literackich" obok re- woltującej, zjadliwej co-tygodniowej kroniki dawnego Słonim- skiego — pod fotografią żyjącego (chwała Bogu!) pisarza, umieszczono podpis w takim stylu: "znakomitemu pisarzowi — niezłomnemu i nieustraszonemu szermierzowi sprawy pol- skiej".

Naprawdę brakuje tylko wzmianki o "przedmurzu Chrze- ścijaństwa".

W dzisiejszych emigracyjnych "Wiadomościach" takie pod- pisy umieszcza się pod bezpretensjonalnym zdjęciem wybitnego pisarza, który pozuje do obiektywu z miłym uśmiechem.

Czy byłoby do pomyślenia, by w dawnych "Wiadomościach Literackich" ukazał się artykuł polityczny w takim stylu: "Or- nizacja Narodów Zjednoczonych jest pomiotem nieprawego ganizacja Narodów Zjednoczonych jest pomiotem nieprawego wieckim małpoludem. Zaczęło się od potwornego łajdactwa na

miarę łajdactw mocarstw rozbiorecznych itd., itd. ("Wiadomo- ści", Nr 277).

Taki podpis pod fotografią, jakby skopiowany z szarfy na wieńcu zdobiącym trumnę z doczesnymi szczątkami prowin- cjonalnego odczonego działacza — w przedwojennych "Wia- domościach" mogłyby się ukazać tylko w Camera Obscura. Ta- kie kwiatki byłyby przed wojną natychmiast wylapane i wy- kpione, choćby przez tegoż Hemara, który dziś może się i uśmiechnie, ale natychmiast powie sobie: "Nie czas!"

W całej tej sprawie nie chodzi o styl w sensie literacko- stylistycznym, lecz o przyczynę, która leży u źródła tego proce- su. Przyczyną jest konformizm. Każdy konformizm — lewy czy prawy — dąży do ujednolicenia — narzuca powszechnie obowiązującą gramatykę sloganów i sugeruje styl, który jest zasadniczą manifestacją prawomysłowości. (W cytowanym wy- jątku publicystycznym "Wiadomości" wystarczyłoby zmienić sowieckiego małpoluda na "amerykańskiego małpoluda" — by cały ustęp mógł być żywcem przedrukowany przez "Trybunę Ludu").

To wszystko byłoby tylko śmieszne, a nie groźne, gdyby istniał równoległy bunt przeciwko konformizmowi. Gdyby wy- bitni pisarze na emigracji zdawali sobie sprawę z faktu, że zasada Hemara — choć zapewne najszlachetniej pomyślana — jest katastrofalnie błędna! Nigdy nie było nam trzeba bar- dziej niż dziś — ducha krytyki, odwagi myślenia i odwagi pi- sania. Nigdy nie była bardziej na czasie jawna dyskusja, za- cięta polemika, krytyczna, rewizjonistyczna postawa duchowa. Czy reakcji stalinizmu w Polsce chcemy przeciwstawić jedy- nie nasz totalny konserwatyzm i wypływający z niego kon- formizm, który jest zdradliwym surogatem jedności? (Jesteś- my wprawdzie jednolici — ale nie zjednoczeni).



Oto jest klimat, który stanowi zaplecze naszej emigracyjnej literatury. Kardynalnym grzechem tej literatury jest jej nie- zdolność do buntu. Wszelki konformizm jest jałowy i bezpłod- ny. Ludzka kultura od Sokratesa po Bertranda Russella jest dziełem partyzantów, bojowników i nie-konformistów.

Konformizm przemienia literaturę i publicystykę w oficjal- ną propagandę.

Literatura emigracyjna zaakceptowała bez sprzeciwu narzu- cone z góry moratorium na krytykę i rewizjonizm. Przyjęła za- sadę, która prowadzi do nikąd: "dziś nie czas na..." Nie czas na program, nie czas na rewizję przeszłości, nie czas na kon- trolę lamusu naszych haseł społecznych i politycznych — nie czas na nic, co nie jest obroną i pochwałą "status quo". Li- teratura emigracyjna nie wskazuje, nie prowadzi, nie świeci, nie powoduje fermentu.

Dyplomowani i nieustraszeni "szermierze" literaccy piszą je- dynie dla "pokrzepienia serc" i... pokrzepienia samych siebie.

Piszą w kółko jedno i to samo, uprawiając swoistego rodzaju ideologiczno-sloganową kołowaciznę.

Jak w każdym ustroju konformistycznym — tak i u nas literatura ucieka od spraw zasadniczych. Kto nie chce być "szermierzem" i powtarzać w kółko tych samych oklepnych komunałów — ucieka od tzw. spraw zasadniczych i pisze o zagranicznej literaturze, o teatrze, o filozofii, względnie kreśli swe wspominki. To są tematy bezpieczne. Trudno znaleźć nakładcę, ale jeżeli już to tylko na "dreszczowiec" patriotyczny z okresu powstania warszawskiego, lub na powieść historyczną z epoki stanisławowskiej.

Wszystkie rady, sądy konkursowe, komitety, fundacje itp. obsiedzione są przez kartel "szermierzy" i szanse przedarcia się przez tę "żelazną kurtynę" są równe zeru. Ci panowie chwalać jedni drugich, przyznają sobie nagrody i zapewnijają się nawzajem o swej znakomości. Poza kartelem nie istnieje oficjalnie polskie piśmiennictwo.

Tłum czytelnicy na emigracji ma dość tych wszystkich Dumasów, Orzeszkowej czy Fiedlerów, którymi częstują go uporczywie polskie księgarnie i czeka... wciąż jeszcze czeka na prawdziwe, autentyczne wydarzenie literackie. Na książkę polską, która stanowiłaby przełom.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Po ogromnym powodzeniu w Anglii

(w ciągu 2 tygodni sprzedano przeszło 1.000 egz.)

ogłaszamy i my subskrypcję na 2-tomową powieść,

Romana Orwida-Bulicza

JESLI JUTRO WOJNA...

Pierwsza relacja naocznego świadka, podana w formie pasjonującej powieści o stosunkach, panujących w dzisiejszej Polsce. Czytelnik zetknie się w niej z wiernym opisem scen, na które patrzył autor własnymi oczami. Zobaczy sylwetki żołnierzy i oficerów sowieckich, ich rabunki, gwałty i zbrodnie.

JESLI interesujesz się Krajem, JESLI chcesz wiedzieć w jakich warunkach muszą żyć Twoi bracia w Polsce, JESLI chcesz wiedzieć jak odbywa się wkraczanie Armii Czerwonej do "wyzwalanego" kraju, JESLI chcesz znać prawdę, to jeszcze dzisiaj wyślij zamówienie wraz z należnością do "LIBELLI", bo nigdzie indziej książki tej nie kupisz.

KSIĄZKA UKAŻE SIĘ W LUTYM 1952 r.

2 duże tomy. — Cena w subskrypcji: we Francji fr. fr. 1.300; w Belgii fr. bel. 190; w innych krajach dolarów 4.

Zamówienia i należności wysyłać do

"LIBELLA"

SKŁADNICA KSIĄZKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis-en-L'Île, 12 — PARIS (IV^e)

(Numer konta pocztowego C.P. Paris 5651-50).

Risum teneatis...

OD AUTORA.

"Risum teneatis" niech będzie odpowiedzią tym, którzy gniewają się na „Trans-Atlantyk”. Wprawdzie już Wittlin wziął mnie w obronę — i bardzo szlachetnie. Ale powiastka niniejsza nie jest obroną; jest raczej próbą określenia tego dramatu, czy też tej groteski, jaka tworzy się między wami a mną. Niech was nie drażni że piszę o sobie — nie zapominajcie, że pisząc o sobie, piszę o was.

A poza tym: cóż wam przyjdzie z całego krasomówna piosarzy, jeżeli ci ludzie, zabierając głos publicznie, będą sparaliżowani tym sztucznym, konwencjonalnym stosunkiem, jaki dziś urobił się na gruncie tysiąca nieszczerości między publicznością a literaturą. Wszak, choćby chcieli, nie wam istotnego ani własnego powiedzieć nie mogą — gdyż muszą występować w roli, którą wy im narzucacie. Chcecie aby wasza literatura szła naprzód z życiem? Jak to się stać może, jeżeli będziecie wymagać od autora, aby on był drugim Gide'm, lub nowym Żeromskim, albo — wedle wzorów z tamtej strony — żeby wam recytował to co usłyszeć pragniecie? Literatury nie wymyśla się „z głowy” — ona rodzi się w żywym obcowaniu piszącego z masą odbiorców, we wzajemnym kształtowaniu się i przetwarzaniu — i dlatego autor musi wywalczyć sobie prawo do własnego sposobu bycia wobec was... do tego, aby między nim a wami powstał stosunek autentyczny, pełen napięcia i zdolny wyzwolić mające urodzić się słowo.



Niech nikogo nie zdziwi, że zacznę od następującej niejadalnej przypowieści. Oto (piszą stare kroniki) jeden z babilońskich królów, pragnąc shańbić pojmanych do niewoli wódzów, zaprosił ich na biesiadę, gdzie nieszczęśnikom podano talerz... hm... talerz... jakby to rzec... talerz, o, talerz... nie, za nic nie powiem, jaka ohyda i hańba widniała na owym talerzu zemsty, przemocy i upokorzenia. O zgrozo zgroz, jak mówi Poe! Pojmani wodzowie byli mężami w pełnym znaczeniu tego słowa wytrawnymi, którzy z niejednego pieca chleb jedli

— widząc tedy, iż wszelki opór byłby złamany torturą, o to już tylko się troszczyli aby, w obieżach tej wstrętnej przygody, uratować swą cześć rycerską, droższą im nad wszystko. Postanowili oni zjeść to co im dano, ale nie chcieli, aby szła ich to co będą jedli. I podczas gdy jeden, spożywając ową rzecz straszną, wybuchnął ordynarnymi wyzwiskami, opowiadał sprośne anegdoty i śpiewał także piosenki, a jadł jak cham, jak wieprz, jak ordynus (gdyż pragnął własną ordynarnością opancerzyć się przeciw tej ordynarności), drugi jadł mądrze, rozumnie, ba, intelektualnie nawet, jadł z pełną świadomością Zagadki Bytu, z najgłębszym znawstwem wszelkich tajników natury i tak, mądrze i głęboko jedząc, usiłował Rozumem wzbicie się ponad talerz... Inny zaś wydał pierś i jadł jak bohater, jak męczennik Sprawy, a nawet zaśpiewał pieśń patriotyczną i krzychał: honor! Lecz inny starał się jeść z prostotą... normalnie... naturalnie... jakby to był szpinak, jakby to, panie, bo ja wiem, co robić, trzeba zjeść, nie da rady, a życie jest życiem. Ale inny jeszcze popadł w najstraszliwsze szale, w najdziwniejsze, mistyczne i metafizyczne gesty i zakłęcia, którymi chciał przeobrazić siebie oraz swe jedzenie w Coś Innego, przecoczyć siebie w inny wymiar i stać się czymś ponad i poza... A inny próbował jeść pozytywnie i jadł, szukając dodatniego sensu, jadł po obywatelsku, z przekonaniem, że spełnia swój obowiązek i że jednostka musi poświecić się dla Zbiorowości. Niestety! Niestety! Daremny trud! Próżny wysiłek! Cokolwiek by nie uczynili — g...! I jakiegokolwiek by nie były ich zakłęcia — g...! I wbrew wszystkiemu g..., g..., g...! Więc znowu szukają! Znow w inne popadają konwulsje! Innych próbują Sposobów Jedzenia! Lecz g..., g..., g...! I znowu innych szukają min, sposobów, postaw! Lecz g...!

I tu nie kończy się moja zjadliwie womitarna anegdota. Gdyż — pomimo ciężkiej, brutalnej przewagi nieustępliwej materii — do dziś szukamy owego Sposobu Jedzenia, który by nam pozwolił spożywać nieludzkość, jaką częstuje nas życie, bez uszczerbku dla naszej ludzkości. I nie dziwicie się: im bardziej zwiększa się okropność życia, tym gwałtowniejsze staje się poszukiwanie, tym bardziej kurczowa staje się twarz nasza.

Po tym wstępie mogę już przejść do mego opowiadania... a raczej do moich zwierzeń.

Mieszkam tu, w Buenos Aires, nieco jak na księżycu i w ciągu wielu lat tutaj spędzonych oddaliłem się od spraw polskich — tych doraźnych i codziennych. Ale ostatnio traf zdarzył, że zetknąłem się z Polakami, przybyłymi z Francji i Anglii, wśród których odnalazłem niejednego dobrego znajomego z dawnych, przedwojennych czasów. Oblicza ich wyłoniły się jak sprzed topu i stały się kluczem, który otworzył mi wrota rodzinnego domu, dawnej siedziby mojej. Poszliśmy nad rzekę i tam, usiadłszy przy stoliku małej, portowej restauracji pod drzewami —

ex-ułan, ex-inżynier, ex-rejentowa, ex-hrabina oraz niżej podpisany — zagaiłmy rozmowę naszą. I rzekła ex-rejentowa: Tu jest dość przyjemnie.

Po wstępnych wyjaśnieniach — gdyż ci przybysze, nie wiedząc o mnie nic, nie wiedzieli też do jakiej zaliczyć mnie grupy, z jaką związać ideologią — ale ja wyjaśniłem, że jestem sam, sam jak palec i że pragnę pozostać sam, zupełnie sam, póki tylko to nie będzie karane więzieniem, albowiem uważam siebie za powołanego do wypowiadania tylko prywatnej prawdy i jestem jedynie rzecznikiem pojedynczego człowieka, a wielkość i siłę literatury upatruję właśnie w tym, że stanowi ona jednak i pomimo wszystko wypowiedź jednostki, tej paskalowskiej, myślącej trzciny — po wstępnych tedy wyjaśnieniach zaczęliśmy gawędzić, popijać, zajadać i ja, Gombrowicz (niejasną treść zawiera to słowo), uważniej spojrziałem im w oczy. Na pozór... wcale dobrze wyglądali, dobrze się miewali... O, cóż za wdziek! O, jakaż żywość, jakaż temperament i dawne nasze polskie powiedzonka, dawne z Warszawy, z dworu wiejskiego dowcipy! A stolik nasz triumfalnie huczał i bzyczał polskością, aż dziwiły się inne stoliki! Zawołał rotmistrz: — Lusiek, dali go, rrym! Zawołał inżynier: — Psiakość! Psiakrótka!

Jednakowoż, im dzielniej, huczniej wykrzykiwali, im silniej popijali, im głośniej dźwięczeli, tym bardziej fatalny a nawet złowrogi był efekt tych dźwięków i coś przykrego, coś wprost ponurego zaczęło się piętrzyć wokół nas... albowiem wszystkie te polskie słówka były wprowadzie smaczne, soczyste, ale były ex-słówkami... i całe to polskie wzięcie, polski szum, polskie dyskusje, rozmowy były ex, ex... było to było, świętej pamięci, umarłe, ci zaś ludzie już tylko powtarzali siebie, a głos ich obco, dziwnie i dziko brzmiał na brzegu milczącej Ameryki, był on jak ryba wyrzucona z wody na ten brzeg, o, był jak ryba wyjęta z Polski! Polskość ich była wciąż ta sama, zda się, nie-spożyta, ale wskutek prześlancowania jej na obcy, cudzoziemski teren stała się jakaś martwa, tak, mogła straszyć po nocach jak widmo. I szczerze przyznam, iż — w pierwszej chwili — odkrycie tej śmierci napełniło mnie uczuciem wielkiego zadowolenia, a nawet triumfu. Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! Oto dawna swojskość, zadufana w sobie, pewna siebie, która tak się znęcała nade mną, dla której ja — wówczas młody, bezbronny literat — byłem "dziwakiem", "wariatem" lub "degeneratem", oto cała ta ciasna, swojsko-sarmacka uroda jak karp złapany na wędkę, jak pstrąg na patelni! A inżynier wyzuty z fabryki, ułan wyzuty z konia, rejentowa wyzuta z rejenta, jak balony w powietrzu, jak cienie, wspomnienia!

Ale niedługo trwała nędzna moja uciecha. Powaga tego faktu — dramat tej polskości — zaraz mnie podnieciły, gdyż na te właśnie załamania i upadki formy jestem wybitnie wrażliwy, a nawet mógłbym powiedzieć, że są to sprawy z mojej specjalności. A że jednocześnie sam byłem zmuszony uczestniczyć

w rozmowie i słyszałem, jak na moich ustach jawi się ta sama śmierć polskiego stylu, więc rzecz ta zaniepokoiła mnie nagle do największego stopnia — a poczucie bezpośredniego i nieuchronnego z tymi ludźmi związku czyniło mnie aktorem tej tragicznej farsy, bijącej w niebiosy. I zarazem dawne moje warszawskie, sandomierskie zwroty wracały mnie przeszłości i trup mej mowy odmładzał mnie — ale była to już uszminowana młodość — i tak w tej igrającej ze śmiercią kakofonii, w napięciach bolesnej zgrywy, w zgrzytach sztucznie żywotnej gawędy zaczynałem czuć się coraz bardziej „nieswojo”. To zaś iż stawiałem się „nieswoj”, to jest „cudzy”, to jest może tych ludzi z którymi siedziałem, sprawiło że straciłem wszelką równowagę i otworzyłem się znowu, zawstydzającym fermentom i mętom, temu wszystkiemu co już, jak mi się zdawało, dawno pozosta-wiłem za sobą.

— Lusiek, gdzie ty to stawiasz, Lusiek, bój się Boga! — wołano tymczasem nad stołem, bawiąc się salaterkami i talerzykami.

Pochyliłem głowę...

Ale moje pochylenie głowy nie było już zrównoważone; było krańcowe — i przesadne jakieś — i niedostrojone... I gdy z jednej strony było inteligentnym, nawet eleganckim pochyleniem głowy, z drugiej było to już pochylenie ciemne i sfermentowane... Risum teneatis! Risum teneatis, mówię! Bo ja pochyliłem głowę jak Wielki Pisarz Narodu mojego!

I brnąć w moje pochylenie głowy, pochyliłem głowę! Oczy moje „z bezmierną głębią”, z „natężeniem” objęły ich wszystkich, a „Duma, Szlachetność i Upór” pojawiły się w całej mej postaci. Risum teneatis! Risum teneatis! Bo na widok tej nędzy, tego wstydu, tego konania naszego zapragnąłem bronić — bronić ich i mojej godności — wyzwolić ich z męczarni fałszu — o, sprawić aby głos ich znów silnie, prawdziwie zadźwięczał! Do diabła, o, do diabła, o, do diabła! Mamże ja, Gombrowicz, oglądać jak dom mój, rasa moja, na psy schodzą?

Ja, Gombrowicz. Ale cóż za Gombrowicz? I jakto — Gombrowicz? Tak (risum teneatis), ja w obliczu tych współziomków moich poczułem się naprawdę Wodzem duchowym narodu, niemal Mickiewiczem jakimś. Lecz przecież byłem tylko Gombrowiczem! I gdy z jednej strony nie mogłem się oprzeć niesłychanej „szlachetności” mojego uczucia, z drugiej szlachetność ta mnie ośmieszała — gdyż przecie nie byłem do niej upoważniony, nie, nie miałem prawa... Ale powstrzymajcie śmiech, proszę, gdyż zaraz wykażę wam, że głupstwo moje nie było tak zupełnie głupie. Pomówmy spokojnie. Dlaczegoż nie pomówić spokojnie? Przede wszystkim doskonale i w pełni byłem świadomy, że moja pretensjonalność jest właśnie następstwem owego załamania się formy między nami — a nawet świadomość z jaką oddawałem się mojej głupocie i to, że dobrowolnie i na zimno pograżyłem się w sferę tak wątpliwych mętów, to wszystko, mówię, stało się dla mnie źródłem jakiejś nowej mądro-

ści, wyższej od tej, którą utraciłem. Lecz weźcie też pod uwagę że my, Polacy, jesteśmy bardzo wrażliwi na Wielkość i że ona nam bardzo imponuje, nawet o niej śnimy — nie dziwnego zatem, że w polskim gronie nawiedził mnie ów sen o wielkości. Ale musicie też wziąć pod uwagę, że jestem, a przynajmniej chcę być artystą, pisarzem, i że człowiek w moim położeniu jest skazany na pretensjonalność... gdyż sztuka jest zaprzeczeniem przeciętności i, jeśli nie jest wielka i wybitna, w ogóle jej nie ma... stąd zaś każdy kto jest kandydatem na artystę musi być, tym samym, kandydatem na wielkiego, wybitnego męża. Trywialność, z jaką dzisiaj redukuje się ludzi sztuki do skromnego wymiaru zwykłych dostarczycieli wrażeń estetycznych lub nauczycieli w ludowej szkółce, nie zdoła przesłonić dramatycznego oraz głębokiego pragnienia każdego, najlichszego nawet artysty, aby przetworzyć się w wiecznotrwałą wartość i zbudować własny swój posąg. To prawda, iż obecnie panujące poglądy nakazują artyście ukrywać się z tymi ambicjami i w myśl tego kanonu przyzwoitości winien on zapomnieć o sobie, poświęcić się bez reszty swemu dziełu i w ogóle zachowywać się nader skromnie, jakby wcale nie zamierzał „wywyższyć się” ponad innych i narzucić im szacunek i uwielbienie dla swojej osoby. Poza tym ta współczesna artystyczna filozofia dość sumarycznie załatwia się z problemem wielkości, uważając — tak może dałoby się to ująć w skrócie — że „albo się jest wielkim albo się nie jest, a jeśli się nie jest, to święty Bóg nie pomoże i kwita”. Ale właśnie w tym punkcie zachodzi między mną, a moimi kolegami po piórze, zasadnicza różnica zdań, albowiem ja twierdzę, że najistotniejszy dla sztuki i artysty jest właśnie sam proces stawania się, że żaden z nas nie jest Wielki, ani Utalentowany, ani też Skończony, i że właściwiej byłoby określić artystę jako Niedojrzałego, który pragnie być Dojrzałym, Przeciętnym, który aspiruje do Nieprzeciętności i Głupca, który stara się być Mądrym. Z czego wynikałoby, że mechanizm tych naszych, rzekomo wstydlivych i niedozwolonych, osobistych ambicji winien być obnażony i że jawnie powinniśmy wystąpić we właściwej nam roli kandydatów na wybitnych ludzi. Ale ta koncepcja artysty, jako czegoś pośredniego między niższością a wyższością i między dojrzałością a niedojrzałością, czyniła mnie może bardziej podatnym głupstwu i bodaj wskutek tego z większą niż inni łatwością wpadałem w dzieciństwo. Nie należę do tych, którzy od razu, z miejsca są dorośli; dorosłość moja polegała na przezwyciężaniu mej niedorodłości.

Ale to nie wszystko — i posunę się jeszcze o krok dalej w mych zwierzeniach. Zaklinam jednak: risum teneatis!

Gdyż, poza tym co wyżej powiedziałem, istniało też pewne prawdopodobieństwo, że ja rzeczywiście jestem wybitnym człowiekiem. Nie będę tu, rzecz jasna, powoływał się na własną moją pewność (pewność, która nigdy mnie nie opuszczała choć teoretycznie znałem całą jej „niepewność”), że zaliczam się do

garstki ludzi w kulturze naprawdę poważnych (a to nie dlatego, abym był poważny, lecz właśnie dlatego, że byłem tak bardzo świadom własnej niepowagi). Pomimo jednak, iż nie napisałem w ciągu mego życia więcej niż kilka utworów, zdarzało mi się od czasu do czasu, że ktoś przepowiadał mnie i moim książkom zwycięstwo i triumf... i ten, uważacie, znikomy oddźwięk, ta skąpa pochwała już wystarczały, aby udzielić memu przeświadczeniu o własnej wielkości (risum teneatis) prawa do bytowania i paradowania w obiektywnym świecie. Tak niewiele potrzeba istotnej ambicji! I dlatego moja duma wytrzymywała ciosy upokorzeń — i znosiłem dość dobrze nie tylko nędzę materialną i wszystkie dolegliwości pisarza, skazanego na pracę w obcym i obojętnym środowisku, ale też lekceważenie tuzinkowego konsumenta sztuki, dla którego słowo "sztuka" ma przede wszystkim wartość obiegową i rynkową i który zupełnie jest nieprzygotowany myślowo do zrozumienia sztuki jako ryzyka, walki i jako tworzenia.

Risum teneatis! Ale, skoro już tyle powiedziałem, więcej powiem. Miałem przeświadczenie (dopuszczając, teoretycznie, możliwość pomyłki), że nie jestem jako pisarz przypadkowym zjawiskiem na tle obecnego załamania się i przełamania polskości; owszem, byłem pewny, że nikt bardziej ode mnie nie nadaje się do tej katastrofy i że słowa moje, mój ton, moje poglądy, mój sposób ujęcia nie tylko są bezpośrednim wyrazem naszego zmagania się z losem, ale przysparzają duchowi polskiemu nowych środków walki i wzmagają jego odporność, dojrzałość. Nie, nie byłem tylko zwykłym piewcą, "poetą" od pisania wierszy albo powieściopisarzem — myśl moja usiłowała posunąć się naprzód, świat mój wylaamywał się z dotychczasowego świata polskiego, zrywał on z tradycyjnym naszym odczuwaniem i w utworach moich ustalała się pewna postawa wobec rzeczywistości, która — jak sądziłem — zapewnić nam mogła większą swobodę ruchów wobec Losu. Na czymże ona polegała? (Dlaczego, właściwie, brałem tak na serio te moje utwory, będące na pozór stekiem nonsensów? Dlatego że w nich objawiało się zaniepokojenie człowieka własną jego formą i potrzeba jej przezwyciężenia... dlatego, że one nie chciały już służyć Formie, ale wręcz kierowały się przeciwko niej.) Opisywałem ja w moich książkach to co widziałem i o czym wiedziałem: to jest świat, w którym człowiek nie może być sobą, gdzie w ogóle nie ma miejsca na idylliczną prostotę, bezpośredniość, naturalność, gdzie nie może być mowy o autentyczności i odpowiedzialności w przyjętym tego słowa znaczeniu — gdzie człowiek nieustannie "stwarza się" w przypadkowych związkach swych z innymi ludźmi, gdzie wszystkie nasze doznania, uczynki tworzą się "między" ludźmi, gdzie uczucie, wiara lub najświętsze, najwłaśniejsze przekonania nie rodzą się z serca, ale zostają narzucone z zewnątrz, na drodze formalnej, poprzez nieustannie deformującą nas Formę. I otóż w kilku słowach można by powiedzieć, że ja naturalnego, pro-

stego człowieka Mickiewiczowskiego i Sienkiewiczowskiego, zanego, sielskiego Sarmatę, bogobojnego, szczerzego Polaka zastępowałem człowiekiem sztucznym, usztywnionym, zniekształconym, bądź sztucznie dojrzałym, bądź sztucznie niedojrzałym, a zawsze zmagającym się ze swoim (lub nieswoim raczej, bo narzuconym) kształtem.

Risum teneatis! Risum teneatis! Dążyłem do tego, aby myśl ta i wizja z dziedziny martwych teoretycznych schematów została przesunięta do rzędu najbardziej żywotnych, naczelnych praw naszych, abyśmy z najwyższą intensywnością doznali w życiu naszym tej wszechwładnie deformującej nas Formy. Może i nieporadnie zmagalem się z ogromem zjawisk, który mi się odkrywał, gdy zaczął urzeczywistniać myśl o sztuczności człowieka i gdy ukazała mi się straszliwa dynamika i bezgraniczność tego człowieka, gwałconego ludźmi. Byłem i jestem zafascynowany demonizmem tego świata, a melodie, które, stamtąd płyną, wydają mi się o wiele bardziej przejmujące niż wszelki inny śpiew sztuki. I właśnie jak powiedziałam, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że wbrew pozorom była to idea, myśl, wizja ściśle polska i jak najściślej związana z obecną naszą katastrofą. Zastanówcie się tylko: jeżeli komuś dobrze się powodzi i jeśli osiąga on w życiu więcej niżby mu się należało, zważywszy jego poziom, uzdolnienie, wartość osobistą i zasługi, to, rzecz jasna, szczęśliwiec taki będzie zawsze skłonny do utożsamienia swej osoby ze swym powodzeniem i będzie on mówił z dumą: ja tego dokonałem, ja to powiedziałem, ja to pomyślałem. Gdy jednak człowiek znajdzie się w takim położeniu, że zmuszony jest żyć nie ponad stan, ale właśnie poniżej swego stanu, gdy ktoś wartościowy widzi się wtrącony przez okoliczności ciężkiej, przygniatającej walki z przeznaczeniem w nędzę i rozpacz, w głupstwo, w śmieszność i w nie-ludzkość i gdy widzi jak jego ja redukuje się, ścieśnia i pomniejsza, to chyba nic bardziej zrozumiałego, że będzie on usiłował oderwać się od skażonej osobowości swojej... I powie o sobie samym: — To nie moje!

Pisarstwo moje zatem nie było niepolskie! Wprost przeciwnie — byłem polski do szpiku kości. Byłem koniecznością na drodze rozwoju polskiego.

Pochyliłem głowę.

Ale rejentowa zanicła "Maliny, maliny" i rotmistrz, nalewając wina, wybijał rytm nogą, a cienka i sucha arystokratka wykrzyknęła: — Do diabła z tą lurą!

Pochyliłem głowę.

To więc miałem im do dania! Tutaj mogłem się przydać. Oto nieodzowne uzupełnienie tak jednostronnego ducha naszego! Czyż bowiem Polacy nie wyróżniali się właśnie tym wśród innych narodów, że byli niesłychanie zakochani w sobie... a także i tym, że bardzo lubowali się w prostocie? Co było tym dziwniejsze, iż w ciągu dziejów my zawsze żyliśmy jakimś anormalnym, konwulsyjnym życiem i w niezdrowym łonie udręczone-

go narodu naszego wzajem siebie wypaczaliśmy... do tego stopnia, iż całe warstwy, środowiska (jak na przykład moje środowisko, ziemiańskie) stawały się narzędziem deformacji i karykatury, układem w którym każdy zniekształcał każdego. A jednak — pomimo owej Deformacji — nigdy sprawa Formy nie została między nami należycie postawiona, zawsze nasze sielskie odczuwanie delektowało się własną "harmonią", a pomimo iż byliśmy i jesteśmy twórcami niesłychanie sztucznymi, nigdy sztuczność nie stała się istotnym problemem ani naszego uczucia, ani naszej myśli. Teraz zaś, gdy świat cały zrzucał maskę dawniejszej fałszywej naturalności swojej, gdy coraz wyraźniej ukazywał prawdziwe oblicze — które było maską — już wzruszająca stawała się naiwność dosłowności naszej!

Podano befsztyki i kartofle, szpinak, jarzynki, sałatkę. I jadła hrabina, jadł rotmistrz, jadł inżynier, jadła rejentowa! Jedli z apetytem! Nieźle sobie wcinali! Sobie jedli, siebie karmili, a to mięso, a to sałatka, kartofel, sobie jeść dawali!

Pochyliłem głowę.

Wykrzyknął rotmistrz: — A cóż to nasz poeta zaniemówił, osowiały siedzi.

Pochyliłem głowę.

Lecz moje pochYLENIE głowy (uporczywe, dumne, szlachetne i nieustępliwe, jak gdyby z wysoka poczęte) zaczynało ich niepokoić i, psując nastrój beztrudnego wieczoru, przymuszało do jakiejś powagi i głębi. W rzeczywistości nie było ono ani poważne, ani dramatyczne, ani też głębokie — było tylko *propozycją* powagi, dramatu i głębi, jak również zawierało w sobie jedynie *propozycję* wielkości. Zbyt przecież byłem rozumny, dojrzały, świadomy, aby na serio brać wielkość swoją. I ja cały byłem tylko propozycją.

Przypuszczam, iż gdzieś tam, w głębi, zdawali sobie sprawę, że z mojej strony to tylko gra. Ale tak mocny był w nich jeszcze szacunek dla wszelkiego wzlotu duchowego, że pod moim duchowym spojrzeniem spłoszyli się, jak kaczki i kury. Lekkość ich rozmowy stała się niemożliwym do wytrzymania ciężarem. Jej fikcyjność, jej nieprawdziwość (podkreślana moim pochYLENIEM głowy), była już zbyt namacalna. I dlatego uderzyli w inny ton, a pierwszy rotmistrz zaczął mówić poufniej i głębiej, jak gdyby czuł jakąś potrzebę usprawiedliwienia się, wykazania swojej racji bytu. I, opisując słowami Weyssenhoffa, Sienkiewicza swoje dzieciństwo na wsi, swoje prace i zabawy, czarował swym ułańskim wdziękiem i pienił się temperamentem, a zarazem błyskał energią, odwagą... ale jednocześnie, nie przestając na tym, jał mówić o swojej miłości Ojczyzny, o ukochaniu Polski i o piękności, wielkości Narodu. Lecz wówczas przerwał mu inżynier: — Nie, nie — powiedział — nie! A cóż za ciasna filozofia! Bądźmy Europejczykami! I, poddając surowej krytyce ciasny patriotyzm polski, jał wykazywać swój uniwersalizm i (nieco może zatracając o Żeromskiego) mówił o swym ukochaniu Człowieka, Postępu,

o wierze w Ludzkość, o pracy inżyniera i lekarza — a mówił tak rozumnie i z taką przenikliwością oceniał współczesne procesy, taką ujawnił znajomość najbardziej nowoczesnych prądów iż trudno było oprzeć się podziwowi dla tego Polaka, zarazem uczciwego i światłego, a też szczerego, prostego. Pochyliłem głowę. A wtenczas ozwała się hrabina — i wyrzucając w górę rączkę, nóżkę, zajaśniała i oczarowała, ach, kilka słówek, żart jakiś, uśmieszek, a w nich złoza najprzedniejszej rasy, długowiekowej kultury... i ta naturalność, ta prostota arystokracji! Lecz rejentowa uderzyła w inną strunę — i pytała, dlaczego ludzie są tacy niedobrzy, dlaczego nie spełniają nakazów Chrystusa, dlaczego męczą, prześladują gdy życie jest piękne dla każdego, kto umie zachować czystość myśli i uczynków. I znów trudno było oprzeć się podziwowi dla tej mądrości serca Polki być może prostej, ale szczerzej, która opierała się na Ewangelii... Pochyliłem głowę.

Pochyliłem głowę.

Rzecz jasna, jeżeli mogłem tak często pochylać głowę, to tylko dlatego, iż nie brałem zbyt na serio mego pochylania głowy. Wszelako (i to postarajcie się zrozumieć), jeśli mogłem nie brać na serio mego pochylania, to tylko dlatego, że z całą powagą świadom byłem mojej niepewności — ja, kandydat, ja, projekt, ja, propozycja. I każde moje pochYLENIE głowy, będąc poważne w swojej niepewności, wymagało drastyczny, niebezpieczny sens tej sytuacji, tutaj, w Buenos Aires, w Argentynie, w tym obcym półmroku, który spowijał miasto i milczącą wodę. Włęcz oni, zdając sobie z tego sprawę, uderzyli w ton jeszcze głębszy. Wyczuwali jakieś zagrożenie. Wyczuwali, że ktoś ich podawał w wątpliwość. Dlatego sięgnęli do najgłębszych rezerw i, broniąc siebie, na gwałt jeli się organizować... a każdy w inny sposób, na innej podstawie. I tak, kawalerzysta za Boga swego przyjął Naród i, głosząc nakaz heroizmu, nawoływał do śmierci za Ojczyznę... i korząc się, upadając na kolana przed Polską, sławiąc ją i uwielbiając, a nawet deklamując Pana Tadeusza oraz Dziady, wywyższał ją ponad wszystko, z niej czynił alfę i omegę swoją. Inżynier natomiast zaczął rozwodzić się nad koniecznością tego, co on nazywał światopoglądem — i w skomplikowanych, a nieco przydługich, wywodach, wykladał jedną po drugiej swe prawdy, które w sumie sprowadzały się do wiary w Postęp. Ale rejentowa pytała, dlaczego szukać innych Bogów, jakby nie było Jedyne. Najwyższego, który jest źródłem wszelkiej mądrości i cnoty. Hrabina zaś przyznawała, że w nic nie wierzy — ale wstydziła się tej niewiary swojej i przysięgała, że pragnie wierzyć, zapomniała, że brak wiary czyni ją niezdolną do czynu i na kolanach błagała, aby jej udzielona została łaska wiary. I wszyscy, wznosząc ramiona ku Niebu (do tego bowiem już doszło pod działaniem mego pochylania głowy), wykrzykiwali na głos swe Absoluty: — Polska! — wołał rotmistrz — Ludzkość! —

wołał inżynier. — Wiara, wiara dla wiary! — wołała hrabina, a rejentowa wołała: — Bóg, Bóg, wiara w Boga!

Pochyliłem głowę.

I to pochylenie wyrażało aprobatę — gdyż rzeczywiście trudno było nie uznać... gdyż słowa ich były rozumne, uczciwe... Ale jednocześnie utrwał się coraz mocniej sens negatywny tego gestu mego, i jakby niezależnie od mej woli. Dlaczegoż to wszystko wciąż nie było jednak przekonujące? Dlaczego rezonans nie był należyty?? Ucho moje chwyciło jakiś niezmierznie subtelny, ale miazdzący, dysonans — być może na tym on polegał, że to co mówili nie było dostatecznie bezinteresowne. Usiłowali oni się *wykazać*. Starali się *dowieść*, że są tacy właśnie, a nie inni. Ten ułan już nie tyle był, ile *chciał być* ułanem, a ta rejentowa zanadto zanadto dobrze знаła wszystkie korzyści świętej ignorancji, ten inżynier z premedytacją był szlachetny i rozumny. Wyglądało to tak, jak gdyby, znając klęskę swoją i czując wokół siebie niechęć złowrogiej i obcej Natury, usiłowali zjednać sobie świat i ludzi fabrykując, produkując cnoty polskie, wdzięki polskie... I stąd nawet ich szczerść i prostota stawały się w gruncie rzeczy nieszczerze, nieproste.

Pochyliłem głowę.

Tak, ta siła słabością była podszyta — to nie była siła, lecz pragnienie siły — ubóstwo znajdowało się na dnie tego luksusu... i dlatego świat Otaczający z niechęcią, może i z ironią, odnosił się do ich słabosilnych zakłęb. Świat ten (który był mi znany, który był przeze mnie wyczuwany), stracił już dawniejszą swoją prostoduszność i stał się bardzo trudny, przenikliwy — ci zaś czytelnicy dawnych autorów, wychowankowie dawnej szkoły, dzieci dawnej Polski usiłowali pozyskać go sobie dawnymi czarami. Jak gdyby nic się nie zmieniło!... Lecz, co gorzej, słowa ich były w sprzeczności nie tylko ze światem, ale i z nimi samymi. Przecież były to wygi kute na cztery nogi i szczwane lisy! Polacy już nie polscy, ale londyńscy, paryscy, z Rosji, z Niemiec, perscy, afrykańscy, których okrutne doświadczenia wypisane były w kącikach ust! Zaiste — znali oni świat! Dlaczegoż niezdolni byli ujawnić swej wiedzy o rzeczywistości? Wszak w tych obozach, więzieniach, w zapale wojennym, w ucieczce, w klęsce, w pościgu objawić się im musiał człowiek nowoczesny. Co się tyczy wiary — wszak mieli sposobność widzieć, jak całe narody sztucznie narzucają sobie wiary po to, aby wzmocnić się do walki. Co się tyczy prawdy — widzieli jak w dzisiejszym świecie na zawołanie fabrykuje się prawdy i jak beżmiernie praktyczny i lekceważący stał się w gruncie rzeczy nasz stosunek do wszelkiej absolutnej wartości. Co się tyczy piękności, wdzięku, poezji — wszak nie mieliśmy już do dyspozycji jednej jakiegóż urody, ale całą skalę rozmaitych piękności, podobnie jak mogliśmy dowolnie wybierać sobie styl, lub nawet istnieć pomiędzy stylami. Odnosił się do szczerści i autentyczności — przecież widzieli jak

człowiek musiał nieustannie przystosowywać się do ludzi, jak ludzie łamali ludzi i ich przerabiali, jak w tym żywiole wzajemnego ludzkiego stwarzania się zatracala się wszelka autentyczność człowieka. Wpływ ten ludzi na człowieka tak był silny i przenikający, że pod jego presją zmieniali się gusty i upodobania — człowiek zachowywał się jakby wbrew sobie, zaczynał kochać to właśnie, czego dotąd nienawidził. Osobnik, niezdolny zabić muchy, stawał się żołnierzem i zabijał, ten kto wstąpił do partii lub znalazł się w określonej grupie ludzkiej, stawał się rzecznikiem tej grupy i do jej interesów przystosowywał całą osobowość swoją, a nawet ci, którzy chodzili jeszcze luzem, co chwila zmieniali się i przetwarzali, zależnie od tego z kim przestawali i wobec kogo, w zależności od kogo się kształtowali.

Pochyliłem głowę.

A za każdym moim pochyleniem głowy wzrastało (tak mi się zdawało przynajmniej), ciśnienie Formy, tej Formy Deformującej, której obecność czułem na sobie i na nich, jak się czuje niewygodne, za kuse ubranie. Forma! Tak, była to Forma! W ten sposób, nie wiem czy szczęśliwy, określałem najbardziej dla mnie zasadniczą cechę tego nowego, a tak dramatycznego świata — wydawało mi się jak gdyby zmieniał się powoli sam nasz stosunek do Formy. Człowiek dzisiejszy nie był już tym sztywnym, określonym, uformowanym człowiekiem z przeszłości — był to człowiek, który się formował, który (choć jeszcze niejasno) zaczynał zdawać sobie sprawę iż własna jego osobowość znajduje się w stanie kształtowania. Zaczynał on rozumieć, że jego najgłębsze, najistotniejsze "ja" nigdy nie może znaleźć bezpośredniego wyrazu, a ta osobowość którą sobie tworzymy, mówiąc "ja jestem taki, takie są moje przekonania takie moje wiary i dążenia i uczucia" jest raczej kompromisem pomiędzy światem wewnętrznym i zewnętrznym, jest po prostu Formą, która rodzi się między nami a innymi ludźmi jako coś *trzeciego*, coś, co będąc między nami, nas określa. I oto dlaczego zaczynał on jak gdyby wycofywać się z siebie samego, już bynajmniej nie utożsamiać swego prawdziwego "ja" z tym co "jemu się czuło", "jemu się myślało", zaczynał nawet z prawdziwym zdumieniem przyglądać się sobie samemu i widział jak to, czym jest, zupełnie nie odpowiada istotnym jego zamierzeniom. I dlatego właśnie wzmacniała się nasza niechęć do Formy, a dawniejszy zapał z jakim każdy pragnął określić siebie raz na zawsze wobec świata, to dawniejsze zakochanie się w kształcie skończonym, w wyrazie, ustępowało miejsca trzeźwej nieufności. Stawało się coraz bardziej oczywiste, iż nawet sobie, przede wszystkim sobie, nie możemy ufać.

Pochyliłem głowę.

Lecz jeśli ci nowocześni emigranci już doświadczyli tych przemian świata i człowieka — dlaczegoż zachowywali się jakby nic z tego nie było im wiadome? W dalszym ciągu wszystkie

ich pragnienia sprowadzały się do tego tylko, aby się utrzymać — aby za wszelką cenę utrzymać się w dotychczasowym kształcie. Czymże jednak był ten kształt, którego tak kurczowo się czepiali? Był to pewien sposób bycia, myślenia i czucia, który został im stworzony przez Przeszołość i który dzisiaj domagał się reformy, przystosowania do nowych warunków — zaprawdę, zrobiliby lepiej starając się oderwać od tego stylu, który był już niewystarczający. Lecz oni wciąż tylko powtarzali i recytowali siebie. Zmuszali się do tego, aby kochać siebie. Jakże więc byli bezbronni w tym przywiązaniu swoim do anachronizmu, w tym uporze wobec rodzącej się rzeczywistości!...

(Pochyliłem głowę.

Gombrowicz! Ja, Gombrowicz! Ja, Gombrowicz! Ja mogłem rozwiązać im ręce! Otworzyć im oczy Ja, ja, ja Gombrowicz mogłem ich zmusić do przyjęcia nowej wiedzy o człowieku — a to wyprowadziłoby ich z nich, to by im zapewniło szczerze podejście do własnego fałszu, dojrzałe ujęcie niedojrzałości, ta myśl zwrotna, myśl stanowiąca nowy punkt wyjścia otworzyłaby ich światu, rozwojowi, pozwoliłaby im wytrzymać w najgłębszym jestestwie swoim wszystkie te spaczenia które im zadano. Ja, ja, ja Gombrowicz mogłem duchowi polskiemu przypiąć te skrzydła! Wciąż jednak byłem, ja byłem Nauczycielem i Przewodnikiem narodu mojego! I zdawało mi się, że słyszę ich szepł wieloustny: Gombrowicz, o, Gombrowicz, tak, Gombrowicz, ho, ho, Gombrowicz, Gombrowicz, Gombrowicz...

Pochyliłem głowę.

Kaskada gniewu — wymiot oburzenia — wytrysk wzgardy — gejzer potępienia — uderzyły we mnie, ażem czezezi, skulił się i zmalął! Widząc, jak wciąż i wciąż pochylałem głowę i nie mogąc już tego wytrzymać... uderzyli na mnie! — Pan jest pozer! — wołała hrabina. — To kpiny! — wołał inżynier. — To zdrada! — zawołał rotmistrz, a rejentowa krzyknęła: — Błuznierstwo!

— Dlaczego pan nie jest z nami szczerzy? Dlaczego pan wciąż tylko udaje? Dlaczego pan jest niepoważny? Pan chyba nie Polak! Dlaczego pan nie jest prosty, naturalny? Udaje pan pisarza... ale nie tacy byli Mickiewicz, Żeromski!

Risum teneatis! Risum teneatis, mówię, bo nie, nie wolno, nie wolno! Ale już było za późno! Gdyż, wydziewając "pisarz, pisarz, wielki mąż, wielki Gombrowicz", wskazując palcami, wyśmiewając, wykiwając, śmiechem, śmiechem, śmiechem wybuchnęli! Z którego wybuchem (o znikowanie proszę dla mej głowy) mój — sztuczny — się — śmiechu — stowarzyszył — wybuch.

Witold GOMBROWICZ.

Czym jest kultura amerykańska?

I.

W czerwcowym numerze "Kultury", na stronie 109 czytelnik może znaleźć cytaty z jednego z artykułów Zygmunta Nowakowskiego:

„W nadchodzącym konflikcie zwycięży albo kultura jaskiniowa, kultura grobów nie skrzynkowych lecz katyńskich — albo kultura amerykańska. W tym i tamtym wypadku będzie to kultura standardowa, obca nam, zmechanizowana, odpychająca trywialną”.

Tak w oczach wybitnego publicysty polskiego prezentuje się kultura amerykańska. I taka ocena tej kultury nie wydaje się czymś odosobnionym. Przeciwnie — możemy zaryzykować to twierdzenie — jest ona wyrazem przeświadczeń bardzo rozpowszechnionych w szerokich kołach świata intelektualistów europejskich. I to nie od dziś, i nie od wczoraj. Już Bryce — bezspornie najwnikliwszy ze wszystkich obserwatorów, jakich Europa kiedykolwiek wysłała do Ameryki — podkreślał wyraźnie zarysowujące się już za jego czasów standardyzacyjne tendencje amerykańskiego życia zbiorowego, ubóstwo zainteresowań kulturalnych, monotonię współżycia ludzkiego na obszarze olbrzymiej republiki. Jeszcze bodaj ostrzej o cywilizacji amerykańskiej wyrażał się Kipling, a po nim — cały szereg innych Europejczyków, którzy w tych czy innych okresach zapoznawali się ze Stanami Zjednoczonymi. Bez złośliwości można by powiedzieć, że ataki Ehrenburga i innych sowieckich krytyków Ameryki są tylko dalszym ciągiem i rozwinięciem tych oskarżeń, jakie pod adresem kultury amerykańskiej były i są stawiane przez obserwatorów dalekich od komunistycznego sposobu myślenia.

Trzeba przyznać, że ta negatywna ocena kultury amerykańskiej znajdowała swe oparcie i uzasadnienie w tym obrazie Stanów Zjednoczonych, jaki dawała przyswajana Europie powieść amerykańska i dramat amerykański. Amerykańska literatura, od czasów Marka Twaina i Uptona Sinclaira coraz wszechstronniej tłumaczona na obce języki, nie mogła czytelnika europejskiego usposabiać entuzjastycznie dla ame-

rykańskiego życia kulturalnego. Przeciwnie, potwierdzała ona i utwierdzała te przeświadczenia o materializmie, monotonii i wulgaryzmie cywilizacji amerykańskiej, jakie i tak panowały w kołach intelektualistów europejskich. Harold Laski miał dużo racji, gdy pisał, że jedną z głównych przyczyn przyznania nagrody Nobla Sinclairowi Lewisowi było to, iż szwedzcy sędziowie znaleźli w "Babbicie" i w "Main Street" autorytatywne — bo od amerykańskiego pisarza pochodzące — potwierdzenie ich własnych przekonań o kulturze amerykańskiej. Od "Dżungli" Uptona Sinclaira aż po "The Naked and the Dead" Normana Mailera powieść amerykańska daje obraz Amerykanina i obraz stosunków amerykańskich, zdające się uzasadniać ocenę Zygmunta Nowakowskiego, że kultura amerykańska to "kultura standardowa, obca nam, zmechanizowana, odpychająca trywialna".

Rzecz jasna, momenty polityczne lat ostatnich odegrały olbrzymią rolę w utwierdzaniu się, kształtowaniu i rozwijaniu podobnych ocen. Po okresie kolosalnego entuzjazmu dla Ameryki w latach wojny przyszła po wojnie fala rozczarowania i ostrego krytycyzmu, skierowanego pod adresem amerykańskiej polityki zagranicznej i zachowania się Amerykanów w innych krajach. I trudno byłoby zaprzeczyć, że krytycyzm ten nieraz ma swe głębokie uzasadnienie. I tak samo nie można zaprzeczyć, że w krytycyzmie tym spotykają się komuniści i antykomuniści, jakże często operujący tymi samymi lub bardzo pokrewnymi argumentami!

Piszący te słowa nie jest ślepym apologetą wszystkiego, co amerykańskie. Po jedenastu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych wciąż nie może się on przystosować do wielu stron życia amerykańskiego. I wciąż nie może się pogodzić z wieloma zjawiskami i tendencjami tego życia. Tak samo, jak nie mogą się z nimi pogodzić liczni Amerykanie, którzy się tu urodzili i których ojcowie, dziadowie i pradiadowie tu się urodzili i w życiu tutejszym brali jak najczynniejszy udział.

Rzecz jest nie w obronie cywilizacji amerykańskiej i amerykańskiego życia kulturalnego. Rzecz jest w poznaniu i zrozumieniu tej cywilizacji i tego życia. I dopiero wtedy jest czas na wydawanie ocen, choćby najbardziej krytycznych. I choć zapewne będą one krytyczne, to w każdym razie będą one różne od łatwych uogólnień i tanich szablonów na temat amerykańskiego materializmu i zmechanizowania.

W rzeczywistości poza Ameryką wie się o cywilizacji amerykańskiej bardzo mało. Co się wie, to najczęściej szablony, stereotypy, wykorzystywane przez propagandę, podchwytywane przez nastroje i uprzedzenia chwili. Komunistyczny stereotyp o monopolistach z Wall Street i stereotyp Zygmunta Nowakowskiego o odpychająco trywialnej kulturze standardowej mogą mieć różną wartość emocjonalną, mogą być wyrazami odmiennych racjonalizacji, ale w jednakowym stopniu deformują rzeczywi-

stość. Ta zaś jest znacznie większa, bogatsza, wszechstronniejsza i bardziej skomplikowana niż wszelkie szablony i stereotypy.

Faktem jest, że Ameryka jest ciągle światu nieznana, że — mimo całego zainteresowania dla Ameryki — kultura amerykańska wciąż czeka na swych europejskich odkrywców. Bo też Ameryka jest bardzo trudna do poznania. Dopiero po wieloletnim pobycie w tym kraju zaczyna się rozumieć, jak bardzo skomplikowane i jak dalece specyficzne są zagadnienia i właściwości życia narodu Stanów Zjednoczonych. Krótkotrwały pobyt, przelotna wizyta — najuczciwszego obserwatora sprowadzić mogą tylko na manowce łatwych i fałszywych uogólnień.

Zwłaszcza, że życie amerykańskie zdaje się być otwartą kartą. Wszystko jest tu tak wyraźnie powiedziane i tak dostępne. Obserwator szybko zdobywa tu masę informacji i niezwłocznie sprowadza je do wspólnego mianownika rzeczy, o których wie z doświadczeń innych krajów. I nie prędko zaczyna sobie uświadamiać — jeżeli ma czas na takie uświadomienie sobie — że metoda analogii jest tu bezużyteczna, że doświadczenia europejskie w nieznacznym tylko stopniu mogą być pomocą przy wnikananiu w gąszcz problemów amerykańskich.

Niewiele w tym może pomóc i oficjalna propaganda Stanów Zjednoczonych. Nie jest ona dobra. Jest ona przeważnie prowadzona przez ludzi, którzy myślą kategoriami myślenia amerykańskiego i dla których myślenie europejskie jest czymś dalekim i obcym. Propaganda amerykańska przemawia do Europejczyka językiem takim, jaki jest właściwy, gdy się przemawia do obywatela Ohio czy Montany. Wiąże się to z jednym z wieczeń amerykańskich, że ludzie wszędzie są w zasadzie jednakowi i że potencjalnie są oni kandydatami na dobrych Amerykanów. Innymi słowy, jeżeli Europejczyk w swym myśleniu o Ameryce operuje szablonem, to i odwrotnie — Amerykanin w swym stosunku do reszty świata posługuje się szablonem, bynajmniej nie lepszym od europejskiego.

W konsekwencji oba światy są sobie nieznane, lub — w najlepszym razie — bardzo mało znane. Europa ma swoją legendę Ameryki i Ameryka ma swoją legendę Europy i reszty świata. I obie te legendy są bardzo dalekie od prawdy.

Poświęćmy nieco uwagi tym legendom. Rozważenie ich może się okazać bardzo przydatne w dalszych naszych uwagach na temat cywilizacji amerykańskiej.

II.

Byłoby niesłuszne twierdzić, że europejska wizja Ameryki jest czymś jednolitym, tym samym we wszystkich krajach i środowiskach starego kontynentu. W rzeczywistości mamy tu kilka różnych legend. Przede wszystkim wciąż żywa jest w Europie ludowa legenda Ameryki jako Ziemi Obiecanej. Jest to stara legenda. Powstała ona w epoce masowych ruchów emigracyjnych. Były to ruchy par excellence ludowe — przeważnie chłop-

skie, rzadziej drobnomieszczańskie i robotnicze. Udział w nich intelektualistów był znikomy. Emigrant i reemigrant stali się nosicielami wizji Ameryki-Ziemi Obiecanej, gdzie każdy żyje lepiej niż w Starym Świecie, gdzie jest swobodny, szanowany, gdzie staje się człowiekiem. Klasyczne dzieło Thomasa i Znanieckiego o chłopie polskim w Ameryce i Europie, ogłaszane przed wojną w Polsce pamiątki emigrantów oraz badania prowadzone wśród reemigrantów — to istna kopalnia materiału, odnoszącego się do owej legendy o Ameryce, jaka porywała masy ludowe od Sycylii aż do zapadłych wiosek białoruskich. Listy, pisane przez emigrantów do rodzin w kraju, stały się potężnym narzędziem rozpowszechniania się i utwalania owej legendy. Analizując obecną antyamerykańską propagandę komunistyczną, nie trudno jest dojść do wniosku, że mit amerykańskiej Ziemi Obiecanej nie zamarał jeszcze i po tamtej stronie dzielącego świat kordonu.

Była to legenda pozytywna, więcej — entuzjastyczna. Ale obok niej wcześniej wytworzyła się i druga legenda — negatywna, wysoce krytyczna. Wspominaliśmy już o niej na początku tych rozważań. Była to legenda świata intelektualistów europejskich.

O ile ludowa Europa utrzymywała bardzo żywe kontakty z Ameryką, o tyle kontakty intelektualnej Europy z Nowym Światem były sporadyczne, niepełne, najczęściej pośrednie. Dopiero wojna ostatnia wyrzuciła na brzegi amerykańskie liczniejszą grupę intelektualistów europejskich. Do tego czasu bardzo niewielu z nich odwiedzało Amerykę. Ci zaś, którzy ją odwiedzali, przyjeżdżali na krótko, przeważnie bez bagażu podstawowych wiadomości o historii, geografii i stosunkach amerykańskich. Co gorsza, nawet ci, którzy przyjeżdżali do Stanów Zjednoczonych specjalnie w celu badań nad cywilizacją amerykańską, nieraz zadowalali się powierzchownymi obserwacjami i popełniali błędy, których by popełniać nie powinni byli. Wystarczy wymienić tu tak skądinąd sumiennych ludzi jak André Siegfried lub nasz Dyboski.

Literatura naukowa o Ameryce w krajach europejskich była — i w gruncie rzeczy jest dotąd — uderzająco uboga, nie dająca pełnego obrazu i wyjaśnienia stosunków. Kapitalne dzieło Gunnara Myrdala wciąż jeszcze nie doczekało się przekładu na większość języków europejskich. Dopiero po ostatniej wojnie ukazał się w przekładzie na szereg języków europejskich zwięzły podręcznik historii amerykańskiej Nevinsa i Commagera, rzecz bardzo dobra, ale mało przystosowana do europejskiego sposobu myślenia i europejskiej znajomości Ameryki. Z natury też rzeczy inteligentny Europejczyk w kształtowaniu swego obrazu Ameryki zdany jest na takie źródła jak: informacja prasowa, powieść czy sztuka teatralna, film hollywoodzki, czy też przypadkowy kontakt z przebywającym w Europie Amerykaninem. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu większy napływ Europejczyków do Ameryki i ogromny wzrost zainteresowania dla polity-

ki Stanów Zjednoczonych sprawiły, że inteligentny Europejczyk zaczął nie tylko żywiej zajmować się sprawami amerykańskimi, ale i znalazł więcej sposobów dla rozszerzenia swych wiadomości o tych sprawach.

Niemniej jednak powieść amerykańska jest wciąż bardzo ważnym źródłem wiedzy inteligentnego Europejczyka o kulturze amerykańskiej. Była już o tym mowa. Obiektywnie rzecz biorąc, dobry utwór literacki może nam dać poważny zasób wiadomości o życiu danego kraju w danej epoce. Pod warunkiem jednak, że czytelnik ma już jakieś wiadomości o tym kraju i o tej epoce, wiadomości pochodzące z innych źródeł. Przy kompletnej ignoracji stosunków w Stanach Zjednoczonych, powieść amerykańska, pochłaniana przez miliony Europejczyków, stała się źródłem rażących nieporozumień i zamętu w umysłach czytelników. Do tego panowała przypadkowość w doborze utworów i autorów. Bardzo często podstawą doboru była zgodność treści danego utworu z tym obrazem Ameryki, jaki już istniał w umysłach czytelników. Stąd pisarze tej miary i takiego znaczenia dla kultury amerykańskiej, jak np. Willa Cather, są prawie zupełnie nieznani intelektualnej Europie. Ale i ci, którzy są dobrane znani, są najczęściej rozumiani opacznie.

Jedną z zasadniczych cech literatury amerykańskiej jest to, że jest ona literaturą protestu, bojowego nonkonformizmu. Protest jest w ogóle jednym z najważniejszych nurtów amerykańskiego życia kulturalnego i jednym z najbardziej podstawowych składników amerykańskiej tradycji historycznej. Pisarz amerykański rzadko kiedy jest satyrykiem. Stara się on zachować postawę obiektywną wobec życia, utrzymać dystans między sobą a tym, co opisuje. Nie idealizuje swych bohaterów. Odtwarza ich konflikty wewnętrzne, przenosząc je na szerokie tło wielkich konfliktów całego życia amerykańskiego. Będąc sam częścią składową tego życia i odczuwając jego konflikty jako konflikty własne, pisarz amerykański twórczością swoją czynnie się w nich angażuje, walcząc o pewne ideały i podnosząc głos protestu przeciw temu, co uważa za złe. Jest to literatura wysoce uspołeczniona, związana z życiem, z całą rzeczywistością amerykańską i z niej wypływająca. Jest to zarazem literatura bardzo wysokiej klasy, której pesymizm jest pesymizmem nie destrukcyjnym, ale wybitnie twórczym.

Literaturę tę trudno zrozumieć, jeżeli się ją oderwie od całości kształtu życia narodu amerykańskiego. Nie jest rzeczą przypadkową, że powieść o tak podrzędnym znaczeniu jak "Gone with the Wind" cieszyła się w Europie tak kolosalnym powodzeniem. Dla czytelnika europejskiego była to powieść bardzo łatwa. Świat, który przedstawiała, i jego zagadnienia — wszystko to dawało się przenieść na teren wypadków i postaci Europejczykowi dobrze znanych z jego własnej tradycji narodowej. W tym sensie, przy całym swym couleur locale, była to powieść kosmopolityczna. Ale w historii literatury amerykańskiej "Gone with the Wind" zajmuje miejsce czwartorzędne czy nawet dalsze.

I jeszcze na jeden moment należy zwrócić uwagę, gdy się mówi o literaturze amerykańskiej. Jak prawie wszystkie nurty kultury Stanów Zjednoczonych, jest to literatura regionalna i zregionalizowana. Nie zrozumie się Sinclaira Lewisa, jeżeli się go oderwie od jego ojczystej Indiany i całej atmosfery Środkowego Zachodu. Babbitt nie jest "typowym" czy "przeciętnym" Amerykaninem, ale wyrazem pewnego stanu umysłowego, jaki w pewnej epoce wytworzył się w określonych środowiskach Środkowego Zachodu. I to samo da się powiedzieć i o innych pisarzach amerykańskich. Twórczość Steinbecka nabiera wymowy, gdy się ją zobaczy w świetle stosunków kalifornijskich. Twórczość Caldwell'a wyrasta z doświadczeń i konfliktów "Głębokiego Południa". Itd., itd.

Wszystkie te okoliczności sprawiają, że powieść amerykańska jest bardzo zawodnym źródłem wiedzy o kulturze St. Zjedn. i o życiu amerykańskim. Zwłaszcza gdy jest źródłem jedynym lub podstawowym. Inna rzecz, gdy Amerykę już się poznało i gdy jej wspinała literaturę umie się już odpowiednio umiejscowić. Dopóki jednak to nie nastąpiło, dopóty bierze się Babbitta dosłownie, ilustrując nim tezę o zmateralizowanej, standardowej i odpychająco wulgarnej kulturze amerykańskiej.

Antyamerykańska propaganda, jaką od dawna z powodzeniem uprawia film hollywoodzki, jest osobnym źródłem utrwalania się wśród intelektualistów europejskich stereotypu zmateralizowanej i wulgarnej Ameryki. Obraz życia amerykańskiego, jaki pochodzi z tego źródła, jest bardzo prosty: Ameryka jest krajem milionerów, którzy życie swe poświęcają romansom i zbijaniu pieniędzy. To przyjemne zajęcie jest od czasu do czasu przerywane przez złych gangsterów chicagoskich (doprawdy miasto to nie zasługuje na tę reputację, jaką cieszy się za oceanem!), którzy jednak po masowej strzelaninie ulegają szlachetnym dektetywom, najczęściej młodym i przystojnym. "Zastanawiam się — tak pewien kelner w Kopenhadze wynurzał się przed dziennikarzem amerykańskim — czy rzeczywiście Nowy York wygląda tak jak w filmach. Bo jeżeli tak jest, to każdy mieszka tam w pięknym domu, nosi nowe ubranie, ma pełno do jedzenia i własny samochód".

Hollywood niekiedy produkuje doskonałe filmy, utrzymane na poziomie prawdziwego artyzmu i dające niezakłamanym obraz Ameryki. Ale przytłaczająca część produkcji hollywoodzkiej fabryki snów to beznadziejna szmira, która, pokazana milionom ludzi na całym świecie, daje wizję Ameryki, nie wiele mającą wspólnego z rzeczywistością. Film ten zniechęca ludzi wybrednych do Ameryki i utrwała w nich przekonanie, że produkcja hollywoodzka jest pełnym i prawdziwym odbiciem cywilizacji Stanów Zjednoczonych. O tych rzeczach wie się dobrze w Ameryce, boleje się nad nimi, szuka środków zaradczych, ale — jak dotąd — bez skutku.

W czasie wojny i po wojnie Europejczyk miał sposobność bezpośredniego zetknięcia się z masą Amerykanów. Żołnierz ame-

rykański i cywilny funkcjonariusz amerykański stali się postaciami popularnymi w Europie zachodniej i południowej. Byłoby przesadą powiedzieć, że były to kontakty bardzo udane. I to dla obu stron. Żadna masa żołnierska i żadna armia okupacyjna nie składa się z samych Eisenhowerów i nie jest najlepszym reprezentantem kraju, który ją wysłał. Można by na ten temat napisać długie studium, wiele miejsca w nim poświęcając analizie przyczyn, które sprawiły, że wojenne zetknięcia się Amerykanina z Europejczykiem nie wypadły szczęśliwie. I o tym też dobrze się wie w Ameryce. Wystarczy tu przeczytać takie utwory, jak "A Bell for Adano" Hersey'a lub "The Gallery" Burns'a, by ocenić śmiałość, z jaką pisarze amerykańscy traktują ten arcydelikatny temat.

Europejczyka, a zwłaszcza europejskiego intelektualistę, do rozpacz doprowadzała amerykańska ignorancja spraw europejskich, niezdolność ich rozumienia, stała skłonność do jak najdalej posuniętego ich uproszczania. Niewielu Europejczyków brało pod uwagę możliwość, że sami wykazaliby podobną ignorancję i niezrozumienie, gdyby dziwnym zrządzeniem losu znaleźli się w Ameryce w charakterze administratorów czy okupantów! W każdym razie było pełno kwasów i rozczarowań, o czym świadczyć może niejeden z artykułów, ukazujących się na łamach "Kultury".

Z drugiej strony większość Amerykanów wróciła do ojczyzny bez entuzjazmu dla Europy i jej spraw. Co więcej, wróciła utwierdzona w przekonaniu, że Europa jest czymś znacznie gorszym od Ameryki. I znów trudno się temu dziwić. Okoliczności, wśród których Amerykanin w mundurze zetknął się z życiem Starego Świata, wybitnie nie sprzyjały zapoznaniu się z najlepszymi stronami tego świata. Kto przypuszcza, że wojna jest najlepszym sposobem poznawania świata i wytwarzania twórczych związków między różnymi cywilizacjami, ten zaiste bardzo dziwne ma wyobrażenie o wojnie!

III

Jeżeli Europa ma swoje legendy o Ameryce, to z kolei i Ameryka ma swoje legendy o Europie. Pozostają one do siebie niejako w stosunku odwrotnym. W świecie intelektualistów amerykańskich wizja Europy ma zabarwienie zdecydowanie pozytywne. Pisarz amerykański, artysta czy uczony są wciąż pod potężnym urokiem kultury europejskiej. Inaczej jednak sprawa wygląda z najszerszymi masami narodu amerykańskiego. Amerykańską ludową legendę o Europie można uznać za odpowiednik tej legendy o Ameryce, jaka panuje wśród intelektualistów Starego Świata. Jest to legenda negatywna, krytyczna, dla Europy niekorzystna.

Znaczenie tej legendy, jej wpływ, są znacznie większe niż znaczenie i wpływ antyamerykańskiej wizji intelektualistów europejskich. Społeczeństwo amerykańskie w swych najistot-

niejszych treściach jest społeczeństwem ludowym. Amerykańska demokracja jest demokracją ludową, choć w sensie nieco różnym od tego, jaki termin ten posiada w krajach Europy wschodniej! W Ameryce grupa, którą dało by się porównać do intelektualistów europejskich, jest stosunkowo nieliczna. Nie chodzi tu o ludzi z kwalifikacjami, jakie dają wyższe zakłady naukowe. Ludzi z wyższym wykształceniem jest w Ameryce stosunkowo więcej niż w innych krajach świata. Chodzi tu o tych, którzy sami siebie traktują jako elitę intelektualną, jako arystokrację ducha, i z tego tytułu roszczą sobie pretensje do zajmowania odrębnego miejsca w całej organizacji społecznej. Ameryka nie jest krajem, w którym by — podobnie jak w Polsce i w wielu innych krajach Europy, Ameryki południowej oraz Azji — wytworzyła się warstwa inteligencka, pretendująca do stanowiska kierowniczego w życiu narodu i stanowisko to rzeczywiście nieraz zajmująca. W olbrzymiej większości wypadków Amerykanin — bez względu na to, jakie jest jego wykształcenie i jakie funkcje społeczne i gospodarcze spełnia — widzi siebie jako członka wielkiej społeczności demokratycznej, przyjmuje jej mentalność, podporządkowuje się jej ocenom i regułom. Co jednocześnie nie przeszkadza mu nieraz burzyć się i protestować przeciw tym ocenom i regułom.

Ośrodkiem zainteresowań przeważającej masy Amerykanów jest Ameryka i jej sprawy. Dopiero ostatnio i raczej powoli Amerykanin zaczął przewyższać swe insularne tradycje. A i teraz jego zainteresowania dla reszty świata są wciąż pochodną jego zainteresowań zasadniczych, skoncentrowanych na własnym kraju. W porównaniu z tym, co było dawniej, jest to postęp bardzo duży.

Przez sto pięćdziesiąt lat to, co działo się poza obu oceanami, było dla Amerykanina czymś bardzo obcym i dalekim. Co zaś więcej, wieści, które spoza oceanów przychodziły, nie budziły w nim wielkiego entuzjazmu, przeciwnie — usposabiały krytycznie do Starego Świata.

Jednym z podstawowych błędów, jakie stale się popełnia w Europie, jest przypuszczenie, że obecność na ziemi amerykańskiej milionów ludzi z Europy stała się pożytecznym ogniwem i czynnikiem porozumienia między obu światami — Starym i Nowym. W rzeczywistości masowa emigracja z Europy do Ameryki odegrała rolę odwrotną: zniechęciła Amerykanina do Starego Świata.

Nie elita intelektualna i nie szczyty społeczeństw europejskich szły na wędrowkę przez ocean. Emigrowały masy najuboższego i najbardziej prymitywnego chłopstwa. To, czym stały się one w Ameryce, musi budzić podziw i szacunek. Dla nich i dla Ameryki. Dystans, jaki dzieli obecnego Amerykanina pochodzenia polskiego, włoskiego, irlandzkiego, czy jakiegokolwiek innego, od tego nędzarza, który lat temu kilkadziesiąt tłoczył się na podpokładzie statków oceanicznych, świadczy o jednym z

największych awansów społecznych i cywilizacyjnych, znanych dziejom ludzkości.

Wkład tych mas w rozwój Ameryki był kolosalny. Chicago i Detroit, przemysł węglowy Pensylwanii, przemysł włókienniczy Nowej Anglii, przemysł odzieżowy New Yorku, duża część swego rozkwitu zawdzięczają pracy europejskiego przybysza. Ale równocześnie masy emigracyjne nie były dobrymi ambasadorami swych dawnych ojczyzn. W oczach Amerykanina reprezentowały one ich nędzę, zacofanie, niedemokratyzm panujących w nich stosunków. I sami przybysze i to, co oni o swym dawnym życiu opowiadali, nie usposabiało Amerykanina życzliwie do Europy. Nie była to bowiem Europa wielkich i wspaniałych tradycji kulturalnych. Była to Europa nędzy sycylijskich caffoni, irlandzkiego proletariatu rolnego, podhalańskiej biedoty, na pół dzikich pasterzy serbskich. I była to ta Europa, w której człowiek rodził się i pozostawał albo panem albo chamelem.

Tylko o takiej Europie mógł się dowiedzieć Amerykanin od byłych emigrantów, którzy często byli jego rodzicami lub dziadkami. Nie znaczy to, by tracił wszelkie zainteresowanie dla kraju, z którego wyszli jego rodzice. Nieraz bardzo się nim interesował. Ale było to zainteresowanie człowieka, któremu się powiodło, dla krewniaków, którym ciągle — i to głównie z ich winy — nie powodzi się. Stąd, tak często Europejczyka rażący, patronacki stosunek świeżych Amerykanów do ich dawnych ojczyzn czy ojczyzn rodziców.

Jest rzeczą znamionną, że część St. Zjednoczonych o najsilniej rozwiniętych tendencjach izolacjonistycznych — Środkowy Zachód — jest równocześnie miejscem wielkiego zagęszczenia emigrantów ze Starego Świata. Badacze stosunków miejscowych zgodnie twierdzą, że w kształtowaniu się izolacjonizmu Środkowego Zachodu poważną rolę odegrały grupy emigracyjne. Z jednej strony wyglądem swym i zachowaniem utwierdzały ludność miejscową w przekonaniu o niższości Europy wobec Ameryki, z drugiej zaś strony w miarę postępów swej amerykańskiej same nabierały przekonania, że w interesie Ameryki leży trzymać się z dala od świata, który w ich własnym doświadczeniu przedstawiał się bardzo niezachęcająco.

IV.

Jeżeli więc w sferach intelektualistów europejskich utrwaliło się przeświadczenie o niskości kulturalnej Ameryki, to analogiczne przeświadczenie powstało w stosunku do Europy w najszerszych masach społeczeństwa amerykańskiego. Że amerykańskie przeświadczenie jest fałszywe, to dla Europejczyka jest rzeczą bezsporną i nie wymagającą uzasadnienia. Trudniej jest jednak, gdy chodzi o przekonanie intelektualisty europejskiego, że jego ocena kultury amerykańskiej jest równie powierzchowna i fałszywa.

Jest to tym trudniejsze, że — pomijając świadectwo samych

Amerykanów, np. pisarzy amerykańskich — wszystkie zewnętrzne objawy życia amerykańskiego zdają się przemawiać na rzecz tezy o materializmie, zmechanizowaniu i wulgarności kultury amerykańskiej. Pierwsze wrażenie, jakie odbiera przybylszy do Ameryki, to uniformizm życia amerykańskiego, monotonia w wyglądzie miast amerykańskich, mieszkań amerykańskich, sposobie zachowania się Amerykanów. Europejczyka razi w Ameryce panujący tu kult sukcesu, mierzonego w dolarach, śmieszny kult maszyny, zamiłowanie do "gadgets", irytuje pociąg do dziecinnej hałaśliwej zabawy. Wszędzie tu ta sama Coca Cola, i chewing gum, i sklepy Woolwortha i te same domy, i te same ulice. Już Bryce uważał się na amerykański zwyczaj numerowania ulic, zresztą przeważnie identycznych w swym wyglądzie. Po barwności i różnorodności Starego Świata Ameryka zdaje się wyglądać szaro, nieciekawie, męcząco jednostajnie.

I niewątpliwie Ameryka nie ma tej czcigodnej patyny, jaka w ciągu stuleci i tysiącleci wytworzyła się na Europie. Ameryka jest krajem bardzo młodym, i to nie tylko w sensie krótkości jej historii. Młodość Ameryki wypływa ze specyficznych warunków jej historycznego rozwoju.

Naród amerykański powstawał jako społeczność pionierska, budowana przez ludzi bardzo prostych, choć szczerze demokratycznych. Naród ten nigdy w swych dziejach nie przeszedł przez okres feudalizmu, przez okres daleko posuniętych stratyfikacji społecznych i kulturalnych. Wyjątkiem do pewnego stopnia było tu Południe z jego plantatorską kulturą i niewolnictwem. Nie jest też rzeczą przypadkową, że na Południu obserwator europejski znajdzie najwięcej zjawisk, które nasuną mu analogię ze Starym Światem. Ale Południe jest terenem raczej specyficznym i nie typowym dla rozwoju całokształtu cywilizacji amerykańskiej.

Ta zaś była przede wszystkim tworzona przez tych, których, operując terminologią europejską, można nazwać ludem. Cywilizacja amerykańska w swych treściach wewnętrznych jest cywilizacją ludową, chciałoby się powiedzieć — chłopską. W tym kraju, w którym warstwa chłopska nigdy faktycznie się nie rozwinęła, chłopskość czy ludowość jest zasadniczą cechą atmosfery kulturalnej. O Amerykanach dało by się powiedzieć, że są chłopami, którzy zbudowali wielkie metropolie miejskie i w nich osiedli. Nie zawsze jednak czują się w nich dobrze. Serce Ameryki wciąż bije w tych małych miasteczkach, jakich tysiące są rozrzucone po całym obszarze Unii.

Jak każda cywilizacja, wyrosła na podłożu ludowym, tak i cywilizacja amerykańska ma wiele cech, które muszą razić wyrafinowanych intelektualistów. Jest w niej dużo parafiankości, jest w niej nieufność do obcych, jest rubasznosc, jest nawet swego rodzaju przyziemność. Ale równocześnie jest odkrywczość, jest pęd do poszukiwania, i jest śmiałość w stawianiu i rozwiązywaniu trudnych zagadnień. Jej materializm, to materializm ludzi, którzy ciężko walczą o byt, którzy są dumni z tego, co

zdołali osiągnąć, i wciąż dążą do dalszych osiągnięć. Jest to cywilizacja głęboko demokratyczna, dynamiczna, w ciągłym ruchu, w ciągłej przemianie.

Czy jest ona tak monotonna, jak się to wydaje przygodnemu obserwatorowi? Nikt nie może zaprzeczyć, że w Stanach Zjednoczonych jest bardzo dużo standardyzacji. Tylko, że standardyzacja jest nieunikniona w każdej cywilizacji industrialnej. Jest to cena, którą trzeba płacić za wysoki poziom życia, za niski wskaźnik śmiertelności, za długowieczność, za wygodę i ułatwienia, z jakich korzysta przeciętny Amerykanin. Równocześnie standardyzacja ta stała się instrumentem demokracji. Dzięki metodom amerykańskim tracą się różnice w sposobie życia poszczególnych klas społecznych. Styl życia robotnika amerykańskiego nie różni się zbyt od stylu życia amerykańskiego intelektualisty. A konsekwencje kulturalne i społeczne tego są znacznie poważniejsze, niż cena, jaką się za to płaci, przyjmując ów zewnętrzny uniformizm.

Nie powinien on też zasłaniać przed obserwatorem ogromnej różnorodności w życiu amerykańskim. Jest to przede wszystkim różnorodność regionalna. Stany Zjednoczone, przy wszystkich swych niwelujących procesach, są wciąż krajem bardzo rozwiniętego regionalizmu. Texas i Nowa Anglia, Południe i Środkowy Zachód, Kalifornia i New York — cóż to za skala zróżnicowań miejscowych, odrębnych klimatów psychicznych, różnic kulturalnych! Każda dzielnica w Stanach Zjednoczonych, każdy stan — to świat odrębny, o własnych problemach, dążeniach, cechach kulturalnych.

Pełno tu też kontrastów, pełno sprzeczności, które sprawiają, że zjawisk życia amerykańskiego nie da się sprowadzić do prostych, wszystko ogarniających formuł. Jest jakaś cząstka prawdy i w formule o monopolistach z Wall Street i w formule o odpychająco trywialnej kulturze amerykańskiej. Ale jest to tylko cząstka bardzo mała, chwytająca pewne zjawiska i pomijająca masę innych.

Nie musi być kultura amerykańska tak bardzo nieinteresująca i godna pogardy, jeżeli wyjść z niej mogła tak ciekawa i bogata twórczość literacka. I nie musi być Ameryka krajem barbarzyńców, skoro utwory jej pisarzy znajdują dla siebie miliony czytelników, nie mniejsze od tych milionów, które pochłaniają "komiki". Osiągnięcia nauki amerykańskiej — i to nie tylko w zakresie technologii! — są imponujące. Każdy rok przynosi w Ameryce nowe nazwiska i nowe talenty w dziedzinach twórczości artystycznej. Warto jest zwiedzić biblioteki amerykańskie z ich tysiącami czytelników, i muzea amerykańskie — zawsze pełne, zawsze odwiedzane przez tysiące ludzi, którzy z nabożeństwem oglądają wystawiane tam eksponaty. A cóż powiedzieć o folklorze amerykańskim, jednym z najciekawszych na świecie!

Co jednak przede wszystkim pociąga w amerykańskim życiu kulturalnym, to jego dynamizm, to jego poważny i odważny

sposób traktowania wielkich konfliktów i zagadnień naszych czasów. Ameryka jest krajem wielkich konfliktów i wielkich przemian. Wszystko to jest żywo rejestrowane przez amerykańskich pisarzy, uczonych i artystów, którzy sami w tych konfliktach biorą bezpośredni udział i sami są narzędziami zachodzących przemian. I to, co jest przez nich rejestrowane, znajduje w tym kraju żywy rezonans. Nie tylko w nielicznej grupie wybranych, ale i w szerszych środowiskach społecznych.

Kultura amerykańska nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa. Jak nie powiedziały go same Stany Zjednoczone. Jest tu wciąż pełno zapowiedzi, nierozwiązanych zagadnień, wciąż pełno odkrywczych poszukiwań. Jest dużo rzeczy przykrych, złych, niepokojących. Ale jest wielka żywotność i są podstawy do przypuszczenia, że owe rzeczy przykre, złe i niepokojące są tylko jednym ze stadiów na drodze rozwoju narodu amerykańskiego i jego kultury

Nie miejsce tu na pełne wyczerpanie zagadnienia kultury amerykańskiej. Temat to zbyt obszerny. Poznawanie tej kultury nie jest rzeczą łatwą: jest to kultura bardzo specyficzna i nie poddająca się analogiom. Nie jest też taka, jak ją sobie wyobrażają jej krytycy. A im lepiej się ją poznaje, tym więcej fascynujących stron i rzetelnych walorów się w niej odkrywa. Toteż jedno trzeba powiedzieć — że kulturę tę należy poznawać, zanim się ją sady na ławie oskarżonych.

Aleksander HERTZ.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönaue
US Zone, Germany.

Syrojidy

2

Opowiadanie Drondieka nie spodobało się. "Pańscy" goście byli załopotani, parobczaki błaznowali, udawali przerażenie, a chichotali po kątach. Nikt go nie ganił i nikt nie chciał słuchać dalej. Młodzi chłopcy z miejsca układali do tańca żartobliwe zwrotki o Syrojidach. Drondiek znikł pośpiesznie z dziedzińca przed dworem, odszukano go dopiero po północy w górnym sadzie, w suszarni przemienionej na czas wesela w waternik. Tam zebrało się pod noc sporo starszych gazdów i dwóch—trzech panów. Jeden po drugim wypytывali Drondieka o Syrojidów, o ich pochodzenie, życie, dzieje, w końcu o wiarę w Bożucha nibyboga. Na liczne pytania, uwagi, wątpliwości i zarzuty Drondiek odpowiadał rozważnie i bez wahania. Opowiadał o postaci Syrojidów, o ich chatkach norowych, ubitych z żółtego łu, o ich nabożeństwach. Uwydatnił ich zakorzeniony i nieustanny strach przed głodem i że cała niewola trzyma się tym strachem, stąd też ciągle są razem, trzymają się kupy. Uderza wyraźna aluzja, że nie tak dawno ktoś był u Syrojidów, którzy z pomocą ludzkich nauczycieli "uczyłowiecyli" się — wszystko to sprzeczne z niby pewną wiedzą i z tym co wynika z następnego opowiadania, że Syrojidów nie ma od dawna¹⁾.

Drondiek siedział nad watrą na słupie berfely¹⁾ i grzał się. Machał rękami, otwierał oczy i znów zamykał jak sowa. Z watry szedł kłębamii biały dym, zaciągał i chłonał dymy fajek, kręcił się, rozsnuwał po waterniku i leniwie wychodził przez podniesienie dachu. Na dworze chłodziło, jeden za drugim wślizgiwali się ludzie do waternika. Co chwila otwierano drzwi, a dym zawracał od poddasza i wypływał przez drzwi. Ciągłe apominano kogoś by zamykał drzwi, to znów by otworzył, bo zbyt dymno. Nowi przybysze wchodzili na palcach, po cichu, aby nie przeszkadzać. Ten i ów podsyczał watrę. Waternik wypełnił się szczelnie. Wciąż dochodziła odległa wrzawa wesela.

Dobrze było w tym dymie. Watra usypiała niejednego, a wszystkich ogrzewała, tuliła. To co złe było gdzieś tam dawno albo bardzo daleko. Można było słuchać strasznych gadek aż do rana. Każdy czuł się bezpieczny, niezagrożony w swoim kraju, wśród pobratymów. I urodzaj był piękny a wesele świetne, a watra pachnąca lasem grała, ukołysywała wszystkich.

Już wyczerpano zdało by się pytania i wątpliwości, a jeszcze

¹⁾ Powyższy ustęp w streszczeniu autora.

1) Berfela — drąg z kluczką, na którym zawieszają się kotły nad ogniskiem.

ten i ów łakomił się, chciał wiedzieć to i owo, pytał, nalegał. Lecz z tłumu przerywano.

— Czy są jeszcze Syrojidy?

— Co się z nimi stało?

— Czy uczyłowieczyli się, czy zczarcieli do reszty?

— Co przekazał Kudil?

Drondiek nie upierał się.

— No to opowiem do końca, ale chyba w krótkości, bo świt niedaleko.

Było dobrze po północy, ale jeszcze daleko do świtu. Szron kładł się na pola, od tego jaśniało trochę. Wzmagał się przewiew i dym z waternika raźniej uchodził przez podniesienie dachu. Jak huki i potoki szumiały z dala zabawy weselne. Drondiek kończył opowieść o Kudilu.

III.

MOC FŁOJERY

Siedzi latami Kudil tam w kraju niewoli. Sam samiutki. Nie wolę przejrzeć wszędy i wzdłuż. Napatrzył się prosto w oczy strachowi, na wszystko gotów. Ale nie ma za kogo duszę położyć. Bo któżże to jego pobratymy?

Te świnioludy schudobione, czy ci półludzie wciąż dygocący ze strachu?

I jeszcze ileż razy dziennie, na godzinę ile razy uderzało mu do głowy, jak chlustawką ognistą, by powybić to wszystko, poskładać jak snopy na stertę i samemu puścić się w stępy za słońcem.

Nawet o tym nie ma z kim zagadać.

Bo pamiętajcie, że tam nikt nigdy do nikogo nie odzywał się wprost. Przez żółte mgły, od wszystkich do wszystkich wiały wieści i słowa, co z ust człowieczych szeptem się wydarły. Kudil z początku starał rozmówić się z sąsiadami na paszy, a każdy odwracał się odeń, każdy uciekał pośpiesznie. Nie jeden chrukał nań świnożłośnie, inny wywalał jeszcze bardziej oczy przerażone. Trzymali się wszyscy odeń z daleka i on trzymał się na uboczu. I osłaki nie miały doń śmiałości. Bo od razu, gdy tylko wzmocnił się trochę, temu i owemu dobrze uszu naciągnął, tego i owego za ogon trzepnął do ziemi. Strach nie miał doń przystępu. Z najtęższym przecież zwierzem niegdyś potykał się tu u nas, setki razy w czystym polu. O tym chyba pamiętać będą zawsze ludzie górcy. I katowni różnych mandatorskich¹⁾ nakosztował się dość. Zatem o Syrojidów nie dbał. Oni zaś omi-

1) Mandatorski — mowa tu o terrorze austriackich okupantów. Mandatorzy byli to — na schyłku XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku — urzędnicy administracyjni o wielkich uprawnieniach. O tych pierwszych pacyfikatorach gór huculskich i o ich pomocnikach hajdukach i posiepakach, o katowniach mandatorskich szczególnie w Kutach, — zwanych katuszi — dotąd zachowały się liczne wieści i pieśni.

jali go, choć siadywał samotnie. Nie wiedzieli jeszcze co z nim zrobić.

Grał sobie czasem na fłojerze, ale cichutko, dla siebie. Wtedy to milkły szeptu na pastwiskach. I rzesze ludzkie, podobnie jak pół oswojonych owiec stada, chociaż trzymały się odeń z daleka, powoli szły za nim kupami. Wlokły się bezmyślnie, nie wiedząc czemu, jak stado za pastuchem. Czasami prowadził gromady daleko ku zachodowi słońca. A choć osłaki zawracały trzody, nic to nie pomagało, dopóki sam Kudil nie zawrócił. Obchodził tak stępy, miarkował, wypatrywał czy nie widać krańca żółtomglistego kraju. Raz się zbliżył aż do pięknego źródła tajemnego, gdzie jaśniejsze powietrze. Rzesze pozostały w tyle. Bały się bliżej przystąpić. Czekwały nań aż wróci. Kudil napił się pięknej wody²⁾, poznał ją.

Gdy tak wciąż chodziły za nim rzesze, gdy czekały na niego, zawołał raz do nich głośno Kudil na wspólnym pastwisku.

— Ludzie boży! Który z was tu z Podola, z Ukrainy, z Nadniestrza, krain chrześcijańskich?

Pierwszy raz głos ludzki tam odezwał się swobodnie. A i mnie samego — powiadał Kudil — drzenie rozskorupiło radosne, czy też od głosu tego od razu nie zawali się kraj niewoli.

Ale nie się nie stało. Osłak ruszył się, wypulił oczy durne i znów zadrzemał. Cisza zaległa pola rude. Powoli, z rzadka cichutkie szeptania wstawały z ziemi: ja z Łuhu Białego, — ja z Zielonych Wrót, — ja z Złotego Potoka, ja z Łuki Jasnej. Zgłaszali się trwożliwie jeden przez drugiego, coraz bardziej wzmacniały się szeptu.

Zatem przystępując bliżej, Kudil pytał jednego za drugim:

— Jak zwą się ojcowie twoi? Jak ciebie zwali? Jak dzieci twe na chrzcie nazwano?

Jeden z tłusciuchów wykręcił się i szepnął przez plecy:

— Ależ my tutejsi, na służbie i karmie u Wiernych Karmicieli. Wszyscyśmy tu szczęśliwi. O sobie już nie pamiętamy!

Wywinął się prędzej niż się można było spodziewać po opasłej chudobie. Pokusował daleko.

Drugi zapytany chrukał wściekły a przerażony. Wielu odsłukiwało się prędko, wszyscy oddalili się tak samo jak zawsze. I jak zazwyczaj wywalali oczy przerażone, tępi, osłupiali. Przecież jakiś bladożółty chudawy człeczyna, nie oddalając się, zamruczał:

— Naucz-że się: tu ci zapomnieć o ojcach! O dzieci masz starać się tylko. A dzieci nasze też o ojcach zapomną. I ty ich sam nie poznasz nigdy. Bo tu nie imionami żadnymi chrzczą nas, lecz swoimi karbami numerują karmiciele. Karmiciele to tęgi lud. Dla nich potrzeba dużo, dużo naszych dzieci. Inaczej sami zmarnieją.

Po czym i ten gdzieś znikł. Koło Kudila jeden tylko został

2) Pięknej wody — o wodzie nie wolno mówić że dobra, ona tylko dla brzegów nie dla nas dobra, należy mówić "krasna" czyli piękna.

umrzyk zasuszony, co ledwie się ruszał. Czaszka goła śmiała się przez ściągniętą na obliczu skórę. Chlustał, wypłukał słowa:

— O słobodzie zaczynasz czortowskiej? Chcesz nią wszystkich ich tu zamorzyć, tak jak ona mnie zamorzyła. Ani mnie tu zeżreć nie chcą potwory, kościeja takiego, ani ja żreć nie mogę ich gnoju piekielnego. Wszystko od tych dum czarnych! Słoboda — to tutaj czarna śmierć głodowa.

Położył się, wyszczerzył zęby, próbował gryźć trawę. Znow chlustał, pluł jakieś kłatwy.

W końcu jeszcze jakiś pokrecony, zniaczony ludzki szaraczek przybiegł, jakby coś sobie przypominał. Ręce wyciągnął jak łopaty. Machał nimi rozpaczliwie, jakby do głowy komu trudną mądrość chciał wsadzić.

— Człowiecze śmieszny a grzeszny — wołał — boś człowiek jeszcze. Czyż nie widzisz, że to Boża kara. A ty chcesz nas słobodą dręczyć. Od razu daj się rozszarpać, a nie męcz ludzi umęczonych.

Znow uciekł z powrotem do trzody.

To jeszcze jeden służka niewoli: na Boży rachunek. Inni już daleko odeszli, oglądając się czasem nieznacznie, trwożliwie wężąc lub chruckając.

Taki był pierwszy odzew na głos ludzki, na hasło słobody.

Opowiadał Kudil:

— Bez przerwy i bez pamięci spałem wiele dni. Potem już wciąż leżałem, chodziłem nawet z zamkniętymi oczyma. Tam i tak każdy człowiek rad oślepnąć, z tego tylko, że nie chce patrzeć, bo gorszy go oko. A ja i własne członki z ochotą bym podrębywał, wrzuciłbym do którejś z jam ognistych. Bo brzyd mną trząsł, że to taka sama świnioludzka skóra jak u tamtych. Boże — Słoneczko święte! Wypłuć, wycharkać człowieczeństwo! A jeśli żyć, to przynajmniej wołem być, bo przed kijem ustępuje, ale nie zniaczysz swej duszy wołowej!

Tymczasem i Syrojidy poznali powoli, że Kudil to człek niezwykły, bywały a bez lęku. Może spostrzegli, że stroni od ludzi, ale przez fłojerę włada nimi, że jakieś czary ma czy moce. I o tym wszystkim poszła wieść do Syrogradu, do Peredowoży. Odtąd karmili go mlekiem oślic. Wreszcie czy to chcieli i Kudilowi trochę strachu nasypać i spróbować go, czy napróżd pokazać mu swoją wielkość, a potem korzystać z niego mieć na swój sposób — zawlekli go do samego Syrogradu.

Kudil myślał, że już go wiodą na rzeź. Postanowił — gdy już nic innego mu nie pozostanie — przed śmiercią walnie rozprawi się z ludomorami, aby sława o tym pozostała na zawsze w kraju niewoli. Miał się ciągle na bacności. Lecz oni wodzili go tylko i ciągaliby po norach podziemnych, po zakreconych jak kieszki zakamarkach. Pokazywali mu różne ognie, różne piece. Dopuścili go wreszcie do Peredowoży.

Tylko głowę wychylił z głębi nory Peredowoża. Na pierwsze wejście taki sam jak inni. Ale wkrótce zmiarkował Kudil, że oprócz oka głównego z przodu głowy, ma jeszcze dwoje oczu ukrytych w potylicy. Głowa Peredowoży niby zardzewiała z

wierzchu. Pokrywał ją rudy wilgotny mech potworkowaty. Każdy pręcik mchu wychylał pałą niby rudy karlik brodaty. I brode miał sam Peredowoża strzepichatą jak gęstwina zeszczał olszyny. Każdy patyk brody ruszał się jak rozmarzły gad. Gdy wychylił się, powiało z nory duszącym wichrem. A z wichrem tym lęk sypnął się na watażków, którzy doprowadzili Kudila. Zginali się w pół, trzęśli się jak drzewa w wichurze. Kudil trzymał się, był taki jak zawsze. Sam nie nic mówił, zdziwienia nie okazywał, na pytania zaledwie odpowiadał. Trzymał w ręku fłojerę. Peredowoża zostawił go sam na sam z sobą. Watażkowie znikli jakby ich wywiało.

Peredowoża ziewnął. Skrzypnął przeraźliwie jak drzewo łamane wichrami. Ognie czerwone, żółte i rdzawe dudniły, świestały i syczały wokół. Oświecały nory i chodniki.

To podrywały się, to gasły. Potem tym ciemniej było. Przez cały czas Peredowoża tylko głowę wychylał z jamy. Zachrypiał.

— W błoto cały przed Bożuchem! Jeśli nie chcesz stać się zwyczajną zjadalną chudobą, daleko zanieś masz wiarę Bożucha. Soki dla Bożucha! Otrzymasz za to moc od Bożucha. Na czworaki, na brzuchy, w pętle i w uzdy wszystko co żyje! Uczworaczymy, splaszczymy, obuzdamy³⁾ całą ziemię. I utuczmy. I sami poćkniemy. Soków dla nas, posoki. Chrupać, ssać, tykać.

Peredowoża oczekiwał, dyczał tchnieniem duszącym. Kudil nie odpowiadał. Peredowoża chrypiał dalej:

— Chcesz wiedzieć jak obuzdamy świat? Zaraz ci pokażę. Potem odkryję ci czym będziesz ty dla Bożucha, dla nas.

Wówczas skądeś, z sąsiednich nór wypęzły na czworakach omszone do siwizny Syrojidy, całkiem pokryte mchem, jak kłody srebrnomszyste. Otoczyły Kudila, uprowadziły za sobą. Znow pęzali razem norami i powikłanymi chodnikami. Schodzili coraz niżej w głąb bardzo duszną. Stamtąd różnobarwne płomienie, gorące ponad wszelką miarę, to pętkotały wąskimi paskami, to ryczały szerokimi strugami ognia. Gdy zeszli do szerokiej lecz niskiej jaskini, zobaczył Kudil tuż pod płomieniami nie duże lecz także podrosłe już Syrojidzięta, czy to ogniem przepalone, czy jakby w garncarskich formach urobione, wszystkie dziwaczne a groźne. Nie tylko trójkie, także uskrzydłone, co furkotały skrzydłami nietoperzy. Inne znow, wodne Syrojidy, jak raki unosiły się w kipiących jeziorach na wodzie. Wszystkie wytrzymały te wary i żary. Tam żyły, tam hodowały się. To była ich kolebka. A taki żar walił od płomieni, że nie tylko Kudil, nawet stare czworonożne Syrojidy nie mogły się przybliżyć. Jeden i drugi potworek od razu chciał ugryźć Kudila, lecz kudiate sługi Peredowoży pośpiesznie zastąpiły im drogę. Wtedy ten i ów wygryzł żółty kasek z łapy starego Syrojida. Ale staruchy starannie wyrwali im te kaski z gęby, jakby to była szkodliwa czy niestosowna strawa dla potworków.

3) Obuzdać (i dalej obuzdacz) — zakładać uzdę, okiełznać.

Kudil nigdy w życiu nawet nie śnił o takich dziwotworach. Nie mógł się napatrzyć na nie, nie mógł się nadziwować. Prawie zapomniał o wszystkim.

Jednak powietrze było duszne, parno-ogniste jak w piecu żelaznym. Musieli wracać. Wrócili do Peredowoży.

Peredowoża ciskał iskry do uszu i wędki do myśli Kudilowych. Kusił go, prawił mu kazania syrojidzkie.

— Pyszniłeś się za prędko, że u nas wszystko jednakowe, wszystko durne, wszystko na smyczkach u watażków. Patrz jaki potężny, żarłoczny lud tam się wylęga. Władcy obuzdaczają. Tu w tajemnicy pod ziemią poczęty i wyhodowany. Ród ten żywiony najlepszymi z naszych, a ci najlepsi od lat żywieni najlepszym. Tacy spośród Wiernych co zjedli przynajmniej setkę chudoby ludzkiej, najlepiej mlekiem naszych matek utuczonej idą sami na pokarm dla tych nowych pokoleń. Największa to cześć! Nie dbamy o dawność, o jakieś rody dawne, o to co było, jak w ludzkich krajach, wyhodujemy to co będzie. Nie będziemy gnić na gazdostwach jak wy tam u siebie. Z piaskiem pustyni, z burzą spadniemy.

Chcesz z własnej woli, z mocnej woli iść razem z nami? Jam jest przełykiem Bożucha, a ty bądź bułatną dłonią Peredowoży, pomocnikiem moim, świata obuzdaczem. Chcesz?

Pierwszy raz z żarów wyrwały się słowa: «własna wola, — chcesz». Pierwszy raz odpowiedział Kudil:

— Jeśli mam iść z wami, poznać chcę wasze tajemnice, waszą siłę, waszą słabość.

Peredowoża sięgnął wtedy jeszcze głębiej. Z pychą, z powagą ponurą odkrył mu taką rzecz, że Kudil, wciąż dzierząc fioletową w rękach, z wszystkich sił musiał trzymać się na wodzy, aby mu nie zawirowało w głowie. Oto kazał mu Peredowoża patrzeć w jamę ciemną obok swej nory.

Patrzyli obaj bardzo długo. Kudil zmęczył się, tracił siły, już prawie zasypiał. Aż nagle wstrząsnęły się podziemia, zadudniły z łoskotem zawory skalne. I otworzyła się przed nimi sztolnia ukośna, bez końca, o ścianach lśniących i śliskich. — Stamtąd zakotłowało gromami, po czym sztolnia rozżarzyła się do czerwoności jak ulica ognista. I wypłuła z wnętrza kłębowisko dymów uśmiercających smrodem. To była brama piekielna, huzycia⁴⁾ świata.

Peredowoża chłonał dymy łakomie, łykał je. Dudnił z nabożeństwem:

— Widzisz, stamtąd, z bezdni moi opiekuni ogniści dosyłają mi mocy i juchy. Siła moja nie z powierzchni. Czcią głębie tylko ja umiem.

Kłaniał się, bez przerwy kiwając głową ku jamie.

Z trudem opamiętał się Kudil, taki nim wstrząsnął wstręt od tych pokłonów przed jamą huzyczną i od tego chełpiarstwa.

Tak poznawał różne ich tajemnice, ciekawił się nimi. Nie da-

wał się lękowi. Zdawało mu się, że odkrywał dla siebie co najważniejsze. A im się zdawało, że mogą go uwikłać i że będą mieli dla siebie tego junaka, jak niegdyś mieli nauczycieli ludzkich.

Jednak choć Kudil wszędzie miał dostęp i choć sam Peredowoża co jakiś czas wychylał się doń z jamy, nie dopuszczali go do pieców, gdzie pieczono ludzi, ani do jatek ludzkich.

Przyszła dzień, że znów osaczono i zamknięto Kudila. Zamknięto też wszystkie trzody ludzkie. Już przedtem słyszał Kudil, że zbliża się największe święto Syrojidów. Dosłyszał też, że niektórzy nazywali je po cichu — świętem słobody. Ale nie chcieli mu tego odsłonić. Świętowali je potajemnie.

Kudil jednak znalazł sposób by podglądać to świętowanie. I coś zobaczył?

Peredowoża wypuścił cały ród Syrojidów na paszę: i starych omszonych jak kłody pralesne i watażków i młodszych, zniżaczonych jednakowusienko wojaków i małe Syrojidzeta żółtym podobne, a nawet one przetopione w ogniach podziemnych groźne młodotwory. Bez złotych kaftanów, bez kłód na nogach wszystko to podskakiwało na czworakach, koziółkowało, brykało słobodnie. Wciąż skubali trawę. A wciąż z radości kichali, piszczeli, szczekali. Przez jeden ten dzień w roku byli słobodni! W tym jednym dniu wolni od grózb ciągłych, od złości. Wciąż obwachiwali się radośnie, wciąż tulili się, garnęli się do kupy. Było im dobrze. I nawet nie strasznie wyglądali, ani nie tak obrzydliwie, tylko mizernie, zabawnie, ot jak jakaś czereda zawiętej, wielkiej szarańczy. Takie to w tym słobodnym dniu pstrykało na czworakach, czy drgało leżąc na rudej trawce, potworkowane, zniżaczone, zescholiste.

Hospody! jak zbrzydził się tym Kudil! Takie to tajemnice ma badać? Takim wojskom na przewodzić? A chociażby walczyć przeciw takim? Gdyby nań cała puszcza ruszyła, to co innego! Zawsze im sroższy zwierz był, im groźniej do jego łba się brał, tym bardziej go ciekawił. Bo każdy był inny i jeszcze jaki! Czy ryś skoczek i płasarz krwawy, czy łamignat niedźwiedź, peredowoża puszczył. Czy tūr zawalidroga, ciężki jak kłoda żywa, a choćby tylko jelen. A na tę liściastą hałastrę nijaką i palec podnieść wstyd! To nie dla strzelca, dla zamiatacza chyba.

Dopiero wtedy ukazała mu się cała ich biedota. Dokąd by zajeżeli te niedorodki na samej ich słobodzie? A nawet gdyby tak na zawsze się uśmierzyli — a nie zagłodzili się przy tym całkiem, — to zostaliby na zawsze liście zaschłe wędrujące. A któżby im dodał soków?

Nie chciał odtąd, nie potrzebował już dobijać się do żadnych tajemnic syrojidzkich. Trzymał się ludzkich rzesz. Wmieszał się znów pomiędzy nie.

A gdy go dostrzeżono na pastwiskach, wieść poszła, że znów się zjawił. Zewsząd szły szept i głosy, nie tak już trwożne, coraz bardziej tęskne, a coraz tętsze: o ojcach starych, o ojcowiźnie lubej, o polach zielonych, o chatach białych i złotych, o lasach szumiących, o śpiewaniu. Zasiała się na dobre tęsknota. Teraz

4) Huzycia — tylek, podobnie jak u Paska "huzno".

wschodziła. I jak żywy las liściasty, każdy liść odmiennie — szumiła, płasała w wietrze. Już prawie zaśpiewał, w śpiew układało się tęsknienie rzesz.

O tak! Zaślepnąć, nie patrzeć, nie gadać, tylko słuchać. Zapadała się niewola. Wstawała ukryta, ale żywa jeszcze dusza.

Pomyślał Kudil:

— A gdyby im tak samo odpowiedzieć? Ale głośno, szeroko na cały kraj!

Dotknął fłojery za pazuchą. Znow zaczął jej próbować. Zardzewiała jakoś, zaprzęta. Sprzeciwiała się chrapliwie. Mocował się z nią, wyczyścił ją, namodlił się nad nią. I zagrał tak jak chciał. Lepiej niż kiedykolwiek, lepiej niż w bitwach, lepiej niż w katowni. Tak samo, jak na *prywil* samemu Wasylukowi.

Podniosły się biedne rude trawki na stepach słonych. Dymy żółte opadały, nie snuły się. Nie bulgotały chlustawki ani jeden grom podziemny nie zahuczał. Przejaśniła się żółtość. Zatumaniały całkiem oślaki. Z wszystkich pól i pastwisk zebrali się ludzie. Stali albo poklekali. Potem wyciągali ręce do modlitwy. Wyciągali przed siebie ramiona, jakby mieli obejmować. Przemieniały się lica, oczy przestały typać i tyskać po syrojidszku. Umęczone przerażeniem uciszały się, gasły w wyrzeczeniu jakby oczy umarłych. Usta przymknięte drżały jak liście osikowe.

A kiedy Kudil zagrał Wasylukową nutę słobody — czy to szepty zaszumiały, czy wiatr oddychał? Jeden i ten sam motyl pędzony wiatrem przeleciał z zeschłego bodiaka na bodiak, pił sącę z każdego bodiaka. Oto lzy tryskały z każdego oczu i ta sama boleść lecąc od oczu do oczu, słodko syciła się, brała siłę z lez.

Kudil grał dalej, witał lzy:

Haj! Niewolo cóżes ty za pani?! Pajęczynowe podwaliny twych festunków! Lza je podmyje. Ściany twych zamków lodowych za cienkie! Śpiewanka duchnie i stopi. Mocniejszy od mocy twych ten patyk zaschły — fłojera.

Noc nadeszła, a wszystko pozostało na pastwisku. Nikt nie zwracał uwagi na oślaki. A one nie nie rozumiały, nie miały już siły. Kręciły się bezradnie. Omdlewał prawie z grania Kudil. W głowie mu kipiało i grało. A wciąż grał bez ustanku. Dopiero gdy ranek przyszedł — osłabł. I ustała pieśń.

A wtedy głośne rżenia oślaków poniosły się przez stepy. Nawoływały się trwożliwie, wysilały głosy. Lecz już tymczasem rozbiegła się polowa ludzi. Pognali do innych, dalszych osiedli, gdzie właśnie wypędzano ludzkie trzody na paszę. Dawali znaki, rozpowszechniali wieści. Wszędzie zatliła się swoboda. Zewsząd grał szum coraz głośniejszy, zewsząd zbiegali się ludzie do Kudila.

Na wizgi oślaków wstawali z norowych legowisk Syrojidy. Z klapaniem, piskiem i smrodem przycewalał hurmą na pastwisko. Pozawieranymi uszyna nie słyszeli fłojery, nie rozumieli co się stało. Gdy zobaczyli wielkie masy ludzi wyprostowanych, wzburzonych, to jedno zmiarkowali, że zachwiała się niewola.

W żółtych mgłach dygotały z bortawych⁵⁾ kłód ciosane jednako żółte maskary Psiogłowców. Gały ich toczyły się, bałuszły się, szukały ucieczki z ram trójkątnych. Wietrzac gorączkowo świstały nozdrza. Od ucha do ucha rozdziawione mięsistoczarne wargi kłapały jak u ryb wyrzuconych na brzeg. Wykrecone jeden od drugiego sierpowate kły wykreśliły się aż pod uszy. Rapawe i ścięgniaste jak korzenie buków łapy o bułatnych szponach trzęsły się nieustannie. Przeraziłwie piszczeli sobie wzajemnie do zawartych, pierożkowanych uszu.

Puszczolomny wiatr trząsł tą zeschłolistną gęstwiną. Straszyla odkryły swój strach, przeraziły się i rozbiegły się każde w inną stronę. Po całym kraju zawodziły oślaki, rozdierały się groźbą przeraźliwą i kłapały Syrojidy. Coraz większe rzesze ludzi przypływały, skupiały się koło Kudila. A Kudil spał w polu, odpoczywał.

Potem znów roje Syrojidów przywiał. Kłodnicy otaczali ludzi, ale coraz mniej ich starczyło. Już nie stali hurmą przed garstką zniaczoną, stali przed rzeszami. Ogłuszali ludzi, harkali i kłapali kłodami, szczyrzyli zęby, wysuwali pazury, miotali chmury duszącego smrodu.

I choć może na rzesze jeszcze padał strach, ale już, jak ów deszcz jadowitych błotnistych kropelek, co spadając z ogniotrysków na rozżarzone skały, syczą wściekle i zmieniają się w parę duszną. Tak ze strachu zwierzęcego wściekłość zwierzęca wstawała. Syczały dusze ludzi, otumanione oparami i dymiskami gniewu.

W Syrojidach zaś wyczerpywała się jucha. Na dnie przerażenia błyskało.

Dotąd niewiele różnic widzieli między ludźmi, co zazwyczaj skuleni albo na czworakach chodzili, albo też kryli się wśród rzeszy jeden za drugim. Rozróżniali tylko tłustość i pleć, rozpoznawali po karbach naznaczonych przez oślaki. Teraz odkryli różnice. Nie poznawali, czy to ta sama ich trzoda. Dziwić się nie umieli, wciąż dygotali od tej trzęsawicy między wściekłością a strachem. Watażkowie mocno dzierżyli spore kupy Kłodników na warkoczowych smyczach. Już zaczynali harkać jedni na drugich, już buntowali się przeciw watażkom.

W tym hałasie piekielnym spał Kudil bez przerwy.

Wtem nagle cisza przecięła hałas. Jak mgła zaległa pola wśród żółtych mgieł. Oto zjawił się w końcu sam Peredowoża, korzeń syrojidszki. Jechał na plecach kilku starych omszonych Syrojidów. Ciężko się poruszał. Miał kilka brzuchów co zwisały jak tęgie wałki obrośnięte miotłkami włosów-korzonków. Dotąd nikt go tak z bliska i dokładnie nie widział.

Temu to strach padł i na watażków i na Syrojidów, a w końcu na ludzi. Spośród wszystkich Syrojidów najciemniejszy, on jeden między nimi był smutny. I złość tylko nalepioną miał na smutek, jak rogozę popękaną. Poprzez żółto-gliniaste strzępy

5) Bortawy — pełen dziur, spróchniały, robaczywy.

złości, sinawy smutek tlił i łyskał. Bezdenna czełusć czarnozielonej gały w trójkątnej ramie mętnie świeciła, jak wygaste po wybuchach jeziorko, tam na stepach przypiekielnym. A potyliczne oczy mroźnie, nieruchomo badały, śledziły zawzięcie.

Peredowoża ziewnął. Aż przysiedli ze strachu Syrojidy. Jakby spróchniałe buczyisko rozdarło główny pień, wypuściło zwiotczały miąższ, sypnęło i zaświeciło próchnem — a potem znów zawarło się z trzaskiem.

Syrojidy cofali się w popłochu, tłoczyli się na wszystkie strony, tratowali jedni drugich. Zatrzymali się wreszcie opodal, poza ludźmi, po obu bokach Peredowoży. Peredowoża sam pozostał naprzeciw rzesz ludzkich. Gdy już i ludzie zaczęli się mieszać i cofać, zbudził się Kudil.

Słyszał jak Peredowoża wzywał rzesze wiernych.

Nikt z Syrojidów doń się nie przybliżył. Patrzyli nań urzeczni, zapomnieli o ludziach.

Peredowoża odbywał tedy z nimi ćwiczenia i sztuki syrojidskie. Naprzód nakazywał im kochać trzody, dbać o nie po gazdosku. I natychmiast tłumy ludomorów zatrzęsy się, cmokając i oblizując się, zawyły miłośnie. Potem zaraz nakazał groźnie ćwiczyć i trzebić trzody, jeśli do wierności nie wrócą. I w mig płomień groźby wybuchnął i przesuszał przez ciżby ludomorów.

Potem Peredowoża zwrócił się do trzód ludzkich:

— Głodni jesteście! Schudniecie nam! Marnujecie naukę. Szczęście swe marnujecie. Po dzikoludzku szalejecie! Do kucz! Jeść wiernie!

Siedząc na swych wierchowcach kłodziastych zaczął się przybliżać do ludzi, jakby chciał sam jeden naprawić, co się nie udało wszystkim Syrojidom.

Jednak ludzkie gromady rozjuszyły się, stały się same kupą Syrojidów. Zagłuszyły Peredowożę. Zahuczały gniewem ognistym. Krzyczano z tłumu: Pękniecie z głodu! Na trawę Syrojidy! Wrzaski z huczyci tykać!

Z wrzaskiem ruszyli ku Peredowoży. Wśród Syrojidów zabłyśnęły setki gał ocznych, mraki żółte wstrząsnęły się od wycia i wrzenia. Lecz nie zbliżyli się do swego wodza, nie odważyli się doń zbliżyć, nawet by go osłaniać.

Peredowoża nie cofnął się przed naporem ludzi. A gdy go otaczali, mroźnie ich przenikał oczyma potylicznymi, palił różnicą gałą. Zatrzymali się, nie zdzierżyli mu, zaczęli się cofać.

I wtedy z rykiem pognali za nimi Syrojidy, okrążając i omijając Peredowożę. Tego i owego człowieka zatłukli kłodami i zawarli w szpony bulatne. Widać już było, jak zadrapani i zatruci tym ludźmi wili się w męczarniach, jakby od ukąszenia jadowitego gadu. Lecz inni bosymi nogami zadeptywali Syrojidów, aż żółta, gęsta ciecz wszędzie się kleiła. Z kolei sami padali zatruci. Z tyłu za Syrojidami wolno posuwał się Peredowoża.

Wtedy z ciżby ludzkiej wyszedł Kudil. Wzniósł rękę. Zatrzy-

mały się rzesze. Gdy Peredowoża ujrzał Kudila, zatrzymał się także.

Stali tak wszyscy w milczeniu. W końcu Kudil sam podszedł ku Peredowoży. Powiedział:

— Poznałem waszą tajemnicę. Widziałem wasze święto słobody.

Peredowoża zaskrzypiał:

— Za małyś do naszej tajemnicy. Nie możesz iść naszą ulicą, tak jak nie możesz zapuścić się w nasze gorące podziemia.

Kudil odpowiedział:

— Wy nie swoją ulicą idziecie. Na wywrót idziecie, całkiem na wywrót. Z grzechu całe wasze życie, nawet wasza postać z grzechu.

— A wasza z czego?

Kudil odwrócił się, odparł głośno, by słyszał kto żyw:

— Pękł wrzód, główny grzech — strach! Myśmy już chrześcijanie.

Gała Peredowoży pozieleniała jeszcze bardziej.

— Chrześcijanie? To znaczy, macie u siebie innych słabszych jak my was, aby straszyć. Na chudobę, na pokarm.

— W naszych krajach słobodnych — my wszyscy słobodni. Nie Bożucha czcimy, lecz Boga żywego.

Znów milczeli. Cisza ogarnęła żółte pola.

Potem Peredowoża znów kuśił Kudila. Warczał do watażków: wyprowadźcie go na słońce, daleko. Niech sobie idzie, nie dla nas on, a my nie dla niego. Choćby jaki twardy był, zawszeć krew jego nie to co nasza, nie żółto-oliwna, lecz ruda jakaś, wodnista...

— Idź sobie — mruczał do Kudila — ku wielkiej zimnej wodzie, zostaw nas. A trzody nasze zostaw w spokoju na służbie wiernej.

— Oni pójda za mną.

— Czy wszyscy pójda? A czy ty nie wiesz, że nawet gdy pójda przez pustynie nie opuścimy ich. Dniem i nocą snuć się będziemy za ich śladem. Osłabną w końcu i zginą w szponach Wiernych, choć jest ich wielu.

— Nie osłabną gdy wezmą ode mnie to co ja mam.

— Cóż to? Czyż naprawdę spodziewasz się zostać Peredowożą mocnym? I moc mieć nad tymi, i moc z tych, co wczoraj jeszcze byli chudobą i jutro będą chudobą?

— Nie! Nie chcę być Peredowożą! Chcę z niewoli wybawić pobratymy moje! Albo duszę za nie położyć!

Peredowoża miarkował coś. Milczał długo. Zaskrzypiał bardzo cicho, jakby westchnął:

— Niech nas rozsądzi źródło.

Na to wrzasnęły z uciechy Syrojidy, zaraz zaczęły się obwachiwać radośnie, lecz ludzkie rzesze zawarzały gniewem i trwogą. Odbijała się im w grdykach niewola, ziała wonią zgniłych jaj.

Kudil powiedział:

— Niech nas rozsądzi źródło.

Syrojidy uspokoił się, jakby pocieszyli się zupełnie. U Peredowoży rozbiła się zielonym płomieniem gałą. Siny smutek znów chował się za grozę.

Lecz z ludzkich piersi szły pomruki gniewu. Kłótnie rozpały się, zrywały się groźby. Niektórzy podchodzili do Kudila i szeptali, przypominali groźne wieści o źródle, tłumaczyli, przekonywali.

Od dawna bowiem ludzie tamtejsi drżeli już na samą myśl o czystym źródle i o spowiedzi. Zniaczali się, już przecie zanim ich tamtędy wypędzono. Każdy ćwiczył się usilnie, by myśleć tylko tak i wyznać tak, jak potrzeba przy źródle:

«Jestem szczęśliwy, jestem tutejszy».

Albo też:

«Nie myślę o sobie, jestem chudobą Karmicieli».

A czasem jeszcze i to:

«Chcę stać się karmą dla mych umiłowanych Karmicieli».

Przemocą sami wbijali sobie do łbów te myśli, wkarbowali je głęboko. Gotowi do spowiedzi przy źródle byli, a przez to zniaczeni więcej niż przez wszystkie inne praktyki syrojidskie.

Toteż wówczas kiedy chciał iść do źródła Kudil, jedni głośno wołali, szczerze prosili go, by lepiej od razu iść na bezwodzie i bezkarmie i błędnie i cierpieć tam miesiącami, byleby ominąć straszne źródło — inni zaś z oddali warczeli i chruckali z daleka, wywalali oczy z wściekłości i strachu.

Gdy Kudil wysłuchał już wszystkich pogwarek, namów i pomruków, powiedział w końcu:

— Pójdziemy do źródła. Niech niewola zje samą siebie. Bo któż ją strawi. Prawda nie karmi się niewolą. Prawda was wyswobodzi.

Ale wtedy poznał Kudil słobodę niewolnych. Ci co dotąd z daleka szemrali i warczeli — niedawne jeszcze świnoludy — przybiegali doń, odgrazali się kułakami, rozmachiwali nogami, by go kopnąć. Ale zaraz prędko odskakiwali przed jego wzrokiem.

Wywrzaskiwali z daleka:

— Całyś czas kłapał nam o słobodzie, a teraz chcesz karmić prawdą! Żryj sobie sam prawdę swoją i żłop chlustawki przekłete! My tu zostaniemy, tu będziemy gazdować i panować!

Uciekli przed Kudilem, ale dzielnie rzucali się na oślaki. Opadłszy w kilku jednego, jak wilki konia, wykasywali mu kawałki mięsa, zającując je od razu na surowo. Gdy ośmielili się, łamali kości oślakom. Wyrwali im piszczele, mieli już broń przeciw Syrojidom. Pokazywali, że są słobodni. Zaczynali gazdować.

Rozdzierając rwały napadnięte oślaki. Zakotłowało w żółtych mgłach.

Dużo by czasu trzeba, by opowiedzieć, jakie tam zamieszanie i kłębówisko się rozkiełbało. Rozjuszono świnoludy, oślaki i Syrojidy przewracały się, kłębiły wśród żółtych mgieł, miazgą

rozdeptanego gadowiska i tłokiem rozżartej w czasie ruji psiarni.

W końcu zbuntowane świnoludy poturbowane i odpędzone przez Syrojidów, ale pijane słobodą, rozbiegły się po całym kraju, szukając oślaków i zapasów żywności syrojidskiej.

Z daleka słysząc było ich śpiewy zwycięskie: «Chru—chru—chru—do—brze—tu!» Syrojidy wcale ich nie doganiali. Rozumieli, że zbiegi wrócą do nich sami.

Tymczasem Kudil wyruszył ku źródłu. Za nim część ludzi, przeważnie ci, co słyszeli jego pieśń, a także Syrojidy i ocalale od bójk oślaki — wszyscy podążyli ku źródłu. Z tyłu pochodu, za Syrojidami, powoli, sennie, okazały i znaczny swymi brzuchami włókił się Peredowoża.

Ciemny był dzień jak nigdy dotąd — tak przekazał Kudil. Gdy szli rzęsami ku źródłu, w mgłach zatopiony przednie szeregi ludzi. Syrojidy ławą szli lewą stroną, niedaleko, ale zaledwie widzieli jedni drugich. Zewsząd grzmiały, bulgotały i dymiały chlustawki. Zasłaniały wszystko. Ponurzył się kraj podpiekielny w mrokach i groził. A Syrojidy znów nabrali otuchy, że same moce ich ziemi przygrywają im i wieszczą pomoc.

Lecz nie tylko podziemia grzmiały. Tu i tam wśród ludzkiej rzeszy rodził się głos jak w głębi studni pustynnej. Dudnił, piał jak tłok ciągnący wodę z głębi. Zbliżał się ku powierzchni, jaśniał i śpiewał. Wiązały się głosy jeden z drugim. Układały się w litanie pokutnicze. Grzmiały śmiało, odpowiadały gromom podziemnym.

Pieśń wygarnęła z człowieczeństwa siłę, ścisnęła ją. Stawała do oczu harmatom piekielnym. Prowadziła przez mroki.

Rozjaśniło się dopiero, gdy się zbliżyli do źródła. Inny tam świat, kres piekielnej okolicy. Za nimi sterczała ściana żółtej mraki, przed nimi czyste powietrze stepowe wiało słobodą. Także dlatego bali się dawniej schudobienicy ludzcy iść do źródła. Bo od razu z powietrzem wnikała w nich tęsknota za słobodą, a o tym zaraz ze spowiedzi nad źródłem dowiadawali się ludomory.

Źródło rozdarło opokę głębokim jarem. Odgrodziło świat od kraju niewoli. Z łona ziemi wylewają się jego wody ogromne i spływają po skałach hukami.⁶⁾

Na stromym brzegu jaru od wschodniej strony rozsiedli się Syrojidy wraz z oślakami. Szeregi błędnych ogników łyskały na brzegu gały oczne.

Z drugiej, zachodniej części jaru, ukłękli ludzie na brzegu. Huczało źródło, dzwoniły huki. Pieśni dzwoniły, modlitwy szeleściły.

A gdy równocześnie zeszli w dół ku wodom, potężny grom wód i huków, pieniających się na skałach, pochłonił wszystkie głosy, onieśmielił wszystkich. I obie strony po obu brzegach w milczeniu napiły się z tego samego źródła.

6) Huk — wodospad.

Źródło wymiata, ługuje i wymywa duszę. Szczątki pyłu z niej porywa, zagarnia na przeciwny brzeg i niesie dalej, — kóż wie dokąd? Zbawienne ono, — święte, — ale groźne dla śmiertelnych. Tak wymieść i wyzwolić duszę można tylko w obliczu Boga, a nie w obliczu ludzi. Tym bardziej nie dla uszu wrogów-wyrodków. Tak pusto i czysto na duszy jak u małego dziecka. Ale słabo, omkno⁷⁾ jak gdyby z serca, jak ze spękanego czerepu wysączyła się krew. Coraz bardziej cienie struga życia, zanika, kończy się. Toteż każdy głos, który płynie z przeciwnego brzegu, napęniając duszę, sadowi się i gnieździ jak u siebie. Jak gdyby własną krwią napęnia się nim opustoszałe serce.

Dlatego dawniej właśnie w takiej chwili ludomorzy zniżali do cna ludzi zniewolonych. Bo gdy strachu tama tęga lepila się jak wał i zatykała szczelnie od środka duszę, narzucały się na nią głosy. I co wykrzykiwał z drugiego brzegu ludomor, to biedny, wyspany z myśli człek, miał za swą myśl:

«Jestem bydlęciem Watażka i Karmicieli. Jestem szczęśliwy, nie myślę o sobie. O Karmicielach myślę i o wodzach mych — oślakach».

Tak utwierdzała się niewola.

Także onego razu pustka czarna ogarnęła dusze ludzi. Jak ostateczny sąd. Najcięższa to chwila była z całej wędrówki Kudilowej, najbardziej ważka. Potężny szum źródła głużył każdy głos osobno, jednak ponadeń wydarł się okrzyk z piersi człowieczych.

— Zabrało nam duszę! Zaraz twarde rozkazy przyjdą od Karmicieli.

Z drugiego brzegu coś przebijało się poprzez szum wód. Pomiędzy grające fale i szepcące krople przemykały się bzykania tłustych, opitych krwią bąków bydlęcych. To dusze ludomorów. Rzuciły iskry ku duszom ludzkim. Jedna przeciwna drugiej:

«zagłodzim was»!

«woda ich matka»!

«oni nas zagłodzą»!

«hajże trzody, należny nam śpiew wierny»!

Rwały się iskry, syczały znów:

«nie postuchają»!

«znów być nam Syrojidami»!

Iskry wyły jak kamienie z procy:

«ratujmy się rodzie Bożucha»!

Potem wycie szło z tamtego brzegu, jakby w wichurze gięły się drzewa. I im zabrało duszę źródło.

Rozpacz i złość Syrojidów uciekły w szumach na nasz brzeg. Przetratawały sobie przez ludzkie dusze jak stado rozjuszonych oślaków. Ludzie widzieli rozpacz wrogów, ale nie mogli się opamiętać. Bo sami nic nie mieli w duszy. Jeszcze większa czarność ich ogarnęła. Wszędzie była niecoś, żadnej siły nie widzieli na ziemi. Już usta otwierały się. Już się zaczęły wypulać oczy.

7) Omkno — mdlejąco.

Krzepił się w sobie i modlił Kudil. Stawka ostatnia było w fłojerze. By zwyciężyło człowieczeństwo. Tu ukazał mu się wierch dopustu, próba: czy godzien jest położyć duszę za pobratymy?

Dlatego to w pieśń trzeba było duszę położyć, dech cały tchnąć. I bez tchu paść w głębie wód, gdyby świat nie dał się pieśni.

Wtedy niespodzianie uderzyła na nich nowa fala z drugiego brzegu. Źródło nie tylko unicestwiło ludomorów. Wypłukało też ich grzech. Z tamtego brzegu buchnęła woń leśnej zgniłej ziemi. Pogrzebane warstwami stare rody drzew i liści a zachowane w nasionach. Prastare coś, zmurszałe tchnęło stamtąd. Założnie wypowywali Syrojidy swą tajemnicę.

Tajemnicę korzenia odkryło źródło: z warstw ziemi leśnej coś błagało Kogoś — kogo, nie mogło zrozumieć — by odrodziły się i trwały jego rody. Był czas dla fłojery.

Kudil podniósł ją do ust. Bzykała jak bąki, skwierczała i kipiła jak płótno gotujące się w ługu — aż się oczyściła. Potem kwiliła jeszcze jak białe piskłe sokole, opuszczone, samiotkie w gnieździe samotnym: prosiła, groziła bezsilnie, by ją zostawić w spokoju. Kudil trzymał ją uparcie. Wzmocniła się, urosła, rozmachnęła się skrzydłami. Wydierała mu się z rąk. Już porywała go lotem, by cisnąć nim z góry ku ziemi, by odeń się odczepić. Dzierżył ją ze wszystkich sił. I wszystek dech w nią wetchnął.

Powoli kropliny zaczęły się sączyć z fłojery. Potem zadudniła jak źródło. Popłynęła stara pieśń narodziła na nowo. Szumy wód porywały ją, rozsiewały światami. Pomnożyły ją jak echa górskie. I znów na ludzki brzeg wracały potężne odgłosy.

*Ileż będzie, Wasyluku, twego towarzystwa
Jako w naszych bukowinkach zielonego lista.⁸⁾*

Niosło się na szumach i po falach. Tętniło jarem, rozchodziło się ku wschodniej stronie, nad kraj podpiekielny, sięgało ku zachodowi, ku zdrowym stepom.

Ludzie wyciągali ramiona, brali się za ręce. W tej chwili nie było wrogości, słoboda wschodziła nad źródłem, jak ozimina.

Fłojera grała dalej.

Wtedy to pustynny wir zakręcił listoludami na wschodnim brzegu. Wirowało tam, huczało i grzmiało. I ileż burz po raz ostatni wylało się w tej wichurze.

Gdy zaś ucichła burza, z ciemrawy wirów wynurzyły się postacie. Z początku mgliste rozłogi, obłoczyste zawijadła i płataniny. Potem ukazały się żółte cienie drzew. Nabierały powoli soków, barw, liście, pnie i konary — cała bukowinka tęga. Wielkie liście, błednąc, naprzód utraciły żółtość. Potem zazieleniły się, rozblysłęto bukowe listowie świetnymi zwierciadełkami. Na zielonowłosych łodygach trzymały się razem miłośnie wielko-

8) Pieśń bractwa śpiewackiego watażka Wasyluka (I tom "Na Wysokiej Połoninie").

listy dorodne. Całe towarzystwo listowia. Każdy liść tulił się do drugiego, wszystkie tuliły się do gałęzi, wiązały się z konarami i pniami, wszystkie żyły z korzeni.

Peredowoża rozczapierzył się w mrokach korzeniami. Watażkowie stalowo błyszczeli jędrnymi pniami. A każdy z nich był inny. Każdy pień inny, każdy korzonek, każda miotelka korzenia, każdy liść był inny. I temu — bezśmiertny.

Jest Ktoś taki — nie naszej miary, większy nad wszystko, piękniejszy nad wszystko, — co oręduje wszystkim. Jego obrazem fłojera. Muzyka stworzenia.

Źródło odkryło tajemnicę rodu odmienionego na wywrót. Wstrząsnęła nim pieśń. Fłojera przypomniła mu własną postać. Wrócił do starej postaci, do własnej.

Odrodziły się listotwory. Stały się tym, czym były przed pierwotnym, zanim wyparty się swego rodu. Z piekielnej pokusy chciały stać się czymś więcej: nie tkwić cierpliwie na miejscu, lecz przelatywać świat, lykować co się da.

Wtedy to właśnie przerwał się żywy prąd, co łączył te gromady, te rzesze liści. Skaziła się ich tęsknota. Im bardziej oddalały się od rodu własnego, tym bardziej były potworne, niewolne.

Na granicy świata czuwają te drzewa, na straży, naprzeciw wrót piekieł. Za pokarmem nie uganiają się, z ziemi, z powietrza, od słoneczka biorą soki. Przebyły wielkie dzieje.

I taką naukę, źle mówię, zagadkę taką zostawił nam nasz watażko Kudil, pierwszy mistrz fłojery. Trudna albo nie trudna, a nie bylejaka. Słuchajcie, zgadujcie.

We wszystkim co żyje święta siła drzemie. A groźna także. Czcijmy spokój drzew, znak że zwyciężyły. Z wszystkiego co żywe zbawienie wyrosnąć może. Zniszczenie też. Tak wszystko co żyje łączy się, u źródła życia schodzą się korzenie. I od nas zależy co gdzie na krańcach świata się dzieje. Jaka gra taki taniec, a każda chwila ważka.

IV.

POWRÓT

Wyzwoleni z niewoli ludzie wybrali się przez wielkie stepy ku zachodowi, ku swoim krainom. I dali sobie radę. Zabrali z kraju niewoli dzikie oślice, paśli je na stepach i karmili się ich mlekiem. Szli oddal w słońcu, w ciągłej pogodzie i jasności bez żadnych mrak. Wolni byli od lęku, ale przymali się Kudila. Także głodu się nie bali. Czasem suszyli trawę i jedli kłoski suszone. Czasem Kudil wyszukał im jakieś ziele, rozpałał wiatrę i gotował je.

Po kilku tygodniach napotkali pierwsze samotne chutory w stepie. Ludzie stepowi z chutorów, mówiący mową naszą chrześcijańską, sami rozumieli, że wędrowcy wracają z ciężkiej niewoli. Ratowali ich jak mogli, karmili, odziewali. Schorowanych

i słabszych zatrzymywali na chutorach. Po każdym takim odpoczynku wędrowcy powoli nabierali sił, przychodzili do zdrowia. I sam Kudil przestał już myśleć o zmorach i lękowiskach, o ludomorach, o przypiekielnej dziedzinie. Przypatrzył się swym towarzyszom. Rozróżniał teraz starców i młodzianków, kobiety stare i młode. Jakże żałośnie wyglądali wszyscy, nakarbowani bliznami, z zapieczonymi wiecznymi siniakami. Czy ich były wypłowiałe, oblicze popieliste, członki powykęcane od uderzeń osłaków. Snuli się wolno, w milczeniu. I nikt z nikim się nie sprzeczał ani nie wadził się — broń Boże. Ale też nikt z nikim się nie przyjaźnił, nawet żaden nie nazywał drugiego po imieniu. Pokornie, cicho, choć rzadko przemawiali jeden do drugiego, jedno do drugiego: bracie — siostrzo. A przecież poucza przypowiadka nasza o tym, co nawet w ziemi z człowieka nie zgnije, co zeń pozostaje w grobie: to imię! I to im przypadło w niewoli! Kudila zwali pasterzem. Garnęli się doń, gdy wieczorami grał na obozowiskach. Wznosili oczy, brali się za ręce, patrzyli ku zachodniej stronie.

Szli tak tygodniami. Aż raz, przed wieczorem zobaczyli zachodzące słońce, złamane w ką. Zrozumieli, że odbija swe półkole w morzu. Długo patrzyli ku słońcu. Wtedy to Kudil zobaczył w tym znak, że gdy dojdą do słonego morza, mają się rozejść.

Powiedział do nich:

— Tam, nad morzem rozejdźmy się jak te promienie półkola słonkowego. Nikt nie będzie miał świadków niewoli. Może będzie ją miał za sen, jeśli zechce. Nie szukajcie się, nie znajdziecie się, nie poznajcie się wzajemnie. Tylko niewola was związała. A jednak poznaliśmy, co najważniejsze. Gorzka nauka nasza, ale głęboka. Toteż w ojcowiznie swej każdy z was niechaj slobodę sieje. Niech roznieca ją jak wiatrę! Nie składajcie na innych, nie wińcie innych, nie oczekujcie od innych. Gdzie będzie iskra, tam będzie i watra, gdzie zdrowe ziarno, tam będzie zboże.

Doszli do morza słonego, gdzie mieli się rozejść. Ale tam wszyscy błagali Kudila, aby ich jeszcze nie opuszczał. Brzeg morski był bezludny, wysoki, stromy, skalisty, pokryty drzewami o czerwonej korze i gęstwiną strupieszających zarośli. Tylko gdzieś tam pomiędzy tymi zaroślami strome żłoby skalne spadały groźnie z wysokości wprost do morza. Karawana nie mogła znaleźć żadnych osiedli, żadnej przystani.

Więc chociaż Kudil nie lubił zmieniać co raz postanowił, bo, jak się to mówi, nie z tych był, co własne słowa z podłogi zlizują, jednak po raz pierwszy wtedy cofnął co powiedział. Został z nimi. Razem długo trudzili się, tułali, zanim odkryli ślady ludzkie. A idąc za nimi, pustelnik doprowadził ich do klasztoru i zaraz znikł. Mnisi wysłuchali ich uważnie, nie odpowiadali ani nie przeczyli. Między sobą też nie mówili. Przygotowali dla nich galery, przepawili ich przez słone morze.

Po drugiej stronie morza słonego był już kraj chrześcijański.

Tam pożegnali się na zawsze. Wędrowcy rozeszli się, a Kudil pozostał sam.

Nie sam. Jak wśród pustyni kamiennych i jak w kraju podpiekielnym była z nim jego pieśń. Ona, źródło i wodzie zdrowej krewna — dziecię lasu, szeleścina bezśmiertna.

Szedł tak dalek, to bezludnym krajem, to wśród dostatnich osad ludzkich, ku morzu Czarnemu. To przygrywał sobie, to rozmyślał nad fłojera, nad pieśnią.

Lecz jeszcze inna pieśń natrętnie wlokła się za nim. Nudna a smutna pieśń świnioludów, którym nie pomogła fłojera. Woleli zostać bliżej bramy piekielnej. To znów wspominał tych spopielałych biedaków, z którymi niedawno się rozstał.

Zrozumiał Kudil, że pieśń rozprasza zmyły i leczy, i pieśń to nie daje ludziom całkiem pograżyć się w bydlęctwie, w niewoli, a jednak, nie w mocy pieśni ludzkiej przemienić do cna ludzi samych. I skądżeby taka pieśń się wzięła, z czyjego tchu by się poczęła? Chyba nie z ziemskiego!

Szczęśliwie doszedł Kudil do brzegu morza żywego. «Dużem i dużem», tj. tęgim i tęczowym — nazwał je kiedyś pan watażko Dobosz, a ludzie tamtejsi zwą je morzem Czarnym.

Kudil usnął w wielkim sadzie nadbrzeżnym wśród kwiatów. Spał długo jakby wysypiał się za lata całe. A kiedy ocknął się ze snu, nie wiedział gdzie jest. Nie wiedział kim jest. Tak naprzemian zasypiał i budził się prawie.

Morze szumiało. Pogoda była krasna. Bardzo wielkie białe kwiaty zwisały nad nim z drzewa. Gdzieś niedaleko młody kos cieszył się wiosną i swym głosem. Szczebotał słodko, witał go grzecznie, choć może z przekorą wdzięczną. Szeptał i świstał mu prawie do uszu: Wasylu—sylu, Kudilu—dilu.

Kudil wciąż jeszcze nie mógł się obudzić, lecz wydawało mu się, że umiera ze szczęścia: tak dawno nikt go już nie zawołał po imieniu.

— Bóg zapłać ci ptaku, któryś jest aniołem — szeptał doń w półśnie — anieli przynoszą nam imię wraz z duszą.

Ptak nie chciał, aby go poznano. Przerwał śpiewanie, skrył się. Kudil zbudził się już całkiem, po raz pierwszy wypoczęty, świeży.

Od kiedy go nazwał ptak po imieniu, jakby na nowo się narodził. W mgły pograżyło się wszystko co widział, co przeżył. Zbudził się naprawdę, oprzytomniał.

Mała łódka rybacka dowiozła go do wielkiego okrętu. Na okręcie wszyscy mówili po moskiewsku. Dobrzy to byli ludziska. Pilnowali go, jakby był chory. A choć Kudil nie należał do gadułów, nie mógł wytrzymać, aby im nie wspomnieć o kraju niewoli, o Syrojidach. Oni kiwali głowami, żalowali go, ale nie słuchali. Jeden tylko z nich, szeroki, jasnowłosy, długobrody Moskalisko — tak wspominał Kudil — co myślał powiedział mu dobrotliwie:

— Ech, bracie miły. A toż ci się naśniło ciężkich zmór w tej gorączce, biedaku.

— Śniło mi się? Tak się wygląda, gdy się spało i śniło sny, jak ja, com wybrnął z mrak piekielnych, ze szkoły czartowskiej?

Chciał pokazać im fłojere: ale dał spokój. Nie rozumieją. Sami słobody nie znają, nie rozumieją.

A kiedy wrócił tutaj, w nasze góry, każdy najmniejszy chłopczyzna, pastuszyna połatany, wszystko od razu zrozumiał. I od razu uwierzył!

Piękny rok był w górach. Tęgą trawę po carynkach i połoninach uginały się pod wiatrem. Wszędzie pasły się owieczki i krówki pełnowymienne. Wypasione konie aż świeciły się. Radowała się wszelka chudoba. Tutaj nawet ona była bujna, wesoła. Jakby słobodna. Trembity grały radośnie, rozśpiewały się fłojery w zawody z ptakami.

Pomogła pielgrzymka, pomogła fłojera. I w tym świecie i w tamtym.

— Taki to kraj niewoli i taka fłojera — zakończył Drondiek.



Było już dość jasno na dworze. Sady zasnuły się białymi mgłami. Czyste i głębokie niebo nad górami już przybladło. Od Pisanego Kamienia jaśniało. Drzwi waternika otwarto na oścież. Wesele ucichło.

Wszyscy dziękowali serdecznie Drondiekowi, życzyli mu zdrowia, ściskali go, całowali. Wychodzili z waternika, a dym wypływał za nimi. Rozchodzili się ku kuchni, ku dworowi, ku oficynom, ku księżej rezydencji i ku karczmie, by przespać chłodny czas poranny. Drondiek pozostał w waterniku wraz z Sze-kierkiem Dmytrem. Zamknęli drzwi, dołożyli do watry i drzewa w ciepło.

(Napisane w roku 1936-1937).

Stanisław VINCENZ.

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
pour la Liberté de la Culture

défend l'indépendance spirituelle de l'homme
partout où elle est menacée.

Le numéro de 32 pages, illustré	30 fr.
Abonnement annuel : France	300 fr.
Etranger	450 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8°)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

Faux pas ciotki Pafci

W chwili obecnej ciotka małego Henryka, gdyby żyła, liczyłaby dokładnie lat 86. Ale nie żyje już od roku 1940. Weszła więc i tak bardzo głęboko w wiek XX, do którego nigdy nie należała.

Wiek XIX zgasł w roku 1914, ale nie nastąpiło to od razu i daty około 1 sierpnia nie można traktować za definitywną. W Polsce XX-ty w. zaczął się niewątpliwie wcześniej. Polska wyprzedziła pod tym względem niektóre inne narody, ale ciotka nie szła z tym, co się zowie: duchem czasu, nie przez upór, snobizm, czy konserwatyzm, ile przez brak wykształcenia. W ten sposób przełom, który zaznaczył się zamianą wychowania humanistycznego na wychowanie polityczne, prawie jej nie dotknął. Pozostała zupełną ignoranką, co doprowadzało nieraz do sytuacji drażliwych, przynajmniej od tak dawna jak Henryk ją pamiętał: starą, z dużą broszką bursztynową na szyi i parasolem, którego rączka zakończona była kształtem głowy ptasiej o drapieżnym dziobie. Z czasem twarz ciotki nabrała ostrości rysów, a nos się wydłużył i upodobnił do tej rączki parasola, ale o tym później. Jej dzieci, to znaczy cioteczne rodzeństwo Henryka, było liczne, a niektóre z nich, zwłaszcza najmłodsza Elżbietka, na przykład podczas pospiesznego wsiadania do pociągu, popychana była częstokroć dziobem parasola w plecy; bo ciotka mimo urodzonej dobroci i humanitaryzmu, była popędliwa. Tylko najstarszy Antolek nie pozwalał na traktowanie się szturchańcami. Elżbietka natomiast wołała: — "Ach, mamó!" — i poprawiała z rozdrażnieniem długie warkoczki na palcie. — Spiżowy dzwon na peronie wydzwaniał: raz, dwa; później była długa przerwa ostatniej chwili pożegnania i: trzy... Lokomotywa dawała parę. Oberkonduktor, którego twarz nabiegała czerwienią jeszcze na sekundę zanim przytykał gwizdek do wąsów, gwizdał. Przedział II klasy pociągu kurierskiego ruszał w świat wypełniony mnogością paczek, walizek, pudełek od cukierków, bukietów jesiennych georginij i astrów, chusteczek powiewanych. Pachniało w nim kurzem, wodą kolońską, landrynkami i pieczoną kurą. Henryk zostawał na peronie. — Tej to jesieni, ciotka Pafcia, wielka zresztą domatorka, wyjeżdżała na zimę do Peter-

sburga wraz z całą rodziną, z okazji wstąpienia Antolka na tamtejszy uniwersytet.

— Machaj ręką — trącała Henryka matka.

Henryk machał. Aż wreszcie pozostały tylko szyny.

— Ładna pogoda — mówiła matka z westchnieniem. Henryk nie znosił w podobnych okolicznościach ładnej pogody, bo lubił jeździć dorożką, a wiedział, że usłyszy sakramentalne: — "Przejdziemy się spacerem". Cekał ich dom opustoszały. Krnąbrnie schodził do suchego rynsztoku i popychając nogami stosy liści klonowych, szumiał w nich, udając parowóz.

Tymczasem prawdziwy zawijał długim węzłem wagonów, het, pomiędzy górami pokrytymi poźólką leśną, z wysterczającymi na szczycie dębami, a gdy wyciągnął wreszcie w otwarte pola, być może chłop przerywał ozimą orkę w pobliżu toru i ściągając lejce przygadywał do konia, który zadreptał w miejscu. Bo to też była spuścizna XIX wieku, że konie jeszcze strachały się pociągów.

— Ja chcę dziś czytać książkę od cioci Pafci.

— Nie, ja tobie zmienię w księgarni na ładniejszą.

— Dlaczego? — spytał Henryk złym dyszkantem i przystanął, zapatrzony nagle w drzewo, z którego tzw. ulicznicy strącali kasztany.

— Nie odpowiadaj na każde słowo "dlaczego".

— Ale ciocia Pafcia dla mnie kupiła.

— Nie marszcz się. Idź po trotuarze.

Złota jesień. Przedszkolna, jak nawiśła nad losem ludzkim chmura, pachnąca tornistrem i drukiem. Do dziś dnia Henryk pamięta jak syn sąsiadów, Leoś, starszy odeń o lat pięć poważny chłopiec, podniósł liść dębu i zauważył: — "Z gąsienic robi się atrament". — Opadające liście i atrament zbierały się w jedną epokę i dlatego pouczenie Leosia wydawało się tak aktualne.

Ciocia Pafcia ofiarowała francuską książkę dziecinną w rosyjskim tłumaczeniu, pt.: "Tietuszka Piko". — "Zaśmiewałam się, opowiadała, słuchając jak czytały moje dziewczynki. Więc kupiłam dla kochanego Henrysia". — Matka uśmiechnęła się wyrozumiale i pod jakimś trafnym pretekstem zamknęła ją w szafie lustrzanej z bielizną. A to z dwóch powodów: po pierwsze, jeżeli chodzi o rzeczy francuskie, to najważniejszą z nich jest dobry akcent. Natomiast francuskie książki dziecinne są najczęściej niewłaściwe; w nich bowiem psotne dzieci okazują się prawie zawsze górami, a starsi wychodzą na głupców. Tego matka nie lubiła. Po drugie chodziło o rzecz jeszcze bardziej zasadniczą: ofiarować książkę w języku rosyjskim mogła tylko chyba niedokształcona ciocia Pafcia, bardzo miła, ale nie rozumiejąca wielu spraw.

Henryk raz tylko, w skrytości, otworzył szafę i przerzucił kilka kartek. Był tam śmieszny obrazek, w który się tak zapatrzył, że omal przesłyszał był kroki w jadalnym i ledwo zdą-

żył zatrzaskać drzwiczki. — W rezultacie jednak był bardzo zadowolony: dostał wzamian "Bitwę pod Raszynem".

Właściwie faux-pas ciotki musiały datować się od tak dawna, że chyba od zawsze. Tylko, że Henryk nie pamiętał ich w czasach, gdy nurtowały go jeszcze problemy zupełnie pierwotne, na przykład: kogo więcej trzeba kochać mamę, czy Fräulein Matyldę? — Dylemat rozstrzygnięty został wówczas kategorycznie przez samą bonę, że mamę należy kochać nade wszystko. Siostra Henryka pokazała mu język, bo była odeń starsza i twierdziła podobnie od początku. — Za owych czasów, zdaje się, że Niemcy uważani byli w domu Henryka jeszcze za ludzi. Za nieładzi traktowani byli tylko Prusacy. Za Fräulein Matylda pochodziła z Rygi, a Niemcy bałtyccy byli prawie tak dobrzy jak Polacy, gdyż zaczęli być prawie tak samo uciskani przez złych Rosjan. Natomiast ciocia Pafcia miała zwyczaj mawiać jednym tchem: "Drogi Iwan Mikołajewicz (jakiś tam), kochana frejlena, najdroższy Henryś, albo (do matki jego) najmilsza moja". W ten sposób w wychowaniu Henryka zacierała właściwe kształty pojęć, których różniczkowanie i-tak dawało mu się z największym jedynie trudem.

Jedno z najwcześniejszych wkroczeń ciotki zapamiętał szczególnie. — Gdy odeszła Fräulein Matylda, z której pozostała mu w pamięci jedynie bluzka czekoladowego koloru, nadmierne czymś wypchana z przodu, przyjęto nową bonę, cienką w pasie, z włosami blond upiętymi wysoko w górę. Czekająca na matkę w salonie, nieśmiało przewracając kartki albumu z pocztówkami. Henryk przyglądał się jej przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Był to album tzw. "patriotyczny"; przynajmniej połowa pocztówek w nim przedstawiała Polskę w postaci anioła, lub pani w nocnej koszuli skutej na rękach kajdanami; była też jedna ze strasznych generałem na stosie czaszek; ciekawsze wyobrażały ułanów na koniach i na stojąco, z szabłami lub wiejskimi dziewczętami. Henryk miał wrażenie, że czekająca wcale się im nie przygląda, a tylko nerwowo obraca stronicę za stronicą. Gdy matka weszła, wstała raptownie i zapłonila się na twarzy. Pobiegł podzielić się z siostrą wrażeniami.

— Powiem mamie, że podglądałeś — powiedziała siostra.

— Skarżypyta bez kopyta — odrzekł Henryk.

Po upływie pół godziny przyszła po nich matka. — No, chodźcie, pokażę was nowej Fräulein.

— A jak się nazywa?

— Klara. Fräulein Klara. Proszę być grzecznym. Ma lat dziewiętnaście — dodała jakby w zamyśleniu.

— Boże, jaka stara!

Matka uśmiechnęła się i poklepała Henryka po twarzy.

Fräulein Klara ucałowała dzieci na przywitanie w policzki,

czego Matylda nigdy nie czyniła i potem wszyscy się zawstydzili.

Dziś już nie wiadomo, dlaczego dokonany został taki wybór; być może po prostu z braku innych kandydatek, ale Klara nie była Bałtyczką i nawet nie pochodziła z Niemiec południowych, a ponoć z samego Berlina. — Mademoiselle, o której nawet ojciec, nie mieszkający się nigdy do wychowawczych spraw, wtrącił kiedyś, że jest "zwariowaną katoliczką", wyłuskała pewną wiadomość, szeptaną następnie pokątnie. Henrykowi zdawało się, że to musi chodzić o tę właśnie, którą usłyszał z urynkowej dyskusji Mademoiselle z kucharką, gdy ta, przydeptując tarakana w kącie za płytą, odpowiedziała:

— Rzecz pewna, że jak ona luterka, to nawet i spodziewać się nie ma czego.

— Mamo, zapytał Henryk, co to jest luterka?

— Od kogoś to słyszałam?

— Od Mademoiselle — skłamał dlaczegoś, bo to przecie powiedziała kucharka.

— Idź do swego pokoju bawić się. — Odchodząc, doszła go rozmowa po francusku tak szybka, że nie mógł pojąć z niej ani jednego słowa.

Fräulein Klara uczyła dzieci z czytanek niemieckich, które im sama ofiarowała. Była to książka już nie nowa, z plamą atramentu na okładce; być może sama się z niej uczyła swego czasu; — raczej ubogie, urzędowe czytanki szkolne. Pierwsze ich stronicę wypełniały dwa portrety: cesarz Wilhelm II z piketką pod pachą i cesarzowa Augusta z perłami na szyi. Siostra zapytała raz matkę swoim zwyczajem, aby się upewnić: — "Czy on zły, czy dobry?"

— Zły — odpowiedziała matka machinalnie, otwierając śpiesznie słoik konfitur, bo właśnie w salonie siedzieli i czekali goście. — Marysiu! — zawołała na pokojówkę — proszę zmienić fartuch.

Otóż pewnego dnia świąt bożonarodzeniowych, gdy lampa naftowa rzucała żółtawy krąg światła, bardzo często opisywany we wspomnieniach, siostra była niegrzeczna, nie chciała słuchać Fräulein, nie chciała czytać, a później porwała z pudełka kolorowych ołówków jeden, ciemnobrązowy i zaczęła nim mazać na oślep portret Wilhelma. Henryk zastanowił się chwilę, ale wybrał czerwony ołówek i też zaczął zamazywać portret cesarzowej Augusty. Było mu trochę żal, tym niemniej, a może tym bardziej, robił to z pasją.

— Kinder! Proszę w tej chwili się uspokoić, bo powiem mamie.

— Mama sama mówiła, że to zły cesarz! — zawołała siostra i postawiwszy ołówek na lewym jego oku, wywierciła dziurę na wylot trzech kartek. Klara wyciągnęła energicznie rękę, by odebrać książkę, lecz gdy siostra pociągnęła ją ku sobie, rozdzierając kilka stronic, stało się coś nieoczekiwanego: ręka Fräulein zrobiła ruch, jakby opadała na kolano, nie do-

sięgnawszy go jednak skrzyła raptownie do rękawa bluzki, wyrwała stamtąd chusteczkę i zanim uniosła ją do oczu, Henryk zauważył, że bona się rozpląkała. Wstała i wybiegła do jadalnego pokoju. Widzieć kogoś ze starszych płaczącym, należało do sensacji. Dzieci znieruchomiały z otwartymi ustami, a jak się wtedy mówiło, buziami. I właśnie w tej chwili musiała czegoś przechodzić przez pokój stołowy ciocia Pafcia. Zatrzymała się, ujrawszy zapiakaną Klarę, i powiedziała:

— No i co, moja sierotko?...

Ciotka nie umiała po niemiecku, a Klara ledwo знаła kilka słów polskich, ale raptownie przypadła do niej, chowając twarz w jej piersiach, które były czterokrotnie obszerniejsze od piersi Fräulein Matyldy. W rogu pokoju stała pięknie ubrana choinka, bo choinki, zwyczajem domu, stawiano nie w salonie, a w jadalnym. Ciotka pogładziła Klarę po włosach i fachowym ruchem poprawiła jej grzebień z tyłu głowy. I w tym momencie... — Dziś Henryk domyśliłby się, że istotną przyczyną takiego zachowania Klary, jakiego matka tak nie znosiła, nazywając "histerią", była prawdopodobnie nie porwana książka i nie wydłubane oczy, a raczej ta niewinna choinka, może pierwsza w obcym domu. Wówczas jednak słowo "sierotka", dobre dla określenia dzieci zamarzających w dzień wigilijny przed witrą sklepową, ale skierowane do starej, dziesiętnastoletniej osoby, wydało mu się tak zabawne, że się głośno roześmiał. Fräulein Klara załkała, wciskając się jeszcze głębiej w piersi ciotki, a ona krzyknęła:

— Niech Henryś w tej chwili przeprosi frejlene!

— Co się stało?! — zawołała matka wybiegając ze swego pokoju.

— Niech Henryś w tej chwili...

Ale w tej chwili stanęła w progu pokojówka.

— A Marysia co znowu chce? — odwróciła się do niej matka.

— Proszę pani, dzielnicowi gorodowe przyszedł do kuchni, powinszować świąt.

— Proszę powiedzieć panu.

— Kiedy nie ma. Wyszedł.

— Ach, Boże, w tym domu nie można chwili spokojnej znaleźć! Zaraz. Proszę im wynieść po rublu.

Henryk, korzystając z zamieszania, wyslizgnął się chyłkiem i z palcem przy ustach przyglądał się z progu kuchni trzem zbrojnym ludziom, którzy ukłoniwszy się grzecznie Marysi, wychodzili kolejno, przytrzymując ręką pochwę szabli.

Matka skarciła dzieci bardzo surowo, odebrała książkę, bonę odesłała do jej pokoju, Henryka postawiła nawet do kąta, ale odmówiła ciotce zmuszania go do przeprosin, mówiąc coś o niepotrzebnym łamaniu charakteru. W przyległym pokoju potoczyła się dyskusja, przerywana wybuchami ze strony ciotki. Henryk stał w kącie i śmiech jego ulotnił się, zdawało się już bardzo dawno, może w chwili, gdy gorodowe otwierali drzwi kuchenne, wpuszczając mroźną parę, może uciekł chył-

kiem między ich marszczone cholewy, w gwiazdzistą noc, w siedemnaście stopni Réaumura. Daleko, daleko... Tak daleko, iż żeby odbić się i powrócić doń echem, potrzeba chyba pół życia ludzkiego!

Ciotka się obraziła. Kapelusze z rozmachu miała wsadzić na bakier i wyszła, trząsnawszy drzwiami frontowymi. — Wieczorna herbata wypadła ponuro. Ojciec czytał gazetę. Fräulein Klarze drżały jasne jej rzęsy. Matka milcząca przy samowarze. Siostra nadęta i zgarbiona nad hamburką z masłem i szynką.

— Tiens-toi droite — szepnęła jej Mademoiselle.

— Czy Marysia wytarła lampę? — spytała matka.

— Wytarłam, proszę pani.

— To dlaczego naftą czuć.

"Święta bez cioci Pafci? Bez całej jej rodziny? — myślał Henryk. — To straszne".



Trzeciego dnia silny dzwonek u drzwi frontowych zaanonsował przybycie: ciotki Pafci, najmłodszej Elżbietki, starszej Aldonki, średniego Janka, najstarszej z córek Hani, i najstarszego Antolka. Przedpokój wypełniły futerka, baszłyki, kalosze i roztajały śnieg. Z głowy ptaka na parasolu zwisało kilka pomniejszych paczuszek; prócz tego Elżbietka i Aldonka trzymały każde po sporym pudle. Antolek tylko własną, elegancką trzcinę, zakończoną gałą kościaną. Hania mufkę ciotki i pudełko czekoladek. Janek paczkę dziwnego kształtu.

Matka z gościnnym uśmiechem na ustach, jak wypadało, nie dostrzegała od pierwszej chwili niepokojącej masy prezentów.

— Dzieci, proszę nie wychodzić do przedpokoju, żeby się nie przeziębili.

Marysia pocałowała ciotkę w rękawiczkę i ścigała z niej futro.

— Jak się masz, mileńka — powiedziała ciotka, wsuwając jej w rękę świątecznego pół rubla. Gwar był wielki. Fräulein Klara pomagała rozbierać dziewczynki. Ciotka ofiarowała jej olbrzymią, drewnianą skrzynkę marmeladek i oznajmiła przy tym, że to, żeby więcej nie płakała.

— O... danke!... Gnädige Frau — wyszeptowała Klara i poczerwieniała. Nie wiedziała, co ma zrobić z rękami obciążonymi skrzynką, a jednocześnie z nieściągniętym z jednej nogi Elżbietki ciepłym trykotem.

Tak więc nowe ukazanie się ciotki zaczęło się od faux-pas. Przede wszystkim przypomnienie o łożach nie było właściwe. Poza tym bony nie obdarowuje się pudłem marmeladek. Bona nie ofiarowuje się materiałem "na bluzkę" tak jak stróżowi, albo gorodowemu daje się monetę "na herbatę" (służącej można na "ciepłą chustkę"). Ale burzę rozpętał dopiero drugi prezent, ten właśnie niesiony przez Janka w paczce dziwnego

kształtu. Było to czako ułańskie, kupione w sklepie zabawek dla Henryka. U nasady z czarnej, lakierowanej ceraty, w połowie zwężało się do jednego centymetra, rozchodząc się ku górze w czterograniastą ułankę koloru świeżej maliny. Gdy Henryk stanął przed lustrem w salonie, to aż mu dech zaparło z radości i dumy.

— Voyons! Le prince Joseph Poniatowski! — oświadczyła Mademoiselle. — Mais oui, il était maréchal de France.

— Grossartig! — zawołała Klara, trzymając wciąż niewygodne pudło i pokrywając okrzykiem własne zmieszanie.

Fatalnie nie znały się na rzeczy.

Trudno orzec, kto pierwszy zwrócił uwagę, że kształt czaka jest taki, jaki noszą rosyjscy, albo pruscy ułani, a nie jest czakiem polskim. Ciotka, nie pojmując, stała jeszcze uśmiechnięta. — "Ależ naturalnie, że tak, podchwycił ktoś inny. Niskie, płaskie i ściśnięte w środku jak osa. Polskie były wysokie i opływowe". — Nagle wszyscy zgodzili się, nawet Janek, który przecie je przyniósł. Antolek wsadził je na czubek głowy i zaczął wykpiwać.

— Oddaj! — wrzasnął wściekle Henryk.

— Ależ Heniu — zaczęła perswadować Hania — nie będziesz chyba bawił się w kacapskiej ułance na głowie.

— Będę! — łyż wystąpiły mu w oczach. — Będę! — i w rozpaczliwym bohaterstwie tupnął nogą.

Siostra Henia z Elżbietką poszły bawić się lalkami.

— Heniu, nie popisuj się — powiedziała matka.

Ciotka wmieszała się w jego obronę, ale jak to bywa z dziećmi, niefortunny sukurs wzmógł tylko upór i łyż. Wszyscy zaczęli mu tłumaczyć naraz: — "Chcesz być Moskalem"?

— Chcę! — ryczał Henryk i tupał już dwoma nogami.

— Albo Prusakiem?

— Chcę!... Moja ułanka! — a łyż ciekły teraz po policzkach.

Hania otworzyła album tzw. patriotyczny; na jednej z pocztówek żółty ułan wspaniale zamachał się szablą, od samego widoku której kozak padał na wznak. — Spójrz, jakie on ma czako!

Henryk trzepnął ze złością ręką po pocztówkach.

— Mais voyons, Henri... — zaczęła Mademoiselle.

— Precz!... — i w tej chwili sam oniemiał.

O!... tego już było za dużo. Matka wzięła go za rękę i wyprowadziła z salonu. W progu upadł umyślnie, popadając w histeryczne łkanie. Musiał dostać dobrego klapsa i poszedł dochłapywać w osobnym pokoju. A czako zamknięte zostało w szafie lustrzanej.

Każde dziecko przechodzi okres zamyślenia. Zimy są wtedy długie jak wieczność. Drzewo opałowe kupuje się na sąźnie (robotnicy dostają obiad w kuchni). Przy stole rozmawia się o ujemnych właściwościach wprowadzonego przez sąsiadów wę-

gla kamiennego, o tym, że nigdy nie może zastąpić tego, co daje drzewo, mianowicie trzasku ognia, zapachu żywicy i w ogóle czegoś z romantyzmu dawnych czasów. W końcu jednak zamiast drzewa kupuje się węgiel kamienny od nowego roku. — Hen, u schyłku epoki zwleka się powoli wiosna i płoty zaczynają przeszerowywać aż do bruku.

— Mamo! — wpada któregoś dnia Henryk — widziałem dorożkę na kołach!

— Co ty mówisz — odpowiada matka z udanym zdziwieniem, nie odrywając oczu od jakichś drobnych rachunków.

W rzeczywistości szkoda mu zimy... — Ciepły oddech Fräulein Klary, gdy przykucnięta na lodzie, trzyma jego wyciągniętą nogę na swoim udzie i końcem klucza wydłubuje zlodowaciały śnieg w otworze obcasu, aby mu przyśrubować łyżwę... A w nim aż krew gra w przeczuciu, że oto za chwilę pobiegnie po płaszczyźnie ślizgawki! — Albo gwałtowne dzwonki podjeżdżających sanek i znane mu na pamięć słowa matki:

— ...dwadzieścia kopiejek.

— Pani da dwie złotóweczki! Dzisiejszym czasem pud owsa...

— Mamo, ile to jest: złotóweczka?

— Piętnaście kopiejek; ale nigdy nie mieszaj się, gdy ja umawiam dorożkarza.

On się nie mieszał. Zresztą wiedział, że pud owsa co roku kosztuje drogo. — Teraz patrzył w okno, za podwójnymi szybami którego, jabłonie, ociekając, tworzyły na śniegu brudne plamy. Czarne gałęzie na tle szarego nieba. Będzie to ciągnąć się w nieskończoność jak "tiaguczka" z czekolady Żorż-Bormana. Kiedyż to przyjdzie, gdy sztachety zawsze osiadające w dół furtki, czynić będą przy otwieraniu półkolisty rowek w piasku!...

Ale i nieskończoność ma swój kres.

Przez furtkę od ogrodu, która miała zawiasy zardzewiałe i dlatego to właśnie osiadała, żłobiąc ślad na dróżce, wyszli w niedzielne południe do teatru. Przy furtce rosły maliny i brzęczały pszczoły. ("Nigdy nie machaj ręką, bo może ciebie ugryźć").

Po "Obronie Częstochowy", już widzianej trzykrotnie, miała to być popołudniówka "Kmicic".

W tym okresie powstał był wielki plan powstania narodowego. Zapoznanie się z teorią wojenną Walerego Przyborskiego, a później Sienkiewicza utrwalone zostało przez praktykę widzianą na scenie, że mianowicie szablą zabija się przez samo tylko dotknięcie: człowiek pada od razu. Plan więc był prosty: wyprowadzić uzbrojonych w pancerze i szable aktorów ze sceny na ulicę, pozabijać gorodowojów i odebrać od nich szable i pistolety; zwiększoną już kupą napaść na żołnierzy i odebrać im karabiny; uzbroić w nie całe miasto, zdobyć ar-

maty, wyjść z tym wszystkim w pole, pozabijać Moskali i uwolnić Polskę. Do spisku prócz Henryka należał Janek. Swojego czasu spenetrowali już w największej tajemnicy wejścia za kulisy do teatru letniego.

Do łóż na "Kmicica" przysłała Ciocia Pafcia, Janek i Elżbietka. Matka poprawiała siostrze Henryka kokardę we włosach, gdy uderzył gong. Ciotka zaczęła otwierać pudełko cukierków. — W trzecim, czy czwartym akcie, już dawno po uczcie u Janusza Radziwiła, Kmicic, który porwał Bogusława, zbliżył się doń z krucicą za pasem, mówiąc coś groźnego przez zęby. W tej chwili ciocia Pafcia pochyliła się nad dziećmi i szepnęła:

— Uważajcie teraz, bo tamten uchwyci za ten rewolwer i strzeli...

Nagle Janek zerwał się z miejsca:

— Dość mam dramatów w domu, żeby jeszcze chodzić do teatru!

Stało się to niespodziewanie i wszyscy byli zaskoczeni. Strzał Bogusława i stuk zatrzaśniętych przez Janka drzwi łoży wypadły prawie jednocześnie.

Gdy wychodzili z teatru, pachniało krótkim, letnim deszczem, który spadł podczas przedstawienia i wysychał już na bruku. Słońce, kłoniąc się, wyjrzało zza chmur. Dorożkarze opuszczali z powrotem budy, a gorodowej pilnował porządku, aby podjeżdżali kolejno. Biedne dzieci z galerki oblegały wózek "sachar-morożennika", którego lody — "choć nie wiadomo z czego są robione" — ale o wiele smaczniejsze od domowych. Janka ani śladu.

Naturalnie, że to było bardzo śmieszne, co on powiedział. Henryk słyszał jeszcze po latach opowiadane przez starszych to zdarzenie i zawsze przez grzeczność, a może nawet z przekonania, śmiał się razem z nimi. Nawet sam opowiadał innym i też ze śmiechem. W skrytości jednak odczuwał, że Janek mógł mieć też trochę racji. Bo czyż doprawdy nie ma się już czasami po uszy różnych, domowych dramatów? — Ale wielki plan powstania runął; oto w jaki sposób:

Henryk zobaczył Janka dopiero w kilka dni po przedstawieniu i jakkolwiek taktownie nie poruszył drażliwego tematu jego zachowania w łoży, Janek był naburmuszony, skłonny do kłótni i roztargniony. Ażeby go udobruchać, Henryk skłamał, że sztuka mu się nie bardzo podobała i że Janek nic nie stracił, nie oglądając jej do końca. Najlepsza właściwie była tylko uczta u Radziwiłła.

— Janusz Radziwiłł wcale nie był zdrajcą — odpowiedział Janek — a przeciwnie, mądry człowiek.

— Jakto, mądry?... — Henryk otworzył usta ze zdziwienia.

— Ot tak.

— Skąd ty wiesz?

— Mój tatuś mówił.

Henryk z miejsca zainterpelował matkę.

— Bawcie się lepiej grzecznie — odpowiedziała wymijająco.

Nie wiedziała, że nie chodziło tu o żadną zabawę, a o to, że w tej chwili obracał się w niwecz plan akcji zbrojnej, gdyż niepodobna było jej realizować przy tak dalece rozbieżnych zdaniach. Przeciwnie, kłótnia się jeszcze pogłębiła. W toku dalszej dyskusji Henryk oświadczył, że on by też rzucił buławę pod nogi księcia Janusza i na dowód cisnął kulą krokietową, niefortunnie trafiając Janka w nogę. Tamten odkopał ją wściekle.

Czy można było w tym wypadku powiedzieć, że winna wszystkiemu była ciocia Pafcia? — Wprawdzie Henryk usłyszał kiedyś jak matka powiedziała do ojca: — "Ach, Pafcia sama sobie winna!" — Ojciec jednak jej bronił.

Bo ciocia Parcia wyszła za mąż za Litwina jeszcze w czasach, gdy wszyscy mieszkańcy b. W. Księstwa Litewskiego przezywali sami siebie Litwinami. Ale już w okresie dorastania Henryka, część ich zaczęło przezywać "Litwomaniami". Wtedy Litwini zaczęli się nazywać Polakami, a Litwomani — Litwinami. Rzecz wydała się dość zawiła, a w szczególności nieprzyjemna.

— Mamo — zapytał — czy ciocia Pafcia jest Litwomanką, Litwinką, czy Litwinką Polką, ale nie Litwinką? — oparł się łokciem o stoliczek z kwiatami, przechylił go i wyrzucił wazę, która się rozbiła. Zbladł.

— Ach! Uważaj, uważaj, uważaj! Co robisz!

Nie, stanowczo ze strony ciotki Pafci nie był to mezalians w znaczeniu tego słowa. Raczej błędny krok, którego ona wszelako nie chciała za taki uznać.

— I co to za przerwiska takie wymyślają! — wykrzyknęła raz po obiedzie z oburzeniem. Matka w obecności służącej miała zwyczaj przechodzić na język francuski, ale ciotka nie znała go, więc matka usiłowała przerwać dyskusję zanim zostaną zebrane talerze ze stołu. Ciotka jednak mówiła dalej: — Głupstwa wymyślają i więcej nic! Wstyd nawet słuchać.

Marysia powtórzyła kucharce w kuchni urywki zasłyszanej przy stole rozmowy, ale tamta dmuchała tylko w samowar, nie okazując zainteresowania.

Ciotka, gdy zaperzyła się, miała zwyczaj na wszystkich po kolei zwać winę i to w oczy. U siebie łajała męża, czyniąc go odpowiedzialnym za nowe poglądy, a w domu Henryka jego rodziców. Podczas jednej wizyty uniosła się do tego stopnia, iż kazała Elżbietce natychmiast ubierać się i popychając ją przed sobą dziobem parasola, wyszła i nie zjawiała się aż po tygodniu.

W rok później, wujaszek, mąż ciotki, przestał już definitywnie bywać w domu Henryka. W tym jednak czasie sprawa ta przestała go interesować, a to ze względów szczególnych.

Największym pięknem świata są jego drzewa. Skały, woda itd? Owszem, owszem, ale drzewa przede wszystkim. Raz, a

było to w październiku 1910 roku, podczas nudnej lekcji arytmetyki, Henryk zapatrzył się w konary drzewa, jedyne jakie dostrzec było można przez okno wstępnej klasy gimnazjalnej. Z gałęzi zwisały ostatnie liście, a wśród nich skakał ptaszek o żółtym brzuchu z czarną, podłużną pręgą. To wieształ się w dół głową, to znów był na górze, to bokiem, to już na innej gałązce.

— Hm... — powiedział Ipolit Aleksandrowicz, kładąc nie spodziewanie rękę na ramieniu Henryka. Ten, zaskoczony, poczerwieniał, czując jednocześnie na sobie oczy całej klasy. — Co? siniczka zainteresowała? Hm — i nauczyciel, zdjawszy ówkiery zawiesił je swoim zwyczajem na klapie surduta ze złotymi guzikami. Stał sam przed oknem i patrzył jakiś czas w zamyśleniu na ptaszka, aż ten odleciał. — Ndaaa... Nu's — i odwrócił się znowu do ławki. — A ot, skażicie mnie, wiele jedności będzie w siedmiuset?

Henryk wstał, wciąż czerwony na twarzy i nie wiedział. Nauczyciel pokiwał z dezaprobatą głową.

— Na pałkę zarobił! — krzyknął z ostatniej ławki Dowgiało i od razu rozległy się chichoty.

— Dowgiało — powiedział surowo nauczyciel, powracając do katedry — proszę stanąć do kąta i nie przeszkadzać. — Po czym wykład potoczył się dalej. Ale po lekcji Ipolit Aleksandrowicz przywołał Henryka i dał mu ze szkolnej biblioteczki książkę profesora Iwanowa, "Priroda".

Od tego czasu sprawy zwierząt i ptaków do tego stopnia pochłonęły Henryka, że przestał interesować się innymi. Już po kilku dniach wracał z gimnazjum bez tchu w ściśniętym gardle, nie wiedząc, czy matka zgodzi się na jego prośbę, aby mu kupić gila za dziesięć kopiejek, którego sprzedawał na rogu chłopców. — Było akurat tzw. "Żydom święto" i może z tej racji wszczęła się w kuchni debata pomiędzy kucharką i praczką, na temat, czy "żyd to człowiek?". Dawniej zatrzymałby się niewątpliwie, by wypowiedzieć swoje zdanie, gdyż zawsze miał skłonność do mądrzenia, ale teraz przebiegł tylko i nóg nawet o słomiankę nie wytarł. Co mu tam! Matka gila kupiła.

Kolega z sąsiedniej ławki, Sierioża Sawieljew, piegowaty blondynek, bardzo niskiego wzrostu i pociągający czegoś nosem, powiedział na którejś przerwie, właśnie tym nosem pociągając:

— A ja wiem jak suszyć jarzębinę.

— Do czego? — spytał Henryk.

— Na przynętę dla ptaków.

Tak zaczęła się ich wielka przyjaźń, a raczej wielki wspólny interes. Omawiali wielkość klatek, zbierali pieniądze na "zapadkę", czytali wspólnie o polowaniach, ślęczyli nad obrazkami, hodowali ptaki. Na przykład Henryk przychodził, bywał, do klasy i rzucając tornister, oznajmiał Sieriożce:

— Wiesz, moja czeczotka dziś kapiała się.

— Ot, sztuka... — odpowiada tamten z lekceważeniem.

— Dotychczas nie chciała.

— Aa...

Matka chętnie widziała zainteresowanie Henryka przyrodą, gdyż podobne skłonności u dzieci popierane są tradycyjnie przez starszych. Postanowiła zatem na zbliżające się święto Bożego Narodzenia kupić mu pięknie ilustrowane dzieło o zwierzętach i ptakach: Alfreda Brehma, "Tierleben".

Złożyło się jednak, że rok 1910 obchodzony był w całej Polsce skutej łańcuchami niewoli, w podniosłym nastroju rocznicy zmiążdżenia Krzyżaków pod Grunwaldem: Wysły ładne księgi pamiątkowe, litografie patriotyczne i przypomniano sobie wszystkie krzywdy wyrządzone przez Prusactwo. Wóz Drzymały; nad łóżkiem Henryka zawisła nowa reprodukcja Koszaka: "Precz rugi pruskie!" przedstawiająca grubego, rudego żandarma na koniu, który chłopom polskim odczytuje akt wywłaszczenia ziemi; chłop zaciska pięści.

Ktoś zatem wrócił uwagę matce, iż nie jest to właściwie odpowiednia chwila, by chłopcu polskiemu ofiarowywać na gwiazdkę właśnie książkę niemiecką... Fräulein Klary już wówczas nie było. Pozostała tylko jedna Mademoiselle i tej matka poleciła dowiedzieć się, czy nie ma francuskiego wydania Brehma, albo nawet napisać do Paryża, bo polskiego wówczas nie było. Czy to jednak z braku czasu przed świętami, czy skutkiem ignorancji Mademoiselle w sprawach zoologii, czy też istotnie takie tłumaczenie nie istniało, dość, że nie mogła go znaleźć. Rzecz była rozważana w rodzinie. Tym razem głos ciotki Pafci przeważał sprawę, gdy wreszcie pojęła o co chodzi:

— Ależ, najmilsza moja! — wykrzyknęła. — Toż przecie o ptaszkach!

Sierioża nie umiał po niemiecku, więc tylko wchłaniał kolorowe obrazki, a Henryk tłumaczył mu cierpliwie każde słowo. Pierwszego wieczoru zasiedzieli się do tak późna, że Marysia musiała odprowadzać Sieriożę po ciemku do jego domu. Wróciła zła i przemarznięta. Wiesząc chustkę, skarżyła się kucharce:

— A i mieszka też, gdzieś u czorta na kuliczkach...

Kucharka przeżegnała się, bo słowa "czort" nie wypowiada się bezkarnie.

Sierioża istotnie był synem woźnego z urzędu pocztowego, rodem z Tambowa. Mieszkał na przedmieściu. Bywał coraz częściej u Henryka. Matka, która odznaczała się tolerancją, nie broniła tych wizyt, choć Leoś, gdy zachodził zżymał się. Tak upływał styczeń, luty. Bodaj że w zapusty postanowili, że latem dokonają wielkiej wyprawy w lasy. Nie chodziło o kiereunek, lasów było jeszcze dużo. Kto wie, czy by do niej nie doszło, gdyby na przeszkodzie nie stanęła pewna zabawa dziecienna.

Matka lubiła organizować takie zabawy. Była wiosna. Przypadała też rocznica 3 maja. Ciepło było takie, że do szkoły

chodziło się już w białej bluzie. Henryk został uprzedzony, żeby na ten dzień nie zapraszał Sierioży do siebie. Stało się jednak, co się zresztą zdarzało coraz częściej, że Sierioża przyszedł z własnej inicjatywy i zadzwonił. Marysia, przybrana w odświętny fartuch i kokardę na głowie, zawahała się w pierwszej chwili, ale następnie, nie wiedząc co powiedzieć, wpuściła go do pokoju Henryka. Ten przywitał go z największym zakłopotaniem. Dzieci już zaczęły się schodzić i z salonu dochodziły ich głosy i śmiechy.

— Co to u was, zabawa jakaś?

— Taaak... — przeciągnął niechętnie Henryk i machnął niedbale ręką. Był tak roztargniony, że rozmowa się nie kleiła. W pewnej chwili przerwał ją raptownie:

— Poczekaj — i wyszedł z nagłym postanowieniem. Ale gdy zbliżał się do drzwi matki poczuł, że serce mu bije i czuje się nieswojo. Przebieierała się właśnie, więc musiała czekać, a czekanie odebrało mu resztę odwagi, o której dowiedział się w późniejszych latach, że nazywa się: "cywilną". Zaczął od bełkotu:

— Mamo... przyszedł ten, no... ty wiesz... Sieriożka... Czyby jednak nie można było...

— Nie, nie — przecięła krótko. — Porozmawiaj z nim, powiedz grzecznie, że jesteś zajęty i niech sobie idzie do domu.

Henryk wrócił przygnębiony i milczał. Był zły na przyjaciela. Bąknął coś głucho, że musi odrobić jeszcze zadanie arytmetyczne.

— A u was zabawa? — powtórzył Sierioża.

— Uhum...

Nastało milczenie. — A i ja bym się pobawił — Wiesz, ja lubię bawić się czasem jak dużo dzieci.

Henryk udał, że nie dosłyszał i zaczął przewracać w zeszytach. O ptakach ani o zwierzętach nie mówili. Tomy "Tierleben" stały na półce i świeciły stamtąd złotymi literami na grzbietach. Przez okno dochodził świergot i duszny zapach przewijającej czeremchy. Sierioża podłubał w nosie.

— Twój ojciec jest potomstwiennyj dworianin pewnie?

— A bo co?

— Nic. Mój mieszczanin. Tego obrazka na ścianie przedtem nie było.

— To nowy. Ale już chyba widziałeś.

Henryk nie umiał, nie wiedział jeszcze jak wypraszać gości. Ucinał tylko zdania, a milczenia pomiędzy nimi stawały się coraz dłuższe.

— No, to ja pójdę już chyba... — powiedział Sierioża, ale nie odchodził. Głosy na dole były coraz bardziej rozbawione i coraz bardziej piękły Henryka. Nagle drzwi się otwały i weszła matka.

— Ach! Sierioża — powiedziała z udanym zdziwieniem. — No, idź już do domu, bo Henryś musi iść się kąpać. — Henryk poczerwieniał jak rak i odwrócił się prędko, żeby nie patrzeć. Sie-

rioża chciał szurgnąć nogami na przywitanie i zaplątał się w dywan. — Ja ciebie wypuszczę — dodała matka łagodnie.

Słychać było jak stuknęły drzwi frontowe. Później przez otwarte okno, skąd widoczny był odcinek ulicy w szpalerach młodych listków akacji, szedł Sierioża, postukując leniwie obcasami. Na pustym chodniku zacichał ten głos bardzo powoli. Henryk zaczekał dłużej niż aż kroki umilkną zupełnie, wtedy dopiero poszedł do salonu.

— No! — przywitał go Leoś, który tam rej wodził — nareszcie! Słyszałem. Wyrzuciłeś tego kacapa?!

Henryk uśmiechnął się krzywo, usiłował nadać swej postawie dziarski wygląd, podrzucił głowę:

— Wyrzuciłem — i przełknął ślinę.

Była to zabawa na wpół dziecinna, na wpół obchód patriotyczny, co podniecało zwłaszcza starszych chłopców. Głównym urokiem stało się zamknięcie okien od ulicy, gdy Hania zasiadła do fortepianu. Deklamowano wierszyki:

"Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz..."

Później:

"A kłuj, a rąb, a kłuj, a rąb!

I w łeb lub serce pał!"

Ładne wierszyki. Henryk siedział w rogu kanapy, zgarbił się i patrzył przed siebie w parkiet wyglansowany przez Marysię. Stały tam w cieniu między oknami, rośliny: palma karłowata, zestarzała w donicy, fikus i arakuaria... Po wierszykach Leoś wystąpił z odczytem. Była to gmatwanina bardzo wielu zdań, dobranych w solidną kompozycję. Leoś widocznie był dumny, ale mówił spokojnie, trafnie akcentując poszczególne, co piękniejsze wyrazy, a zakończył bez zbyteń patosu:

"Polska to Chrystus narodów!"

— A pfe!... Toż to bluźnierstwo — rozległ się niespodziewanie głos cioci Pafci, która ukazała się w progu salonu. — Dzieci, proszę na herbatę.

Urażony Leoś próbował bronić swej tezy, ale nikt go już nie słuchał, gdyż wszyscy zaczęli się tłoczyć w drzwiach prowadzących do pokoju jadalnego.

Nazajutrz Henryk po wejściu do klasy, udawał zmarszczenie czoła i z przydługim ociąganiem układał książki w pulpicie, dając tym możliwość Sieriożce sto razy zapytać o przyczynę złego humoru. Ale Sierioża nie odezwał się ze swej ławki. Henryk zerknął ku niemu ukradkiem: tamten patrzył w inną stronę. Henryk przeczekał jeszcze chwilę i powiedział wreszcie:

— Sierioża.

— Czego chcesz? — padła odpowiedź lodowata.

— Niczego.

— Ty... paliaczyszka... — wycedził Sierioża.

Henryk nie pamiętał czy słyszał kiedykolwiek to przewisko, ale sądząc z intonacji domyślił się, że musi być równie nieprzychylnie jak słyszane w domu: Moskał, Szwab, Kacap, Żyd-

łak, Litwomani... Więc odruchowo zamachnęła się trzymaną w rękę Chrestomatią, w tej chwili jednak wszedł Ipolit Aleksandrowicz, wszyscy wstali i zaczęła się lekcja. W oczach pozostał mu tylko obronny ruch łokciem, który uczynił Sierioża. Nie rozmawiali ze sobą więcej. Tego dnia wykłady ciągnęły się długo. Była jeszcze dodatkowa lekcja śpiewu. Drzewo za oknem zieleniło się, zieleniło aż do godziny 3 popołudniu, potem ze zmęczenia przestało nęcić.

Henryk wracał sam. Tornister zwiesił niedbale na jednym ramieniu. Dopędził go Dowgiałło: — Chodź, pójdziemy przez Ostrą Bramę, będziemy Żydom czapki zrzucać z głowy!

— Niecechce...

— Czemu?!

— Tak...

— Ot, ciamaga z ciebie! — i ruszył przodem.

Obiad jadł Henryk bez smaku. Potem poszedł do pokoju, w którym hodował swoje ptaki. Wyniósł klatki do ogrodu i potwierał drzewiczki. Ostatni czyzyk nie bardzo miał ochotę wychodzić; najadł się konopi i widocznie lenił się. Henryk nerwowo wypłoszył go palcami precz. Rozleciały się wszystkie, każdy prawie w inną stronę. — "Heeenryś! Heeenrysiu! — usłyszał z ganku głos matki. Milczał.

— Heenrysiu!

— Cooo?!

— Gdzie jesteś?! Chodź, przyszła ciocia Pafcia!

— No to co!

— Jak ty mówisz! Chodź prędko.

Powłókił się leniwie. — Spójrz tylko — powiedziała matka — jak ciebie ta ciotka rozpieszcza! Kupiła ci kanarka. — Henryk spojrzał spode łba: W klatce były dwa kanarki.

— A to — szepnęła tajemniczo nachylając się ciotka — ten drugi, żebyś mógł darować swemu przyjacielowi. Jak się nazywa, zapomniałam... Taki blondyneczek mały, biedniutki.

— No, podziękuj chociaż — szturchnęła go matka, gdy stał wciąż milcząc.

— Dziękuję — mruknął Henryk.



Jeszcze daleko, bardzo daleko, w nieznanej przyszłości leżała epoka drutów koleczastych. Nikt jeszcze, nie słysząc było, by nimi pola grodził. Czasy liszeńców i dzieci liszeńców, czasy zabronionych porównań, czasy biologii Łysienki, literatury kręconej korbą katarynki, czasy obciętych horyzontów wyłaniać się zaczęły dopiero z błota okopów po roku 1914, z gazów trujących, z rozdętych po drogach trupów ludzi i koni.

Na początku tego okresu twarz cioci Pafci nie nabrała jeszcze tego wyglądu drapieżnego ptaka z rączki parasola, o czym było wspomniane na wstępie niniejszej opowieści. Raczej przypominała zatroskaną kokoszkę, usiłującą rozczapierzonymi skrzydłami ratować rozpadającą się rodzinę.

Pierwszy był Antolek. Zawsze taki elegancki i co mu przyszło, nie wiadomo. Poznał kogoś na uniwersytecie petersburskim, czy przeczytał jakąś książeczkę, dość że pewnego dnia oświadczył, że uważa siebie, w gruncie rzeczy, za Białorusina.

— Za kogo? — spytała ciotka, nie przywiązując do tej deklaracji większego znaczenia.

Ale ojciec Antolka się oburzył. Doszło między nimi do ostrej wymiany zdań, w której padały takie słowa jak "renegat"! Zresztą wkrótce potem Antolek pojechał znowu do Petersburga i tak już nie zdążył wrócić, wchłonięty gdzieś przez zawieruchę wojny i rewolucji. Ciotka, która poprzednio niechętnie wysłuchiwała programowych wywodów o słuszności praw białoruskich, które jej interpretował, broniła ich jednak następnie dzielnie i trafnie, na dwa fronty jednocześnie: zarówno przed własnym mężem, jak w domu Henryka.

— Oni też chcą mieć szkoły i tak dalej — mówiła.

Rzecz jednak musiała ją trapić wewnętrznie i chwilami nie umiała już zupełnie opanować swoich nerwów, jak to wykazał pewien wypadek na ulicy:

Tym razem przyczyną stał się Leos, który podrośszy, zakończył się w średniej Aldonce. — "Z dobrej rodziny" — mówił o nim. Jednak w ostatniej klasie zrobił się socjalistą. Mówiono więc z kolei: "To mu przejdzie". Ale nie przechodziło. Przeciwnie, stawał się coraz bardziej radykalny.

Szli raz ulicą we troje. Nowoupleczona para narzeczeńska i ciotka. Leos rozprawiał:

— Kapitaliści i obszarnicy litewscy, czy polscy to nie jest żaden naród...

— A kto? — przerwała ciotka z rozdrażnieniem. — Pieski, według ciebie, ciu-ciu, tak?!

— Nie pieski, ale burzuje. Naród to masa, proletariat.

Ciotkę coraz bardziej drażniły obce słowa. Idąc pierwsza ciasnym chodnikiem spostrzegła, iż okołodoczny nadziratelił potrafił jakąś kobiecinę, może przez nieuwagę, a może dlatego, że zwyczajem okołodocznych był nadmiernie gruby i nie mieścił się w przejściu. Wypadek stał się słynny w późniejszych opowiadaniach, bo ciotka nie tylko zwymyślała policjanta, ale zamachnęła się nań parasolem. Awantura podobna mogłaby kosztować ją do 10 rubli łapówki, stupajka jednak tak się stropił tym niespodziewanym wybuchem starszej damy, a może sądził, że ma przed sobą określony typ generalskiej żony, która mogła sobie pozwolić na niejedno, że tylko odsalutował, zeszedł na jezdnię i poszedł bardzo prędko, poblyskując lakierowanymi cholewami spod szyneli.

Leos ożenił się z Aldonką już po wybuchu rewolucji bolszewickiej i wyjechał z nią do Mińska. Hania udała się do Warszawy, oświadczywszy, że nigdy Litwinką nie była i nie będzie; żeby chociaż rozplakała się przy tym, ale nie, tupnęła nogą, zupełnie jak Henryk, gdy był mały, a oczy miała suche, czarne od nabiegłej w nie pasji. Ojciec wyrzekł się jej, a Elżbietka,

zawsze bardzo słabowita, rozchorowała się. — Przez dłuższy czas nie mówiło się wcale o Hani w obecności ciotki, po prostu, aby nie robić jej przykrości. Gdy nagle ona sama, najspokojniej, któregoś poobiedzia odezwała się prawie wesoło:

— Chwała Bogu, ot i Hania dobre bardzo miejsce dostała, pisała.

Niezdługo potem Janek wyjechał z ojcem do Kowna. Nie było wieści ani od Antolka ani od Aldonki. Bolszewizm narażał, rozrastał się, opanowywał wszystko.



Przyszedł dzień, w którym bolszewicy wkroczyli po raz pierwszy do miasta. W powodzi różnorakich słuchów rozeszła się wieść, że Leos jest nie tylko jednym z członków "Czeka", ale piastuje w niej wysoką godność. Po raz pierwszy, wbrew zwyczajowi, ciotka nie powiedziała na razie ani jednego słowa na jego usprawiedliwienie. Minęły dwa miesiące. Elżbietka leżała w łóżku chora. Było południe. Ciotka weszła do jej pokoju z lekarstwem, pytając:

— No, jak się czujesz, moja duszko?

W tej chwili zajechał przed dom samochód. Postawiła tedy szklaneczkę z miksturą na stolyczku i poszła otworzyć drzwi, zanim jeszcze ktoś zadzwonił. Z samochodu wysiadł Leos. Ciotka stanęła w progu, z bursztynową broszką pod szyją, koloru opadających liści. Leos zmęźniał, spowaźniał na swej zawsze inteligentnej twarzy, ale wychudł. Zbliżał się krokiem lekkim i uśmiechał się. Ciotka patrzyła nań z wysokości ganku. Dziełiło ich jeszcze kilka kroków.

— Leos — odezwała się pierwsza — rzuć ty tych twoich żulików!

Leos przystanął, zdawało się, że się zawahał, ale odwrócił się i bez pośpiechu, bez słowa, powrócił tym samym, równym krokiem do maszyny. Siadł, zatrzasnął drzwiczki; musiał przy tym urazić się w mały palec u ręki, bo odjeżdżając przytknął go do ust i ssął.

Oto w jakiej chwili zaszła ta metamorfoza. Stara służąca, Ewa, opowiadała później:

— Jak raz byłam wyszedłszy na dziedziniec, popatrzeć kiedy odjeżdżał. A pani z ganku tylko patrzyła, patrzyła, nawet żeby rękoma oczów i to nie osłoniła. A twarz jejna zmarzszywszy się była ni to jak do płaczu, ni to jak, bywało, w złości.

Na pozór nie zaszło nic takiego, incydent był raczej z rzędu błahych, a przecież nigdy przedtem nos ciotki nie zwisał w ten sposób nad wystającym podbródkiem, przydając twarzy wyraz krogulczy: ciotce Pafci z bursztynową broszką, a jak wielu twierdziło dotychczas, z bursztynowym sercem.

Zaczęła też używać takich słów jak: "zaraza", wypowiadanych z zaciętością jakiej przedtem nigdy nie potrafiła okazać. Być może przeczuła wtedy, że nigdy już nie zobaczy swojej Aldonki,

być może dołączał się nieustanny niepokój o los Antolka, od którego żadnych wieści nie było i nie będzie. Ale żale i tęsknoty mijają z biegiem czasu, natomiast zaciętość ciotki zdawało się, wzrastała z każdym następnym rokiem. Można by chyba za ryzykować twierdzenie, że ciocia Pafcia zaczęła nienawidzić. Czego? Bo nie: kogo. O Leosiu wyraziła się nawet po kilku dniach:

"Czy to on winien? Nie on winien. To jemu głowę zadurzyli".

Ale w miarę jak z upływem lat dochodziły ją coraz nowe wieści i szczegóły o przeobrażeniach i wzrastającej nietolerancji świata, nie umiała się nigdy powstrzymać od uwagi: "Ot, zaraza jakaś!".

I miało tak już zostać. Przypuszczać należy, że jej dotychczasowy brak zrozumienia dla animozji politycznych i wynikająca z tego głęboka niechęć do przejawów przesadnego patriotyzmu, musiała się przeistoczyć w rodzaj organicznego wstrętu do tego nowego, partyjnego patriotyzmu, który nie znał już dla nikogo i dla niczego żadnych względów. A przecież ciotka całe życie przeżyła względami dla drugich. Nigdy też nie studiowała, a czytała bardzo mało, jakże więc mogła pojąć konieczność zastąpienia oczywistej dla niej prawdy, przez wyłączną już tylko prawdę polityczną! — Nie jest jednak pewne, że uświadamiała sobie te rzeczy dokładnie, ani po latach, ani wtedy, gdy zamknęła drzwi frontowe i wracała przez pokój.

Elżbietka zawoiała: — Kto tam był?!

Odpowiedziała: — Nikt nie był; nie durz mnie głowy — i poszła do siebie.

Potem Elżbietka umarła i ciotka została zupełnie sama, bo cała rodzina i prawie wszyscy znajomi uciekli w tym czasie z miasta. Powróciwszy z pogrzebu nie odezwała się słowem do starej Ewy, nie chciała pić herbaty i zasiadła do rozkładania pasjansu. Później weszło to w jej zwyczaj: rozkładała go na stole każdego wieczoru, a jej krogulczy nos, zdarzało się, groźnie zawisł nad trzymanym w ręku asie pik. — "Co to ona chciała sobie przypomnieć?... Acha... Pik, Piko... Tietuszka Piko, była kiedyś taka książka dziecinna..." I nie uroniwszy ani jednej łzy, rozkładała dalej.

Po roku 1920 nastąpiły znane powikłania i zmiany. Ciotka żyła wciąż, choć zestarzała bardzo. Parasol z głową drapieżnego ptaka stał zniszczony w kącie przedpokoju. Zabrała go ze sobą, gdy zlikwidowawszy wszystkie sprawy pojechała wreszcie do męża i Janka. Przywitała ich zewnętrznym objawem serdeczności, pod którym nie poznać było jak bardzo zmieniła się wewnętrznie, a wieczorem, po zebraniu ze stołu, przechyliła głowę, spojrzała pod światło lampy czy cerata czy sta, zdmuchnęła jakąś kruszkę i zaczęła rozkładać pasjansa.

Henryk zobaczył ją po raz ostatni w życiu dopiero po długich latach. Ponieważ zawsze wydawała mu się stara, nie dojrzał w pierwszej chwili zbyt dużej przemiany w jej wyglądzie.

Było to jesienią roku 1939. Zdarzyło się tak, że garstka pozostałych krewnych, wielu już podtatusiawych, wielu później urodzonych, dawno wzajem sobie obcych, niektórzy na wysokich stanowiskach w nieprzychylnych sobie, różnych państwach uchodząc przed drugą zawieruchą, raczej przypadkowymi drogami spłynęli do domu ciotki. Było ciasno. Herbatę podawano jak zawsze, z samowaru. Później ciotka układała pasjans. Na świecie, wojna z Niemcami stanowiła główny temat. W jadalnym palono dużo papierosów. Goście wysnuwali swoje horoskopy. Debatowano inteligentnie i choć w rodzinie, omijając dyplomatycznie tematy wzajem drażliwe, ważąc realną sytuację polityczną, abstrahując od wszelkich mrzonek, rzeczywistość oceniano trzeźwo. Bolszewicy dopiero tydzień jak wystąpili ze swych granic i parli naprzód. Jeden z dalszych siostrzeńców, a były dygnitarz polityczny, zakończył właśnie cichym głosem swój pogląd polityczny na sytuację, łagodnym ruchem ręki uczynił gest bezradności i następnie w skupieniu gasił papierosa. Nastała cisza. Nagle z końca stołu odezwał się głos zapomnianej w tej chwili ciotki:

— Ot, głupi. Zamiast gadać nie wiedzieć co, zebraliby się wszyscy razem... Wszystkie narody... Przestaliby się kłócić o byle głupstwo, pogodziliby się, zjednoczyli i znieśliby tę bolszewicką zarazę ze świata. Ale rozumu nie mają.

— Hm... — odchrząknął zaskoczony dygnitarz, a inni uśmiechnęli się pobłaźliwie w milczeniu. Wtedy dostojnik polityczny, aby pokryć zmieszanie, uderzył ręką po kolanie, po spodniach czarnych w paski, w których uciekał już tydzień i nadając głosowi intonację żartobliwą, powiedział.

— O! Ciocię by zrobić dyktatorem Europy! Co?

Ale ona nie uśmiechnęła się z tego żartu. Wstała, zgarnęła karty i wyszła z pokoju, bo dym jej teraz szkodził.

Ktoś westchnął: — Kochana ciocia.

— Zestarzała się mocno.

— Cóż robić, lata idą.

— Zawsze była trochę naiwna.

— Obawiam się, że już troszeczkę zdzieciniała.

Raptem Henryk poruszył się w kącie na swoim fotelu. Mimowoli spojrzano w jego kierunku. Chciał zdawało się, coś powiedzieć, ale widocznie zawstydził się wobec tego gremium, bo tylko przełknął ślinę i tak jak inni uśmiechnął się pobłaźliwie, patrząc na drzwi, które zamknęły się za ciotką.

Józef MACKIEWICZ.

Sprawy i troski

Kolegium Wolnej Europy

W lipcu 1950 roku Józef Czapski i Jerzy Giedroyc rzucili na Kongresie Obrony Wolności Kultury w Berlinie myśl zorganizowania uniwersytetu dla studentów z krajów zza żelaznej kurtyny. Myśl ta, uchwalona w formie rezolucji, zamieniła się na następnym Kongresie w Brukseli w realizowany już projekt. Potem, jak zawsze, odbyło się szereg spotkań, konferencji, rozmów, powstał plik memoriałów, narodziła się konieczność odwiedzania coraz to innych ludzi, deptania i naciskania odpowiednich sprzęż. Czapski jeździł nawet do Ameryki celem nadania sprawie tej właściwego rozpędu. I wreszcie, co także staje się nieuniknione, gdy nowa i słuszna myśl współżyje z upartym wysiłkiem, projekt przybrał realne kształty rzeczy istniejącej. Od 1-go listopada tegoż roku w La Robertsau pod Strasburgiem stworzone zostało Kolegium Wolnej Europy. Co prawda, między pierwotną koncepcją J. Czapskiego i J. Giedroycia, a tym co dzięki kierownikom Free Europe ujrzało światło dzienne w La Robertsau istnieją zasadnicze różnice. Zamiast uniwersytetu z odpowiednimi katedrami, specjalnym gronem profesorów wykładającym nie tylko przedmioty z normalnego programu nauczania, lecz także prowadzącym pogłębione studia z zakresu historii i kultury poszczególnych narodów zza żelaznej kurtyny, mamy Kolegium, w którym zgromadzono przedstawicieli 9 krajów okupowanych przez Rosję sowiecką i którzy, zapisawszy się na wydziały uniwersytetu w Strasburgu kontynuują swe studia. Lecz jest to — powiedzmy szczerze — ogromny krok naprzód. Została stworzona rzecz nowa, interesująca, która może być pełnym istotnych konsekwencji eksperymentem. Jakże da on rezultaty — pokaże przyszłość. Lecz już dzisiaj pochylić się nad nim można nie tylko z wdzięcznością dla jego twórców i autorów, lecz także z niecierpliwą ciekawością zdania sobie sprawy z tego jakie załączki rozwojowe niesie on w sobie.

Zasadniczo Kolegium Wolnej Europy spełnić ma trzy zadania: a) umożliwić studentom zza żelaznej kurtyny kontynuowanie normalnych studiów i stworzenie w ten sposób na przyszłość wartościowych kadr dla ich narodów, b) zabezpieczyć znajdującą się tutaj młodzież z krajów satelickich przed wynarodowieniem przez utrzymanie i rozwinięcie w niej zamiłowania do kultury i historii ich własnych narodów i wreszcie, c) ukształtować w niej na tle współżycia i na skutek specjalnych studiów wzajemne zrozumienie, dokonać zbliżenia między tymi przedstawicielami odrębnych narodowości i wychować ich w duchu ponadnarodowym. Takie były i są cele, które przyswiecały powstaniu Kolegium Wolnej Europy. Czy jednak zostały one zrealizowane, czy sam fakt stworzenia Kolegium popchnął ich urzeczywistnienie naprzód i czy szanse całkowitego spełnienia programu przedstawiają się poważnie? Zapewne, jest jeszcze zbyt wcześnie, by uzyskać odpowiedzi na wszystkie te pytania. Ale zarys odpowiedzi tych już się formuje. I by uchwycić główne jego linie wyjeżdżam do Strasburga.



Gdy po 2 kilometrowym, miłym spacerze zjawiam się w pięknym pałacu w La Robertsau okazuje się, że pokazanie się dziennikarza nie budzi tutaj żadnego zdumienia. Od razu poinformowany zostaje, że przede mną byli już w La Robertsau dziennikarze angielscy i amerykańscy, że na najbliższe dnię zapowiedziany jest przedstawiciel "Manchester Guardian", a w czasie mego pobytu dostrzegam dwu korespondentów niemieckich z Norymbergii, którzy przy jednym ze stolików w living roomie wpatrując się łapczywie w jakiegoś studenta Jugosłowiańszczyzny zasympują go pytaniami. Wszystko to utwierdza mnie w przekonaniu — Kolegium Wolnej Europy budzi szerokie zainteresowanie.

Po nieuchronnym oczekiwaniu przyjmuje mnie dziekan Kolegium, Amerykanin, p. Malcolm Davis. Rozmawiamy z nim najpierw o stronie technicznej zorganizowania Kolegium. Piękny pałac, otoczony wspaniałym, 10-hektarowym parkiem, który mieści teraz studentów, należy do rodziny hr. Pourtales. Pałac ten ma swą historię, burzliwą i zmienną, jak ziemia, na której stoi. Kiedyś, przez kilka dni gościł on u siebie cesarza Wilhelma II-go, potem przyjmowano w nim Churchilla, w czasie ostatniej wojny rekwirowały go kolejno trzy armie: niemiecka, francuska i amerykańska. Gdy w dniu 1-go sierpnia zjawił się w nim p. Malcolm Davis był on w stanie opłakanym. I w ciągu trzech miesięcy, w tempie ściele amerykańskim przystąpiono do przeprowadzenia w nim koniecznych zmian i ulepszeń. Zainstalowano centralne ogrzewanie, pokoje przemieniono na sypialnie i sale studiów, powstały umywalnie i łazienki, wszystko odmalowano, odświeżono, odczyszczono. Na 1-go listopada pałac w La Robertsau, jasny, odświeżony, błyszczący świeżymi posadzkami i linoleum, uzbrojony w

imponujące instalacje kuchenne oczekiwał przyjazdu pierwszego transportu.

W chwili obecnej w pałacu tym mieszka 63 studentów. Kolegium Wolnej Europy liczy jednak 75 członków, gdyż 12 studentek wchodzących w jego skład mieszka w Strasburgu i tylko stołuje się w La Robertsau. Tych 75 studentów i studentek, których liczba zwiększy się w najbliższym czasie do 100, dzieli się, jeżeli chodzi o ich narodowości w sposób następujący: 1 Albańczyk, 7 Bułgarów, 1 Estończyk, 5 Węgrów, 2 Łotyszów, 2 Litwinów, 16 Polaków, 9 Rumunów, 22 Czechów, 10 Jugosłowian. Zapisani oni są na poszczególne wydziały uniwersytetu w Strasburgu i na szereg wyższych uczelni, studiując rozbieżne gałęzie wiedzy, począwszy od prawa, filozofii i literatury, poprzez medycynę, politechnikę, dentystykę i teologię aż do studiów o Europie w Centre Universitaire des Hautes Etudes Européennes. Najliczniejszą grupą stanowią studenci prawa i Nauk Politycznych. Wiek studentów od 18 do 30 lat.

Codziennie specjalny autobus przewozi studentów z La Robertsau do uniwersytetu i z powrotem. Drogę tę odbywa dziennie kilkakrotnie.

Student Kolegium Wolnej Europy dysponuje więc wszystkimi ułatwieniami umożliwiającymi mu całkowite poświęcenie się studiom. Mieszka w doskonałych warunkach, posiada możliwość zupełnego odosobnienia się dla nauki, jada zdrowo i obficie (widziałem menu obiadu i kolacji a w czasie rozmów ze studentami nie zetknąłem się nigdy ze skargami na ten temat), zakupuje mu się podręczniki i opłaca wszelkie koszty studiów, otrzymuje ponadto 9 tys. fr. miesięcznie na wydatki osobiste, na wypadek choroby leczony jest za darmo. Wiosną będzie miał boisko dla różnych gier sportowych, które zostanie urządzone w parku. Życie jego w Kolegium nie jest skrepowane żadnymi uciążliwymi czy przykrymi przepisami. Panuje tutaj zupełna swoboda, abstrakcyjna i twarda jak stal wolność amerykańska. Może jeździć na wykłady, lub nie, wolno mu grać w szachy, karty, cały dzień słuchać może radia. Nikt do jego spraw wewnętrznych się nie miesza. Może, o ile chce i o ile uprzedzi stróża nocnego wrócić do Kolegium nawet i o 6-ej rano, może nawet i nie wrócić wcale.

Poza tym wyczuwa się w Kolegium w La Robertsau nieustanną i niezaprzeczną chęć i troskę przyjscia studentom z pomocą we wszystkich ich kłopotach i trudnościach. Gdy potrzeba im książek, bielizny czy butów magiczna szkatułka amerykańska rozdziela szczerze swą zawartość. Gdy powstanie konflikt na tle podawanego do stołu gatunku piwa czy jakiegos innego szczegółu organizacyjnego wiadomo z góry, że spór rozsądzony zostanie z matematycznym poczuciem sprawiedliwości. Z tego punktu widzenia podstaw do jakiegokolwiek niepokoju nie ma i być nie może.

Zewnętrznie sytuacja studenta z Kolegium Wolnej Europy w porównaniu ze studentem francuskim jest taka sama, a

różnica dotyczy tylko jednej rzeczy: zamiast mieszkać w Strasburgu, mieszka on w La Robertsau. Poza tym korzysta z tych samych praw i przywilejów na uniwersytecie co student francuski i, tak samo jak on, po ukończeniu studiów otrzyma pełnoprawny i honorowany przez wszystkich dyplom. Pierwszy cel więc Kolegium Wolnej Europy, o którym mówiliśmy na wstępie — umożliwienia młodemu chłopcom i dziewczętom z żelaznej kurtyny kontynuowania normalnych studiów — został, jak wydaje się, spełniony całkowicie. Z rozmachem, dokładnością, zasadniczym i schematycznym przywiązaniem do poszanowania indywidualności. Precyzyjna i godna podziwu robota amerykańska.

W Kolegium w La Robertsau mówi się po francusku. Jest to język urzędowy i język, którym porozumiewają się przedstawiciele poszczególnych grup narodowych. Wybija się on też ponad rozgwar 9 odrębnych języków. Są tacy, którzy mówią nim swobodnie, z wprawą, są tacy, którzy szukają słów z trudem i zwracają się o pomoc do kolegów. Lecz na ogół tych pierwszych jest znacznie więcej. Jednym z warunków przyjęcia do Kolegium w La Robertsau była znajomość języka francuskiego. W rezultacie, większość obecnych studentów pochodzi z terenu Francji, jest tylko kilku takich, którzy przyjechali z Anglii, Belgii i Szwajcarii. Na ogół też ci chłopcy i dziewczęta przebywają we Francji od 2 czy 3 lat co najmniej. Ze świeżo przybyłych z tamtej strony kordonu mamy tylko jednego Rumuna, który w czasie kongresu młodzieży demokracji ludowych, który odbył się latem 1951 roku w Berlinie, zdołał przedostać się na zachód i który na szczęście znał francuski.

Warunek znajomości języka francuskiego był może rzeczą zrozumiałą na początku istnienia Kolegium. Lecz od razu powstaje pytanie czy działanie tego mechanicznego sita, o ile zostanie ono utrzymane, nie będzie szkodliwe w przyszłości. Dla czego bowiem ograniczać dopływ nowych kandydatów do tych tylko z terenu Francji i co stanie się z tymi, którzy ewentualnie przeciekać zaczęły zza żelaznej kurtyny i nie będą w szczególności i wyjątkowym położeniu owego berlińskiego Rumuna? Pan Malcolm Davis uspokaja mnie nieco. W najbliższym czasie zorganizowany zostanie w La Robertsau specjalny kurs języka francuskiego dla podciągnięcia słabszych i z którego w przyszłości korzystać będą mogli ewentualnie nowoprzybyli, nieznający języka tego w ogóle. Wyciągam z tego wnioski, że automatyczne działanie sita zostanie w przyszłości, o ile nie usunięte, to w każdym razie mocno złagodzone. Przewidziane jest również zorganizowanie kursu języka angielskiego.

Z ową sprawą nieco mechanicznego wyselekcjonowania studentów wiąże się jeszcze inne zagadnienie. Jak powiedzieliśmy, studenci to chłopcy i dziewczęta, którzy w swej ogromnej większości przebywają na Zachodzie już od pewnego czasu i któ-

rzy tym Zachodem przesiąkli i związali się z nim dosyć mocno. Mówiono mi (nie wiem w jakim stopniu uwaga ta odpowiada rzeczywistości), że często słyszy się w rozmowach między studentami zdanie, iż do swoich krajów, nawet o ile zostaną uwolnione, już nie wrócą. Pozostaną na Zachodzie. Mówią oni: **czyż można młodziutką roślinę, która zaledwie zapuściła korzenie wyrwać z ziemi i przeszczepiać ją na nowo do innej gleby?**

Jeżeli takie jest przekonanie wśród studentów w La Robertsau — sprawa jest poważna. Konieczność zaś podejmowania dyskusji z takim punktem widzenia i właśnie w Kolegium Wolnej Europy nabiera charakteru złośliwego absurdu. Tym niemniej fakt istnienia tego rodzaju poglądów (nie mam powodów przypuszczać, że chciano mnie wprowadzić w błąd) wskazuje na to jak słuszną i ważną była myśl stworzenia Kolegium, które wypisało sobie jako jeden z celów — dążenie do utrzymania więzów między studentem a jego krajem rodzinnym. Jakże pilne było też zrealizowanie tej koncepcji. Bieg bowiem powolnego i niewidocznego na pozór procesu wynaradawiania się może zostanie jeszcze odwrócony.

Gdy wypytuję p. Malcolm Davisa o to w jaki sposób problem owego podtrzymywania łączności między studentem a kulturą i tradycjami jego narodu, jest czy będzie rozwijany, okazuje się, że sprawa ta nie została jeszcze popchnięta naprzód. Po prostu nie było na to czasu. Program jednak w dziedzinie tej przemyślany jest szczegółowo i pierwszy etap rozkręcania jego przewidziany jest na grudzień. Tym pierwszym etapem będzie mianowanie dla każdej grupy narodowej specjalnego wychowawcy (maitre d'études) z tej samej narodowości i który w La Robertsau zamieszka razem ze studentami na stałe. Rola wychowawcy tego obejmować będzie rozliczne zadania, lecz w zasadzie rozwijać on będzie swą aktywność na dwu głównych płaszczyznach. Do działalności na płaszczyźnie pierwszej wchodzić będzie wszystko to, co podtrzymywać ma studenta w jego łączności z krajem. Wychowawca zajmie się więc skompletowaniem dla swej grupy biblioteki w jej własnym języku (poza tym powstanie biblioteka ogólna, złożona z książek francuskich i angielskich), zaprenumeruje odpowiednie periodyki i gazety, zorganizuje przyjazdy specjalnych wykładów, którzy mówić będą o historii, kulturze i tradycjach danego kraju i w języku danej grupy narodowej i wreszcie ustali on program tych wykładów. Wychowawca będzie więc nie tylko opiekunem, przyjacielem, starszym i bardziej doświadczonym kolegą, reprezentantem interesów danej grupy, lecz także w pewnym sensie będzie nosił na swych barkach odpowiedzialność za samopoczucie i zdrowie narodowe jego grupy. Z powyższego wynika chyba dostatecznie jasno jak ważny jest dobór odpowiedniego wychowawcy. Od tego czy dobór ten bę-

dzie trafny zależeć mogą przyszłe losy i koleje studentów danej narodowości.

Mówiliśmy do tej chwili tylko o pierwszej płaszczyźnie działalności wychowawcy. Druga płaszczyzna jego aktywności — to jednocześnie trzeci z kolei cel, który wyznaczyło sobie Kolegium Wolnej Europy — wychowanie studentów o odrębnych narodowościach we wzajemnym zrozumieniu, wypracowanie pewnego zbliżenia między nimi. Jak problem ten wygląda?

Dotychczas w dziedzinie tej podjęta została tylko następująca próba: w La Robertsau pokoje sypialne posiadają po 2, 3 i 4 łóżka i w żadnym z pokoiów tych nie ma dwu przedstawicieli tej samej narodowości. Zastosowano metodę rozproszenia i wymieszania. W czasie mego pobytu zwiedzałem szereg pokoiów sypialnych, byłem więc w pokoju, w którym Polak umieszczony był z Albańczykiem, i w innym, gdzie Czech miał za sąsiada Bułgara, i w jeszcze innym gdzie Polak, Rumun i Jugosłowianin mieszkali razem, itd. Jaki jest stosunek studentów do tego zarządzenia?

Słyszałem głosy skargi. "Jest to zarządzenie podchodzące do zagadnienia współżycia odrębnych narodowości zbyt symplicystycznie — powiedziano mi — trzeba było pozwolić mieszkać nam z naszymi rodakami, a harmonijne współżycie narodów narodziłoby się spontanicznie i powoli". Nie wiem kto tutaj ma rację. W każdym razie jest faktem, że w chwili obecnej, mimo rozproszenia i przetasowania w pokojach sypialnych, tendencja do trzymania się w grupach narodowych w La Robertsau utrzymuje się. Zresztą byłoby dziwne gdyby było inaczej. W stołowym, w living roomie, w salach pracy Węgrzy trzymają się z Węgrami, Czesi z Czechami, Polacy z Polakami. Równocześnie stosunki między poszczególnymi grupami narodowymi nacechowane są uprzejmą serdecznością, miłą kurtuazją. Wszyscy są grzeczni i jakby bali się trochę poruszania drażliwych tematów politycznych. Opowiadano mi więc, że Rumuni i Węgrzy spoglądają na siebie z nieufnością, że doszło do uprzejmej lecz ostrej wymiany zdań między jednym z Polaków a Litwinem na temat Wilna, że w chwili gdy ktoś rzucił myśl wybrania kilku delegatów jako stałej reprezentacji studentów podniosły się energiczne głosy sprzeciwu, gdyż obawiano się, że ustalenie klucza przy wyborze tych delegatów wywoła rozdrażnienie i walki polityczne. Ja osobiście zainteresowany zostałem przez młodego inteligentnego Czecha o granice na Odrze i Nissie, o stosunek do dozbrojenia Niemiec, o Gieszyn.

Fakt powolnego ścierania się poglądów na podobne tematy wróży dobrze. Lecz nieśmiałość w podejmowaniu tego rodzaju rozmów i zbyt ostentacyjna wzajemna uprzejmość może szkodliwie niepokoić. W tej spokojnej grzeczności nie narodził się żaden śmielszy pomysł i żadna koncepcja. A poza tym sami

studenci na sprawę wyklucia się między nimi nowych federalistycznych i ponad-narodowych koncepcyj zorganizowania Środkowej i Wsch. Europy patrzą dosyć sceptycznie. "Zbliżenie między nami powstanie nie na tle przywiązania do jakiejś idei politycznej, lecz na tle wspólnego studiowania tych samych przedmiotów — mówią oni — medycy zbliżą się do medyków, prawnicy do prawników. Tylko takimi kręgami wiązać się będą narody". I znowu konieczność podejmowania dyskusji z tą argumentacją wydaje się paradoksem. Lecz na obronę studentów powiedzieć muszę, że La Robertsau są oni zaledwie od 3 tygodni, że jeszcze nie zdążyli się rozkręcić i rozprężyć wewnętrznie.

Ale na tle tak zarysowującej się sytuacji w dziedzinie trzeciego z kolei problemu Kolegium Wolnej Europy sprawa istotnej roli wychowania wpływa ponownie i ze zdwojoną siłą. Bo do jego zadań właśnie należeć będą nie tylko próby wyjaśnienia wzajemnych stanowisk poszczególnych narodowości, praca nad zbliżeniem i pokonywaniem oporów, lecz także zagranie tych młodych ludzi do koncepcyj federalistycznych i ponad-narodowych. Wychowawcy ustalić też mają wspólnie cały program specjalnych wykładów prowadzonych dla wszystkich i po francusku, w których powyższe zagadnienia będą rozpatrywane i dyskutowane.

Czyż raz jeszcze powtórzyć mam to jak ważną rzeczą jest wybór odpowiednich wychowawców?

Na zakończenie zacytować chciałbym jeszcze kilka faktów i spostrzeżeń, które ułatwią może uchwycenia specyficznej doświadczonej atmosfery Kolegium Wolnej Europy.

Studenci, którzy wchodzi w jego skład, należą do najróżniejszych klas społecznych. Widziałem eleganckiego i wymuskanego syna ambasadora węgierskiego w Londynie i rozmawiałem z synami drobnych chłopów z Banatu. Widziałem na rękach złote zegarki i cenne papierośnice z wybitymi na nich herbami i rozmawiałem ze studentami, którzy mieli na sobie koszulę bez krawata i zniszczony pullover i to tylko stanowiło ich cały majątek. Otóż jest rzeczą ciekawą, że różnice społeczne nie wpływają w La Robertsau na kształtowanie się stosunków między studentami. Grupy przyjaciół nie formują się według pochodzenia klasowego, lecz pochodzenia narodowego. Jest to interesujący szczegół, z którego wyciągnąć można daleko idące wnioski.

Opowiadano mi, że w jakieś 10 dni po powstaniu Kolegium Wolnej Europy zdarzył się w nim dosyć nieoczekiwany ewenement. Młody student, Węgier zgłosił się u Dziekana oświadczając, iż rezygnuje z pobytu w La Robertsau i prosi o pozwolenie powrotu do Paryża. Był to piorun z jasnego nieba.

Studentowi pozwolono oczywiście wrócić, ale jednocześnie zdumiony p. Malcolm Davis starał się rozpaczliwie i na próżno dojść do tego, jakie pobudki pokierowały decyzją Węgry. Przesłuchiowano więc kolegów Węgry, dopatrywano się w kroku jego wpływów komunistycznych i wpływów złośliwej propagandy sowieckiej. Tymczasem sprawa wygląda znacznie prościej i dla wytłumaczenia jej istnieją dwie interpretacje. Jedną z nich utrzymuje, że młody Węgier przeprowadził po prostu pewną kalkulację — w La Robertsau mieszka i je za darmo oraz dostaje 9 tys. franków miesięcznie, podczas gdy w Paryżu urządził się w ten sposób, że je i mieszka również za darmo, a dostaje zamiast 9 — 15 tys. fr. miesięcznie. Poza tym Strasburg jest miastem nudnym, o brzydkich kobietach i nie da się zupełnie porównać z Paryżem. Czyż można w warunkach tych zastanawiać się nad decyzją? Pierwsza interpretacja wskazywałaby po prostu na pewne cyniczno-materialne podejście do sprawy, nad którym dłużej zatrzymywać się nie warto.

Druga jest bardziej skomplikowana. Węgier miał jakoby oświadczyć, że warunkiem pobytu w La Robertsau jest podporządkowanie się pewnym ideałom i koncepcjom. On swych przekonań (zapewne nacjonalistycznych) nie sprzedaje i niech Amerykanie nie wyobrażają sobie, że idee jego kupić można za dolary.

O ile ta druga interpretacja jest prawdziwa, to otwiera się przed nami przepaść niepokojącego nieporozumienia. Młody Węgier staje się bowiem symbolem pewnych nastawień znajdującej się tutaj młodzieży zza żelaznej kurtyny, symbolem przeraźliwego i często jakże uzasadnionego jej lęku przed jakimkolwiek przymusem, jej ogólnej, zaszczerpionej głęboko nieufności. Tej samej nieufności, która kazała im pytać się p. Malcolm Davisa w chwili, gdy przyjmowani byli do La Robertsau czy to prawda, że warunkiem przyjęcia jest podpisanie zobowiązania, iż nauczą się angielskiego i historii Stanów Zjednoczonych.

Element nieufności i strachu przed przymusem istnieje w La Robertsau bezsprzecznie. I to także w powolnym urabianiu i kierowaniu tą młodzieżą należy wziąć pod uwagę.

◆

Dziennikarz w La Robertsau nie tylko nie budzi żadnej sensacji, lecz wprost odwrotnie otoczony jest wyraźną dosyć niechęcią. Wśród tych studentów 9 różnych narodowości nie ma chłopców, którzy chcieliby, chociaż na jeden dzień, stać się vedettą, o której mówi się w pismach. Nikt tutaj dziennikarzowi nie nadskakuje, nie stara się zwrócić na siebie jego uwagi. Unika się go, a o tym by fotografować mowy nie ma. Dlaczego? Dlatego po prostu, że atmosfera w La Robertsau jest atmosferą ludzi, którzy byli za żelazną kurtyną. Mają oni tam swe rodziny i boją się, by najmniejsza wzmianka o ich istnieniu rodzinom tym nie zaszkodziła. A poza tym wiedzą, że

dziennikarz zasypywać będzie pytaniami, dotyczącymi ich przeszłości. Do przeszłości tej, często ciężkiej i tragicznej nie chcą wracać myślą. I dlatego wolą odsuwać się i milczeć.

Udać mi się jednak wyciągnąć jednego z tych chłopców na rozmowę. Jest to Rumun, student prawa, który brał udział w dwu wojnach, przeciwko Rosjanom i przeciwko Niemcom. Z wojen tych wyszedł cało i próbował pod okupacją sowiecką kontynuować swe studia. W czasie wyborów, w roku 1946 wyznaczony został jako przedstawiciel swej partii (partia chłopstwa) do komisji wyborczej swej gminy. Domyślał się, że wybory będą oszustwem i postanowił na swój sposób przeciwko temu zaprotestować. W dzień głosowania, gdy w sali szkoły zebrała się komisja wyborcza i napływać zaczęli pierwsi głosujący, zażądał otwarcia urny. Wywiązała się kłótnia. Wówczas młody Rumun zerwał pieczęcie na urnie i wszyscy zebrani ujrzeli, że urna, zanim rozpoczęły się wybory, wypełniona już była głosami na partię komunistyczną. Korzystając z zamieszania udało się memu znajomemu uciec. Przez szereg miesięcy ukrywał się po lasach, przymierał z głodu, kilkakrotnie brał udział w potyczkach z policją. W końcu przedostał się do Jugosławii. Tutaj zaaresztowano go natychmiast i rozpoczęła się najstraszliwsza katonga. Przenoszono go z jednego obozu koncentracyjnego do drugiego, przerzucano z więzienia do więzienia. W sumie w Jugosławii był w 24 więzieniach. Kiedyś, gdy uciekłszy z obozu próbował przedostać się do Grecji przez 10 dni, w lasach, żył tylko surowymi grzybami. Potem trzykrotnie uciekał do Austrii i trzykrotnie go łapano. Udało się za czwartym razem. Lecz trzech jego towarzyszy zastrzelono na granicy.

Taka jest ta przeszłość, skondensowana i twarda, którą opowiada mi ten chłopak krótkimi, urywanymi zdaniem. Przez twarz przelatują mu skurcze. I czyż dziwić się można, że atmosfera w La Robertsau jest niespokojna, nerwowa, podniecona, niepewna, jeżeli mieszkają w niej chłopcy o takiej przeszłości. Na Kolegium Wolnej Europy, tutaj pod Strasburgiem, kładzie się ciężko cień Rosji sowieckiej i reżimów komunistycznych.

◆

Takie są dotychczasowe aspekty jedyne w swoim rodzaju eksperymentu w La Robertsau. Przyniesie on jeszcze zapewne wiele trudności, niepokojów może rozczarowań. Ale już dzisiaj stanowi osiągnięcie, od którego mamy prawo oczekiwać pozytywnych rezultatów.

Józef URSYN.

Archiwum polityczne

List otwarty do A.N. Niemca, — przyjaciela

Szanowny i Drogi Panie,

Przypomina Pan sobie zapewne naszą ostatnią rozmowę w Monachium? Doszliśmy wówczas do wniosku, że jesteśmy jednymi z niewielu prawdziwych zwolenników przyjaźni polsko-niemieckiej. Ten nasz program wynika u nas ze wspólnego poglądu na sprawy tego świata i ich głębszy sens, wynika też może po trochu stąd, że Pan zna Polaków a ja znam Niemców i że obaj dalecy jesteśmy od zapoznawania zalet naszych narodów, a co ważniejsze zdajemy sobie sprawę z ich wad.

Znaczy to że nie przypisujemy wszystkich zalet swojemu narodowi a wszystkich wad sąsiadowi, ale że staramy się być obiektywni...

Właśnie troska o przyszłość stosunków polsko-niemieckich skłania mnie do poruszenia sprawy pozornie małej, a naprawdę bardzo ważnej: sprawy więźniów obozów koncentracyjnych. Wie Pan zapewne co się dzieje z tak zwanymi królikami doświadczalnymi. Są to ludzie, w większości kobiety, na których w czasach hitlerowskich dokonywano "naukowych" doświadczeń lekarskich. Są wśród królików ludzie pięci obojga, których uczyniono bezpłodnymi, są kaleki, którym naukowo wycinano kości, są tacy, których zakażano malarią. Są to wszystko żywe dokumenty hańby.

Gdy komisja Narodów Zjednoczonych zwróciła się w tej sprawie do rządu Rzeszy Niemieckiej, bodaj że sam kanclerz Adenauer oświadczył, że Republika Związkowa uznaje prawo królików do odszkodowania.

No i cóż? Republika Związkowa uznaje, a króliki umierają. Wymierają nieraz w warunkach okropnych, wołających o pomoc do nieba.

Myślę, że gdy zostanie ich zaledwie kilkoro, nastąpi wypłata odszkodowań. Bardzo to wygodny sposób wywiązywania się z uznanych zobowiązań moralnych.

Druga sprawa jest może jeszcze bardziej rażąca, a w każdym razie jeszcze wyraźniejsza. Nawet — zupełnie wyraźna. Wie Pan zapewne o tym, że obowiązująca w trzech krajach południowo-niemieckich ustawa o odszkodowaniach dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych przewidywała wypłatę skromnych sum dla tych, którzy z powodu rasy, religii lub światopoglądu więzieni byli w obozach koncentracyjnych.

Zdawałoby się, że sprawa jest jasna i że Polacy, którzy stanowią jak wiadomo znaczną część więzionych, mogą liczyć na skromne odszkodowanie. Właściwie nawet określenie "odszkodowanie" jest tu dość śmieszne. Stawka 150 marek miesięcznie jest najwyższą równoważnikiem należności za pracę, która więźniom by się należała i stąd trudno mówić o odszkodowaniu, a nawet o naprawieniu krzywd (użyty bowiem termin "Wiedergutmachung" odpowiada raczej pojęciu naprawienia krzywdy).

Jeden z mądrych prawników niemieckich wynalazł przed dwoma laty nową, genialną interpretację ustawy o odszkodowaniach. Oto kto tylko w jakikolwiek sposób walczył przeciw nazizmowi w Polsce, ten prowadził walkę narodową, a nie światopoglądową.

Śmieszny wykręt, godny pokątnego doradcy. Jest Panu chyba znany światopogląd, który uznaje prawo każdego narodu do pielęgnowania własnej kultury, do nauki we własnym języku i choćby do spowiedzi we własnym języku. Jeżeli Pan takiego światopoglądu nie zna, to musiałbym Panu zalecić np. studiowanie encykliki ostatniego Papieża, a jeżeli znówuż kto inny nie uznaje tego światopoglądu, niech się zapozna z socjalistycznymi teoretykami zagadnienia narodowości. Znajdzie tam podobne wnioski praktyczne.

Każde państwo okupacyjne — jeżeli już staniemy na gruncie takiego prawa międzynarodowego, które uznaje "legalność" okupacji — może przewidywać karanie akcji zbrojnej i sabotażu więzieniem, a nawet karą śmierci. Jednakże prowadzenie przez okupanta polityki wytępienia całej warstwy społecznej jakiegokolwiek narodu, a więc jak to było w wypadku Polski, całej warstwy inteligenckiej, jest w czasach nowożytnych wydarzeniem bez precedensu. Skoro praktycznie ci Niemcy, z którymi mieli do czynienia mieszkańcy ziem polskich, byli wykonawcami polityki zabijania narodu w ciemności i we mgle (Nacht und Nebel), reakcja przeciw tej polityce była automatycznie uzasadnioną obroną i swojego narodu i światopoglądu, uznającego prawo narodu, nie tylko naszego narodu, ale każdego narodu, do życia.

Jedyną formą w jakiej ta walka mogła się przejawiać była walka z działającymi na terenie Polski Niemcami. W tych warunkach rozdzielanie światopoglądu od stawiania oporu przeciw okupantowi, którego reprezentantem z reguły był gestapowiec, jest niegodnym wykrętem cyników, wyprutych z wszelkiego po-

czucia uczciwości. Z prawem nie ma to nic, ale to absolutnie nie wspólnego.

Jest jeszcze wzgląd inny, mniejszej wagi: międzynarodowe prawo wojenne nie zna takich kar jak zamurowywanie w glodowej celi, jak wieszanie na słupku, jak sto pałek, jak praca na mrozie w leciutkich piżamach, jak kopanie w brzuch i podbrzusze... Jeżeli nawet ustawa o naprawieniu krzywd (tę nazwę dano jej chyba na urągowisko prawdzie?) przewiduje tylko odszkodowanie dla tych, którzy nie walczyli przeciw okupantowi, to należało by czym prędzej wydać nową ustawę, naprawiającą ten błąd moralny.

Jeden z sądów niemieckich w strefie brytyjskiej znalazł dość oryginalne rozwiązanie tego dylematu. Doszedłszy do wniosku, że roszczenicy sobie prawo do odszkodowania kacetości był uwięziony za opór przeciw niemieckiej okupacji, napisał w orzeczeniu, że trzeba go dodatkowo przesłuchać na okoliczność, dlaczego właściwie nie został rozstrzelany.

29 sierpnia 1950 r. byłem na rozprawie — dość w Niemczech głośnej, która się odbyła przed drugą Izbą Odszkodowawczą Sądu Okręgowego ze Stuttgartu. Rozprawa ta miała miejsce w sali sanatorium dla gruźlików w Heilbronn. Z czterech czy pięciu wnoszących pozew o odszkodowanie pacjentów sanatorium jeden czy dwóch już szczęśliwie dla interesów rządu krajowego Wirtembergii i Badenu umarło, nie może więc dalej dochodzić swych praw. Jeden sprawę wygrał. Sąd decydował merytorycznie o tym, czy prześladowanie było spowodowane względami narodowymi, czy światopoglądowymi. Orzekł, że światopoglądowymi i że kraj Wirtembergii i Badenu uznaje roszczenia o odszkodowanie. Rzecznik Urzędu Odszkodowawczego nie wniósł apelacji, wyrok uległ uprawomocnieniu.

Na własne uszy słyszałem, że sąd do późniejszego postępowania odłożył decyzję w sprawie przyznania renty za utratę zdrowia, co było spowodowane brakiem przepisów wykonawczych, regulujących postępowanie w tej sprawie.

I oto teraz Urząd Odszkodowawczy odmawia wdrożenia postępowania dla ustalenia renty, a na zażalenie, skierowane w tej sprawie do Ministerstwa Sprawiedliwości nadeszła odpowiedź, której nie zawaham się nazwać dokumentem hańby, godnym zaiste najpiękniejszych wzorów jursprudenckiej Rzeszy hitlerowskiej. Ten miły liścik Ministerstwa Sprawiedliwości z 18 października 1951 r. znak ES/816 (O) Kü/Ro ma brzmienie następujące:

"Pana list do Pana Ministra Sprawiedliwości ten ostatni przekazał nam dla właściwego załatwienia. Zbadaliśmy akta Urzędu Krajowego. Moc prawna orzeczenia sądowego, wydanego w Pańskim procesie odszkodowawczym, nie rozciąga się na roszczenia o rentę. Urząd Krajowy sądzi, że z powodu Pańskiego pozwu będzie musiał spowodować nowe orzeczenie sądu. Myślę tak dlatego, że w międzyczasie pogląd sądów o zasięgu ustawy o odszkodowaniach wyjaśnił się w tym sensie, że takie wypadki jak Pana obecnie nie podpadają pod ustawę. W Pana wypadku chodzi o stawianie oporu wobec okupacji niemieckiej, spowodowane w istocie przez motywy narodowe. Takie postępowanie jest oczywiście godne szacunku, było jednak zawsze i wszędzie udziałem

obywateli, miłujących ojczyznę i z drugiej strony przez każdorazowe władze okupacyjne ścigane. Szkody przy tym odniesione nie mogą zatem podpadać pod ustawodawstwo, które postanowiło sobie za cel naprawienie specyficznie narodowo-socjalistycznej, sprzecznej z praworządnością, krzywdy".

Podpis: Küster

Jak Pan zauważył sens listu jest ten, iż merytoryczna decyzja, wyrażona w prawomocnym wyroku sądu, może być skasowana przez decyzję władzy administracyjnej, która dla lepszego dowcipu nosi nazwę "Ministerstwa Sprawiedliwości", zupełnie jak w książce Orwella.

Opowiem Panu historię więźnia, który dotknięty jest tą decyzją. W obozie koncentracyjnym koło 20 grudnia 1944 r. postanowił on pójść do komendanta SS-Manna, z prośbą o pozwolenie na urządzenie wieczerzy wigilijnej. Ostrzegano go, by tego nie robił, zwłaszcza, że komendant jest pijany. Ale cóż, nasz więzień był uparty. Wyuczył się po niemiecku zdania: "proszę o pozwolenie na urządzenie wspólnej wieczerzy wigilijnej" i stanawszy przed jakimś Scharführerem wyrecytował tę formułę. Na odpowiedź długo nie czekał. Posypały się uderzenia kułakami w głowę. Więzień stał i nic nie mówił. Gdy Scharführer się zmęczył, więzień ponownie swą łamaną niemieczyzną wyrecytował tę samą formułę. Znowu posypały się ciosy. Ta scena powtórzyła się trzy razy, aż po czwartym razie więzień nieprzytomny zwałił się na ziemię. Scharführer spojrzał na niego zamglonym wzrokiem pijaka i kazał zawołać kilku innych więźniów. Gdy ci przyszli, wydał zarządzenie: zabrać go na izbę chorych, a jak nie wykituje to powiedzcie mu, że pozwalam na wigilię.

No i nie wykitował. Wigilia się odbyła, a na tej wigilii więzień mógł nawet wygłosić pięciominutowe przemówienie o tym, co się stało w Betleem.

Więzień jak wspominałem, nie umarł, tylko o ciosów pijanego SS-Manna ogłuchł, a także może już bez związku z tym incydentem, ale na pewno w związku z kacetem zapadł na gruźlicę.

Opowiadam Panu o tym incydencie dlatego, że moim zdaniem, między Scharführerem a panem Küsterem jest taka różnica, jak między prawym i lewym towarzyszem męki Tego, którego Narodzenie chciał koniecznie uczcić jeden z milionów więźniów obozów koncentracyjnych.

Dla Scharführera mogę jeszcze znaleźć usprawiedliwienie, był wychowany w szkole bestialstwa i nieprawości, był zatrudniony jako kat, a jednak w końcu znalazł w sobie ludzki odruch, natomiast p. Küster wychowany był w szkole prawa i żadnego odruchu uczciwości, praworządności i moralności znaleźć w sobie nie mógł.

Domyślam się, co by zwolennicy küsterowskich teorii chcieli odpowiedzieć i co by myśleli, czytając te uwagi. Znam teorię, wedle której więźniowie kacetowcy powinni udawać się po odszkodowania do komunistycznych konsulatów, widziałem nawet listy, zawierające taką wskazówkę. Jest to też swego rodzaju

cynizm, bo wiadomo, że z tamtej strony byli kacetowcy, znajdujący się dziś w Niemczech (minimalny odsetek ogółu), mogą najwyższej oczekiwać nowego kacetu.

Są sprawy rachunku między narodem polskim i narodem niemieckim, rachunku, który się zaczął dość dawno. Ta księga "Ma i Winien" zaczyna się od pergaminów X-tego wieku, a kończy tajnymi maszynopisami Reichskanzlei, a także oczywiście późniejszymi aktami, datowanymi z Berlina albo spod Berlina. Oby nam się kiedyś udało z tej księgi wyprowadzić tak zwane czyste saldo. Nie obawiamy się tego rachunku, choć widzimy także pozycje na naszą niekorzyść.

Ale to wszystko nie ma nic wspólnego ze sprawą indywidualnego człowieka, którego krzywdę można by nie **naprawić**, ale w drobnym ułamku **zmniejszyć** złagodzeniem jego nędzy. Bo czyż można "naprawić" tysiącem czy dwoma tysiącami marek głuchotę, ciężką chorobę, zupełną i trwałą niezdolność do pracy, a także to wszystko czego doznawał więzień obozu?

Zanadto wiele mówiliśmy z Panem o różnych aspektach odpowiedzialności za obozy koncentracyjne, bym się od Pana spodziewał płytkiego argumentu o niemożności zastosowania w tym wypadku zbiorowej odpowiedzialności.

Tysiąc razy słyszałem o tych, którzy "nie wiedzieli" o kacetach.

Może i nie wiedzieli. Mam przed oczyma taki obraz: Na dziedzińcu jakiegoś domu dwóch zbrodniarzy катуje skrzepowanego człowieka. Naokoło zebrali się mieszkańcy. Zbrodniarze wydają komendę "Odwróćcie się nie patrzcie". Rozlegają się krzyki katuszanego. Pada komenda "Zatkajcie uszy". Wpada policja, usuwa zbrodniarzy. Na ziemi leży skatowany człowiek i stoi tłum ludzi dokoła. Policjanci pytają, "coż tu się stało?" Pada odpowiedź: "Nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy. Nie wiemy co się tu działo. Kazano nam wprawdzie przynosić różgi i narzędzia tortur, ale nie widzieliśmy po co. Jesteśmy niewinni". Niektórzy przyznają: "Podejrzewaliśmy, że coś jest nie w porządku, ale ci dwaj byli uzbrojeni i mogli nas pobić".

Gdyby ktoś teraz zaofiarował świadkom, którzy zatykali uszy i zamykali oczy możliwość **zmniejszenia** ich odpowiedzialności kosztem paru fenigów na głowę, to powinni by kurczowo złapać się tej możliwości. A tymczasem?...

Powie Pan zapewne, że dotychczas wypłacono przecież odszkodowania ogromnej ilości więźniów, przede wszystkim narodowości żydowskiej. To prawda. Jestem jak najdalej od tego, by chcieć umniejszać prawo Żydów do odszkodowań. Naród żydowski jest tym narodem, któremu Pańscy Rodacy wyrządzili krzywdę większą niż mojemu narodowi. Ale porozmawiajmy uczciwie: w jakim stopniu wypłacenie odszkodowań Żydom było wynikiem nacisku wywartego na władzę i wyrachowania, że odmowa wypłaty odszkodowań zaszkodzi więcej, a w jakim stopniu było wynikiem szczerzej woli naprawienia krzywd? Nie żądam od Pana na to pytanie odpowiedzi uzewnętrznionej. Niech

sobie na to pytanie odpowiedzą Niemcy w swoim sumieniu, a potem niech jeszcze obliczą, w jakim stosunku stoi wysokość odszkodowań wypłaconych Żydom do wysokości odszkodowań wypłaconych Niemcom w Republice Związkowej przez... zwycięzców. Mam nadzieję, że przy tym rachunku nie zapomni Pan, iż udział w kosztach okupacyjnych jest tylko opłatą za zabezpieczenia ludności Republiki Związkowej przed niewolą.

Sprawa między Republiką Związkową a kilkuset polskimi ofiarami kacetów jest dziś sprawą wolną od nacisków politycznych. Nie mamy pod tym względem żadnych złudzeń. Dlatego, że tak jest, właśnie ta sprawa jest czystym probierzem moralności niemieckiej. Może tam ten czy ów komisarz coś szeptnie, ale niczego nie zażąda, niczego z funduszu równowartości nie potraci. Znamy obaj sytuację. To co w tej sprawie się zrobi lub nie zrobi będzie zapisane tylko w archiwach historii, łącznie z tymi, które przetrwają dłużej niż na wieki. Pan wie o co chodzi — to jest przecież nasz wspólny język, dla nas obu zrozumiały, prawda?

A wie Pan dlaczego tak bardzo mi na tym zależy? Dlatego, że jestem zwolennikiem współpracy polsko-niemieckiej. Dlatego, że musimy w Europie zbudować jakiś porządek trwały jeżeli nasz kontynent nie ma się zamienić w przyczółek Azji. Podobnie jak Pan uważam też, że trwały porządek można zbudować tylko na jakichś podstawach moralnych.

Mam dość niskie wyobrażenie o politycznej moralności naszego narodu. Na przykład w 1921 r. postąpiliśmy bardzo niemoralnie wobec narodu ukraińskiego i znalazłoby się trochę innych takich przykładów w naszych dziejach. Myślę jednak, że moralność polityczna narodu niemieckiego musi się podnieść przynajmniej do poziomu polskiego po to, byśmy mogli myśleć o trwałym porozumieniu polsko-niemieckim. Gdybyż Pan wiedział, jak często spotykam się w naszym gronie z zarzutem, że zbyt łatwo przeskakuję przez Hitlera, rojąc marzenia o możliwości zgody na naszej granicy. Trzeba odpuszczać winowajcom, ale czasem zadanie to staje się zbyt trudne dla nas, ludzi niedoskonałych. Potrafię przeskoczyć przez Hitlera, bo to przeszłość, ale stoję bezzadnie przed przeszkodą następną: przed Küsterem — bo to teraźniejszość.

I męczy mnie ta przeszkoda: męczy mnie dlatego, że miałem sposobność w ostatnich miesiącach zobaczyć to i owo tu i ówdzie i przekonać się, że dwa narody mogą ponosić odpowiedzialność za Europę: Niemcy i Polacy. Wiem że i w Niemczech są ludzie, którzy doszli do takiego wniosku.

Otóż jeżeli mamy ponosić odpowiedzialność za Europę to przede wszystkim musimy się pogodzić na jeden temat: co to jest Europa. Należę do tych marzycieli, którzy w jej dziedzictwie kulturalnym widzą jako nieodzowny tego dziedzictwa składnik pewien minimalny pierwiastek moralności. Zagadnienie porozumienia polsko-niemieckiego jest więc zawsze także zagadnieniem moralnym po prostu dlatego, że trzeba wiedzieć czy ma się do czynienia z partnerem który dotrzyma słowa. Dlatego ten

urzędniczna ze Stuttgartu ma jednak pewne znaczenie. Reprezentuje on "wymiar sprawiedliwości" i "pojęcie moralne" w Republice Związkowej przynajmniej tak długo, jak jego orzeczenie nie będzie anulowane i napiętnowane przez opinię. A jeżeli napiętnowane nie będzie? Jeżeli będzie utrzymane w mocy?

Trudno. Trzeba będzie wówczas zrezygnować z Europy. Trzeba będzie poza Europą znaleźć siły nie sojusznicze, które pragną wyzwolić i odbudować, ale takie, które będą chciały Europą rządzić. Trzeba będzie im pomóc w uzyskaniu władzy w Europie, bo ta władza będzie jeszcze zawsze mniejszym złem niż wzajemne wyrzynanie się europejskich narodów lub supremacja jednego narodu o moralności Hitlera i Küstera.

Wydaje mi się, że pod tym względem jesteśmy nieco lepiej zorientowani w sytuacji i możliwościach niż ten pański przyjaciel, który niedawno brał udział w naradzie na temat jakby można Europę podporządkować mocarstwu azjatyckiemu: oczywiście nazywałoby się to inaczej — sojuszem na wzór Rapalla czy układu Ribbentrop-Mołotow, ale treść byłaby ta sama, bo jakże można myśleć o sojuszu z mocarstwem, któremu umożliwi się utrzymanie w niewoli ujarzmionych narodów, w nadziei, że nie będzie chciało ujarzmić innych, łącznie z... sojusznikiem?

Błędy w ocenie imperializmu rosyjskiego popełniać mogą ludzie tylko tacy, którzy nie znają historii Rosji. Ale my przecież wiemy, że w roku 1917 posłano do Rosji ludzi, wychowanych na Marksie, ostrzegającym Europę przed imperializmem carów, po to by w 28 lat później spadkobiercy tych ludzi wrócili do Berlina jako imperialiści, wobec których carscy politycy i carscy generałowie, którzy stworzyli imperium od Wisły do Oceanu Spokojnego, byli barankami jeśli idzie o siłę nacisku, a osiołkami jeżeli idzie o umiejętność.

Czyż wobec takiej nauki historycznej można myśleć, że to co się nie udało Marksowi uda się Don Lewinowi? Wolne żarty... Jeżeli dziś demokraci rosyjscy siedzący po obozach DP, nie chcą zwrócić wolności żadnemu z ujarzmionych narodów, to jaki będzie ich program, gdy znajdą się na Kremlu? Oczywiście kremłowski: wygrywać jedne narody Europy przeciw drugim i w końcu zlikwidować Europę.

Rosjan demokratów trzeba będzie dopiero wychować, wykazując że Europa reprezentuje coś więcej niż imperializm, bo to oni potrafią lepiej niż wy.

Na zakończenie poruszę jeszcze jeden aspekt naszej sprawy. Może się komuś wydać, że dostarczam materiału propagandzie wrogów Europy. Ale system przemilczania tego co złe nie jest właśnie europejski i takim systemem my walczyć nie możemy. Nasz system polega na tym, by mówić prawdę o tym co złe u innych, ale także u nas samych i to jest nasza siła. Materiałów obcej propagandzie dostarczają więc nie ci, którzy o złych rzeczach z "tej strony księżycy" piszą, ale ci, którzy te rzeczy robią. Żadna propaganda, oparta na przemilczeniu, które jest od-

mianą kłamstwa, nie może być skuteczną bronią w walce ze stalinistami, bo oni umieją kłamać bez porównania lepiej.

Zaczynam od tych paru słów, by kontynuować naszą wymianę zdań, przerwana od czasu, gdyśmy się ostatni raz widzieli. Myślę, że trzeba ją kontynuować, by znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego po strumieniu łez i krwi, przelanych w tysiącletnich walkach, które nie myśmy zaczynali, Polacy są tam gdzie byli, Niemcy tam gdzie byli, a tylko jedni i drudzy pod okupacją?

Daruję Pan, że list ten podpiszę tylko inicjałami — my ludzie stamtąd mówimy swoje powody, by tak robić. Otrzyma Pan jednak równocześnie z tym artykułem list osobisty, wraz z wyrazami szacunku.

M. B.

Marokański ruch niepodległościowy

Położone na zachodnim skraju arabskiego pasma Afryki Północnej — między Algierią i Atlantykiem, morzem Śródziemnym i płaskami Sahary, Marokko utrzymało się jako państwo niepodległe niemal do I-ej Wojny światowej.

Rozdział Marokka pomiędzy Francję, której przypadła lwią część, i Hiszpanię, która otrzymała pas przy-środkomorski odsuwający, dla pewności, Francję od Gibraltaru, otrzymał błogosławieństwo Anglii z zachowaniem jednak pozorów suwerenności Sułtana. Tak powstały protektoraty: francuski i hiszpański (w r. 1911).

Akt protektoratu podpisany przez Sułtana nie dał jeszcze faktycznego władania Francji. Władza Sułtana była słaba, a nienawiść marokańczyków do zaborców — silna i kraj trzeba było stopniowo zdobywać "w imię Sułtana i przeciw zbuntowanemu szczepom". Dopiero w r. 1934 ustały ostatnie strzały armatnie na południowych stokach Wielkiego Atlasu.

Stopniowo, w miarę posuwania się w głąb "pokojuwej penetracji", rozbudowywał się nowy stan polityczny kraju. Sułtan, wraz z swym Magzenem i kilku wezyrami, zachowywał honory i władzę moralną, piastował sądy "Szraa" przez Baszów i Kaidów, a dekrety, które podpisywał, opracowywały biura Rezydenta Generalnego Francji.

Koncepcja protektoratu "zachowującego instytucje kraju, rządzącego się i administrującego samodzielnie jedynie pod kontrolą obcego państwa", jak ją określił pierwszy Rezydent Francji, marszałek Lyautey, który istotnie był jej wierny, za-

częła się powoli zacierać, ustępując miejsca amalgamowi pozorów suwerenności z bezpośrednią administracją francuską. Napotykało to oczywiście na opory, z których największym od-
ruchem było powstanie Abd-el-Krima (1923-26) przeciw obu protektorom — Hiszpanii i Francji; wypowiadając posłuszeństwo, jako szef republikański "zdradzieckiemu Sułtanowi", ściga on pod swe dowództwo szczepę północnego Marokka (Riff) i po przeszło dwóch latach walki ulega dopiero wielokrotnej przewadze sił pod wodzą marszałka Petain'a.

Nieprowadzenia walki zbrojnej, rozszerzanie się kolonizacji, przenikającej klinami, wreszcie widoczne korzyści gospodarcze z nowego stanu rzeczy, zrozumienie mentalności ludności przez władze francuskie, wciąganie tej ludności w orbitę nowoczesnej gospodarki i przemysłu, doprowadzają do pacyfikacji stosunków, a w ślad za tym do przewartościowania pojęć i przegrupowania sił.

Ruch narodowy budzi się w końcu drugiej dekady tego wieku — przeciw Francuzom i nabiera od razu szczególnej siły w r. 30 z okazji tzw. Dahiru o Berberach. Trzeba wiedzieć, że blisko 3/5 ludności (ośmiomilionowej) tego kraju stanowią górale Berberzy, zamieszkali tu jeszcze przed napływem Arabów ze Wschodu i mówiący własną odrębną gwara, wzgl. własnym odrębnym językiem. Zislamizowani od wieków, stanowią oni jedną z Arabami wspólnotę kulturalną, aczkolwiek zachowali pewną odrębność typu. Administracja francuska podjęła akcję w celu pogłębienia różnic i wyjęcia tej, najbardziej bitnej, masy spod wpływów Arabów stanowiących grupę rządzącą.

Dekret o Berberach uchylał jurysdykcję sułtańską nad Berberami i ustanawiał dla Berberów sądy gminne. Reakcja była natychmiastowa w formie manifestacji lamentacyjnych, tak charakterystycznych dla tego kraju. W meczetach, dokąd Europejczykom nie wolno wchodzić (co jest święcie przestrzegane przez władze), rozpoczęły się tłumne i nieustające modły i rozbrzmiewała skarga Ya-Latil. Zaczęły się tworzyć po kraju "komitety akcji marokańskiej", zaniepokoił się Paryż. Pod naciskiem opinii francuskiej ówczesny Rezydent Saint stuszowuje ostre kanty powziętej akcji nie zmieniającej jej istoty. Staje się to wytyczną dla narodowego ruchu by, nie licząc na reformy z Paryża, przejść do pracy u podstaw. Zaczyna się, jakby na wzór naszej Macierzy Szkolnej, szeroki ruch oświatowy. Ze składek zbieranych we wszystkich warstwach społeczeństwa tworzy się szkoły własne z równoczesnym bojkotowaniem szkół francuskich masowo uczęszczanych przez licznych Żydów marokańskich, którzy szybko się asymilują i przenikają do warstw intelektualnych francuskich. W roku 34 powstaje program akcji o charakterze nowoczesnym: narodowy, demokratyczny i liberalny, nawiązując zrećźnie do

literę traktatu o protektoracie zapewniającego pomoc Francji w modernizacji życia marokańskiego.

Program zostaje przedstawiony w formie memoriału rządowi Francuskiemu. Stworzone w Paryżu placówki ruchu nawiązują wprawdzie kontakty, zakładają nawet pismo francuskie "Maghreb" dla krzewienia swych idei, ale oddźwięk jest słaby. Pała na panewce nawet nadzieje na rząd Frontu Ludowego. Przeciwnie — ruch narodowy spotyka się z coraz ostrzejszą represją władz Protektoratu. Przywódcy ruchu Allal Fassi i Mohamed Ouazzani zostają uwięzieni. Manifestacje z tego powodu nabierają szczególnej temperatury, co wywołuje znów odprężenie: władze zwalniają więźniów i nawet przyzwalają na wydawanie 4 dzienników i tygodników arabskich. Jest to r. 36 — rok Leona Bluma i Daladier. W postępowaniu władz francuskich czuje się wyraźnie brak jakiegś jednolitej wytycznej: wahają się one między represją a koncesją wobec coraz mocniej konsolidującego się ruchu. Sułtan, mimo nacisku władz unika zaangażowania się i jest uważany przez narodowców za rzecznika protektoratu, co szczególnie odczuwa Istiklal (partia narodowa), niosący na swym sztandarze hasło konstytucyjnej monarchii, jako nadrzędnej spójni różniczkowanego etnicznie narodu. Istiklal zostaje zresztą, z okazji nowej fali manifestacji, krwawo zlikwidowanych w r. 37, rozwiązany przez władze. Przywódca ruchu, Si Allal Fassi zostaje ponownie aresztowany i tym razem zesłany do kolonii Gabon w murzyńskiej Afryce francuskiej, skąd powraca dopiero po II-ej Wojnie Światowej, w r. 46, zwolniony przez IV-ą Republikę Francuską.

Taktyka władz nie okazała się skuteczna na dalszą metę: koncesje rozszarzały ruch a represje zaogniały konflikty. Nawet rozbiście ruchu na partię narodową Istiklal i demokratyczną partię niepodległości przez powaśnienie przywódców, El Fassi i Ouazzani, nie przyniosło spodziewanych korzyści, gdyż obie partie prześcigały się w objawach lojalności dla "sprawy" i współdziałały w momentach napięć, — Istiklal, najsilniejszy, przewodził akcji.

Wojna Światowa otwiera nowy rozdział, w sposób nieoczekiwane pomyślny dla władz francuskich w Marokku, dla których ewentualność zmniejszenia tam wojskowych garnizonów stanowiła przedmiot poważnych obaw na wypadek zamieszek. Sułtan Marokka, Sidi Mohamed, zajął w mowie tronowej zdecydowane stanowisko za Francją i przeciw osi. "Pomożemy Francji wszelkimi siłami!" Stanowisko to zostało zgodnie przyjęte przez cały ruch narodowy. Być może wpłynęły na to i niepokój przed imperializmem niemieckim i pozycja innych państw arabskich oraz nadzieje, że przez lojalną pomoc Francji uzyska się w drodze wzajemności więcej.

Rzecz znamienita, że stanowisko to Sułtan zachowuje nawet wówczas, gdy po katastrofie czerwcowej r. 40-go rząd Vichy zmienia front Francji na pro-niemiecki i Rezydent, gen. No-

gués współpracuje z komisją niemiecką w Marokku. Sułtan odmawia przyjmowania u siebie przedstawicieli Niemiec, a w ramach swych możliwości łagodzi polityczne represje. W chwili amerykańskiego lądowania w Marokku, 8-go listopada 42 r., staje od razu po stronie aliantów, gdy gen. Nogués przyjmuje ich ogniem. Udział Marokka w tej fazie wojny nabiera szczególnego znaczenia. Marokko, które nie ma obowiązkowej służby wojskowej, daje ok. 300.000 żołnierzy-ochotników pod sztandary tworzonej przez gen. Giraud, a potem gen. de Gaulle'a "armii wyzwolenia Francji", która walczy kolejno w Tunisie, w Italii, we Francji i w Niemczech pod wodzą gen. Juin. Nasi żołnierze II-go Korpusu poznali i oceniali brawurę tego żołnierza, który szafował swą krwią przy niedostatecznym uzbrojeniu i niedokończonym wyćwiczeniu z największym poświęceniem. Udział gospodarczy Marokka okazał się także niezmiernie wysoki: Marokko oddaje Francji wszystkie swe zapasy zboża i około 34 miliardów w gotówce.

Nawiązując do postanowień Karty Atlantycznej ruch narodowy próbuje jednak uzyskać realizację swych postulatów. Stanowisko liberalne Rządu Tymczasowego, gen. de Gaulle'a w Algierze usprawiedliwia pewne nadzieje. W styczniu 44 r. przywódcy nacjonalistów składają na ręce Sułtana memorandum zwane Manifestem, w którym, podtrzymując udział Marokka w dalszej walce Francji, żądają uwzględnienia warunków "minimum" ruchu narodowego: przede wszystkim definitywnego nawrotu do samodzielnej administracji i monarchii konstytucyjnej oraz zapewnienia czterech podstawowych wolności Karty Atlantycznej. Kopię tego memorandum składają amerykańskim władzom okupacyjnym. Upewniwszy się, że te ostatnie zachowają neutralność w tej sprawie, władze francuskie, w porozumieniu z gen. de Gaulle'm w Algierze, reagują ostro i zdecydowanie. Powoduje to wybuch powstania w Fezie i utworzenie Arabskiego Tymczasowego Rządu Narodowego. Powstanie zostaje krwawo zlikwidowane przez murzyńskie pułki francuskie i zakończone sądami polowymi. Na długi czas ruch narodowy pozostaje obezwładniony. Szereg krwawych walk toczy się w tym samym czasie w Algierii, między tamtejszymi nacjonalistami a wojskiem. Jedynym skutkiem tych wszystkich wydarzeń jest powstanie arabskiego podziemia oraz krystalizowanie się już wybitnie separatystycznych tendencji.

2.

Okres powojenny charakteryzują nowe warunki: słabość wewnętrzna Francji, wzrost siły państw arabskich i poczucie ich solidarności, narastanie współzależności gospodarczej i politycznej państw zwanych atlantyckimi, kształtowanie się wspólnoty Narodów Zjednoczonych na podstawie liberalnie ujętych zasad Karty tych narodów — wreszcie antykolonializm poli-

tyki amerykańskiej z jednej strony i akcja Rosji Sowieckiej — z drugiej.

Objawy te stanowią o tzw. duchu czasu, który, powracający z zesłania lub z wygnania, przywódcy ruchu oceniają słusznie, jako wybitnie dla siebie korzystny. Istotnie, nie tylko brytyjskie imperium kolonialne ulega dalszemu rozczłonkowaniu, ale i Francja zmuszona jest uznać niepodległość Syrii i Libanu oraz przyjąć koncepcję federalnej Unii Francuskiej dla swych kolonialnych posesji. Szereg państw arabskich, bynajmniej nie większych i nie bardziej nowoczesnych od Marokka wchodzi w skład Narodów Zjednoczonych.

Sytuacja ta zapewnia przewagę w Istiklalul kierunkowi legalistycznemu, zarówno w taktyce, jak i w programie ruchu. Nie zmienia tego fakt, że spotykamy na terenie arabskiej Algierii, obok doskonale prowadzonego przez Ferhat Abbasa ruchu autonomistycznego, silny prąd podziemia pod przywództwem narodowca i socjalisty Messali'ego, który raz po raz przebija się na powierzchnię czynami piątek bojowych.

Istiklal prowadzi ożywioną działalność: Składa memoriały do władz francuskich, do ONZ, zwraca się do opinii całego świata i wzmacnia więzy z Ligą Arabską.

Podstawowym warunkiem wszelkiej akcji legalnej jest posiadanie legalnych możliwości jej rozwoju: wolności opinii publicznej, związków, zgromadzeń i prasy. Warunki te zapowiadały się w pierwszym okresie po "Liberacji" Francji, gdy zbierała się Konstytuanta 4-ej Republiki: Istiklal wydawał swe pisma i legalnie działał. Z okrzepnięciem IV-ej Republiki wolności te zaczęły zanikać. Skasowana we Francji cenzura odbijała się na Marokku i to z taką zaciekleścią, że gdy w 1948 r. na międzynarodowym zjeździe genewskim w sprawie wolności prasy delegat Francji referował wzorowe zabezpieczenie tej wolności we Francji, delegat Egiptu złożył numer marokańskiego pisma "Opinia Ludu", składający się w 3/4 z białych, wycenzurowanych plam: konfrontacja ta, spowodowała nieprzyjemny zgrzyt, jednak bez praktycznych następstw. Złożony został wówczas również memoriał Federacji Prasy Wschodniej, domagający się dopuszczenia głosów arabskiej opinii w audycjach marokańskiej rozgłośni w Rabacie oraz wolności dla prasy arabskiej w Marokku. Skutek okazał się odwrotny: memoriał został w Marokku prawie "zaczerniony", a pismo "Opinia Ludu" w ogóle niezadługo dokończyło swego żywota. Jeżeli od czasu do czasu w wolnej prasie paryskiej ukazywał się jakiś artykuł w duchu Istiklalul przedruk jego z reguły nie był w Marokku dozwolony a nieraz debit numeru pisma ulegał zakazowi. Powstała nawet tak paradoksalna, choć typowa, sytuacja, że sama partia nie została zalegalizowana, choć jej przywódcy byli zapraszani na obiady do Generalnego Rezydenta.

Wydarzenia zewnętrzne, jak akcja Viet Minhu w Indochinach, krwawo stłumione powstanie Malgaszów w Madagas-

karze, ostre represje w Algierii i Tunisie pchnęły Istiklal w kierunku rewizji pierwotnie zajętego stanowiska.

Rozwijały się też pierwotne iluzje. Okazało się, że jak w roku 44 władze amerykańskie rezydujące w Marokku odmówiły poparcia marokańskich aspiracji do praw z tytułu Karty Atlantycznej, jak potem Churchill hamował te aspiracje w czasie swego pobytu w Marakeszu, tak samo i memorandum, złożone w O.N.Z. przez sekretarza generalnego partii Balafredza w końcu r. 47 pozostało całkowicie bez echa.

Istiklal zmuszony był stwierdzić, że "duch czasu" bynajmniej nie przewodzi, że prawda wcale sama nie zwycięża. Wynikały stąd dwa sprzeczne wnioski: albo powrócić do hasła "Francuzi, pakujcie manatki" — jak domagało się radykalne skrzydło, nie wierzące w trwałość lub nawet możliwość koniunkturalnych kompromisów — albo posuwać się do czasu odpowiedniej koniunktury od kompromisu do kompromisu, zachowując niezmienną postawę zasadniczą. Ta taktyka pozwalała umacniać się i trwać a także wykorzystać wzrost wpływów Ligi Arabskiej na forum Międzynarodowym i poważnego atutu legalnego — Sułtana. Za tym wypowiedziała się większość — niemniej partia zeszła w podziemia pozostawiając na powierzchni jedynie forpocztę.

Traktat Protektoratu ogranicza co prawda bardzo ów atut sułtański, ponieważ polityka zagraniczna Marokka spoczywa w ręku Rezydenta Francji. Niemniej, w kwietniu 48-go roku, podczas swej wizyty w wolnym mieście Tangierze Sułtan wypowiedział mowę, która ominęła cenzurę Rezydenta E. Labonne. Wypowiedziana w bardzo dyplomatycznej formie do narodu podkreśla ona: 1) że "prawa narodu marokańskiego nie uległy i nie ulegną przedawnieniu. Będziemy czuwać nad jednością i całością kraju (nb. aluzja do podziału na strefy francuską, hiszpańską i międzynarodową), będziemy pracowali nad rękojmiami jego świetnej i sławnej przyszłości i dążyć będziemy do realizacji nadziei, która ożywia serce każdego marokańczyka", 2) że poczuwa się do solidarności z Ligą Narodów Arabskich (która obejmuje prawnie tylko państwa suwerenne). Francji poświęca Sułtan wzmiankę, by zaznaczyć, że nie żywi względem niej wrogich uczuć. Było to postawieniem sprawy marokańskiej na forum międzynarodowe. Skutek wewnętrzny był natychmiastowy — popłoch w sferach francuskich Marokka, który wyraził się w krwawych starciach z tłumem arabskim w samej Casablance i w odwołaniu Rezydenta Labonne ze stanowiska, na które przyszedł popularny generał Juin, b. żołnierz marszałka Lyautey.

Generał nie miał wprawdzie zupełnie pewnego zaplecza w rządzie francuskim — nie miał go zresztą żaden niemal z jego poprzedników — posiadał jednak maksimum zaufania i szereg pełnomocnictw na celu utrzymania status quo z najmniejszymi zmianami i bez użycia gwałtownych środków. Stosował więc politykę praktycznego oportunizmu ustępstw od wy-

padku do wypadku z zapowiedziami dalszych, pokazując silną rękę w międzyczasie. Wprowadził szereg reform w kierunku rozszerzenia gabinetu Sułtana (tzw. Mahzen), bez rozszerzenia w czymkolwiek jego kompetencji oraz położył nacisk na tempo industrializacji tego zasobnego kraju. Nie zmieniając zasadniczo sytuacji potrafił on ją ustrzec przed dalszym zaostreniem. Tę politykę kontynuuje jego następca.

W tej atmosferze napięcia na widowni pojawił się trzeci czynnik — partia komunistyczna Marokka. Utworzona jeszcze w r. 43 przez komunistów z rządu generała de Gaulle'a w Algierze, składała się ona początkowo z Francuzów i rozwinęła energiczną działalność, zdobywa z miejsca największy dziennik miejscowy "Petit Marocain", znajdujący się pod przymusowym sekwestrem za kolaborację, i powołuje do życia Generalną Konfederację Pracy (C.G.T.), której obejmuje kierownictwo. Nie mając dostatecznego podkładu społecznego w mało sproletaryzowanym kraju, wywiera duży wpływ, dzięki stosunkom partii komunistycznej w Metropolii i zręcznym manewrom. Zda się sobie jednak szybko sprawę z przejściowości tej sytuacji i wprowadza w swój skład Arabów — początkowo importowanych z Algierii i Francji. Sekretarzem generalnym zostaje algierczyk Ali Jata. Przeprowadza szereg udanych strajków, kilka manifestacji. Zasadniczą jej misją jest jednak akcja arabska — wyścig o duszę arabską w Marokku.

Toteż Komunistyczna Partia Marokka stawia na kartę nacjonalizmu. Oto są jej hasła, które cytuję z ulotki, która leży przede mną:

- zniesienie traktatu Protektoratu,
- wybory powszechne do Konstytuanty marokańskiej (Nb na 8 milionów marokańczyków jest ok. pół miliona europejczyków,
- ustanowienie rządu odpowiedzialnego przed Konstytuantą,
- podpisanie traktatu z Francją, gwarantującego wolność i suwerenność Marokka.

Narodowcy nie idą dalej. Przeciwnie, w swym programie minimum gotowi są zgodzić się nawet na nawrót do owego traktatu protektoratu, którego klauzule nigdy w praktyce nie zostały wprowadzone w życie. Jednak taktyka wyciągniętej ręki nie dała rezultatu. Mimo, że komuniści korzystają ze swobód, których nie ma ruch Istiklalu, narodowcy odmawiają współdziałania. Jest ogólne stanowisko antykomunistyczne Islamu. Przecież dzięki oporowi Sułtana, Rosja Sowiecka nie ma w Marokku przedstawicielstwa. Komuniści jednak, dzięki swemu stanowisku wprowadzają, jak wszędzie, wtyczki do Istiklala i werbuja sobie zwolenników. Ruchu narodowego jednak ani skaptować, ani wykoleić nie zdołali.

Najnowsza historia Polski

Sprawa Józefa Becka

"...Tragedia Becka będzie prześladowała długo sumienia polskie..."

Mój "Dziennik AnkarSKI", 9 czerwca 1944.

Dobrze się stało, że ci co rozporządzali osobistą i publiczną spuścizną Józefa Becka, zdecydowali ogłosić pozostałe po nim papiery^{*)}. Decyzja nie była łatwa, gdyż opublikowane prace nie są kompletne. Są one surowym materiałem, konspektem raczej, mającym posłużyć za kanwę dla przyszłego dzieła. Wyglądają one jak złamana kolumna na grobowcu, kędyś w obcej ziemi. Wyszły one w Szwajcarii, dokąd starali się go wysłać doktorzy, chcąc go ratować w ostatnim roku życia. Nie wypuściła go mściwa ręka Hitlera: dogorywał powoli w rumuńskiej klatce. Jak zapisałem podówczas w dalekiej Ankarze, "tak go w końcu zadusili, jak ptaka pozbawionego powietrza".



Przedśmiertne dzieje Józefa Becka i zawiłe koleje jego sprawy rysują się wyraźnie na tle moich wspomnień.

Wśród najwyższego napięcia wojny, w 1940-ym, spotkałem dobrego znajomego, jednego z wybitnych polityków rumuń-

^{*)} Colonel Joseph Beck, *Dernier Rapport. Politique Polonaise*, 1926-1939. Histoire et Société d'aujourd'hui. Editions de la Baconnière, Neuchâtel. Portret, str. XXIV, 362 i 4 nlb.

Komitety redakcyjne, odpowiedzialny za wydanie papierów J. Becka, stanowili: pani Józefowa Beckowa, hr. Michał Lubieński — ostatni dyrektor Gabinetu zmarłego ministra, Władysław Pobóg-Malinowski — ostatni naczelnik Wydziału Historyczno-Naukowego, płk. Tadeusz Schaetzel — minister pełnomocny, były naczelnik Wydziału Wschodniego w Ministerstwie.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

skich. Nie kryłem przed nim mego oburzenia z powodu zdrady popełnionej przez Rząd rumuński na sprzymierzonym Rządzie polskim. W szczególności zarzuciłem nielojalność w stosunku do ministra Becka. — To pan nie wie, odpowiedział mój rozmówca, co się działo w Berlinie. Pilnowano tam stale, zawzięcie, na osobisty rozkaz Hitlera, sprawy Becka. Poselstwo nasze interpelowano o niego ciągle. Zdarzało się, że po nocy budzono posła: z polecenia Hitlera pytano, co się dzieje z Beckiem — "Wilhelmstrasse" żądała natychmiastowej i dokładnej odpowiedzi...

W tymże czasie słyszałem o naciskach rządu Stanów Zjednoczonych w celu uwolnienia Becka. Zajmował się nimi żywo wpływowy wówczas jeszcze ambasador Bullitt, ale nie odniosłem nigdy wrażenia, aby poseł w Bukareszcie, Günter, przyczyniał się do nich skutecznie. W każdym razie, przedstawicielstwa angielskie i francuskie nie brały w tej akcji żadnego udziału.

W 1942 odbiły się o mnie dalekim echem okoliczności nieudanej ucieczki Becka. Wtedy — i do dzisiejszego dnia — zastanawiały mnie elementy prowokacji, towarzyszące temu zdarzeniu. Na kilka dni przedtem wiadziło wśród dość mieszanych kół polskich w Stambule o czynionych w tym celu przygotowaniach. Ale najbardziej zastanowiło mnie, kiedy w przeddzień ucieczki i jej udaremnienia ranny komunikat "B.B.C." po angielsku podał wiadomość, że Beckowi udało się zbiec. Jeszcze dzisiaj rzecz domagałaby się zbadania i sprawdzenia, jakie to źródło "informacyjne" uprzedziło wypadki z góry i przyczyniło się drogą rozgłośni radiowej do zaalarmowania strony zainteresowanej — rumuńskiej i niemieckiej.

Potem zaczęła zapadać jedna kurtyna za drugą — dymy wojny, zasieki obozów, izolacje internowań, przeszkody cenzury. Sprawa Józefa Becka stała się epizodem powszechnej i naszej narodowej tragedii i ani na całość tego co się działo wokoło, ani na poszczególny wypadek nie było dla Polski ani dla Polaków żadnej pomocy ni rady. Od czasu do czasu dochodziły mnie w Ankarze, podawane przez przyjaciół, wiadomości o pogarszającym się, potem o zatrważającym stanie zdrowia Becka.

5 kwietnia 1944 przyszedł do mnie w Ankarze nowy poseł rumuński, Aleksander Cretzeanu. Znałem dawniej jego ojca, szanownego i sympatycznego posła Rumunii w Warszawie z lat dwudziestych; Aleksandra spotkałem za jego poprzedniej wizyty w Ankarze jako sekretarza generalnego Ministerstwa. Rumunia znajdowała się jeszcze w rękach niemieckich i rząd marszałka Antonescu chodził w jarzmie Hitlera. Z drugiej strony wyciągały się już ku jej granicom pożądliwe zagony armii czerwonej, a sprzymierzeńcy zachodni wydawali ją bez zastrzeżeń na łup i ofiarę Sowietów. W tych warunkach bytność Cretzeanu u mnie musiała pozostać tajemnicą wobec wrogów i przyjaciół; odwiedził mnie on w nocy, w mojej ambasadzie, przy zachowaniu daleko idącej dyskrecji.

Powtórzyłem posłowi zdanie wypowiedziane w 1940 o postę-

powaniu Rumunów z rządem naszym i dodałem: "każdy komu zależy na przyszłości stosunków między naszymi dwoma narodami, powinien się starać krzywdę tę naprawić". Potem, mówiąc o internowaniu Becka, dodałem: "samego (tego) faktu nie mogę uważać inaczej, jak za obrazę narodowej godności Polski. Im prędzej to wrażenie zostanie usunięte, tym lepiej dla naszej przyszłości". Cretzeanu, człowiek wrażliwy i szlachetny, odczuł moje słowa i zrozumiał ich znaczenie. Pośtąpienie z naszym Rządem próbował tłumaczyć jego orędziem rozesłanym z Czerniowiec, a w tegoż następstwie — ultimatum niemieckie. Ale jednocześnie zgodził się ze mną, że śmierć Becka, jako więźnia w Bukareszcie powiększyłaby rozłam między Rumunią a Polską i obiecał interweniować. Niestety, szyfry były znane Niemcom i nie do użycia w tej sprawie; zaś bezpieczne służby kurierskie były rzadkie. Dopiero 11 maja nadeszła pierwsza odpowiedź premiera Michała Antonescu. Donosił on posłowi rumuńskiemu w Ankarze, iż "sprawę zagrożonych Polaków traktuje jako swoją własną" i obiecywał, że nie wyda ich Sowietom. Było to ogólne i nie rozwiązywało sprawy Becka. Nastawiliśmy tedy, wraz z Cretzeanu, w nowym posłaniu do Bukaresztu, na jego uwolnienie, ostrzegając, że "jeśliby ewakuacja się opóźniała, stan jego stałby się niebezpieczny i tragiczny".

5 czerwca 1944 nastąpiła śmierć Becka. W dwa dni potem otrzymałem od posła Cretzeanu następujący message od premiera Antonescu:

"Proszę poinformować J.E. ambasadora Polski, iż czynimy wszystko co możliwe dla Becka. Najwybitniejsi specjaliści medyczni Rumunii są do jego dyspozycji. Podejmę ponowne kroki o wyjazd Becka do Szwajcarii, nie żywię jednak żadnych złudzeń co do powodzenia tych kroków, gdyż już poprzednio poruszałem trzykrotnie tę sprawę. W pewnej chwili interweniowałem osobiście u p. Ribbentropa, ale nie otrzymałem jego zgody na list żelazny, o który się zwróciłem".

Powyższy message, wystosowany osobiście do mnie "przez wzgląd na węzły przyjaźni w przeszłości", podobnie jak za późna interwencja, przyszły już tylko — in articulo mortis.

Na parę miesięcy przedtem, zanotowałem zastanawiające ostrzeżenie tureckie. Turcy dali mi, jeszcze na jesieni 1939, zapewnienie swobodnego przejazdu dla Becka. Gwarancję tę powtórzył mi premier Saraçoglu w 1942, w okresie planowanej ucieczki Becka. Gdy jednak, na wiosnę 1944, z okazji starań i przygotowań rumuńskich, przypominałem to zobowiązanie ministrowi spraw zagranicznych, Numanowi Menemencioglu, zaskoczył mnie on rozważeniem następującym:

"Jakże domagać się oswobodzenia (członków byłego polskiego Rządu) i nie narażać się na pretensję Rosji? — A co będzie, jeżeli Rosjanie określą na przykład p. Becka jako zbrodniarza wojennego (comme criminel de guerre) i domagać się będą jego wydania?"

W tym więc momencie, gdy Józef Beck kończył swoją ziem-

ską wędrówkę, sprawa jego miała dwa oblicza. Jednym z nich był stosunek doń Niemiec i Hitlera. Określiłem go w jednym z ustępów mojego Dziennika w słowach, do których dzisiaj, po siedmiu latach, nie mam nic do dodania. Napisałem wtedy, że "po prostu Hitler zamierzał Polskę gładko i bez hałasu przełknąć, ale mu Beck stanął kością w gardle".

Drugim obliczem przedśmiertnej sprawy Józefa Becka był stosunek do niego ze strony Sowietów i Stalina. W odróżnieniu od Hitlera Sowiety nie miały żadnego motywu mściwości. To Beck zawarł z ZSSR pakt o nieagresji i był w Moskwie. To Beck odmówił Hitlerowi układu wojennego przeciw Sowietom. To rząd sowiecki złamał traktaty i popełnił zdradę na pokojowym sąsiedzie. Nienawiść okazana Beckowi przez rządców polityki i propagandy moskiewskiej jest tedy objawem spontanicznym i ujawniła, skroś przez lata wojny, istotny stosunek Sowietów do Polski. Minister Numan nie rzucał nigdy słów swych na wiatr i jego ostrzeżenie nie było bez podstaw. Prześladowano imię Becka; pamiętano dobrze o nim, choć dogorywał. Gdyby Niemcy go oszczędzili, gotowano się, aby go dokończyć — jak dokończono Warszawę. Gdyż to, co zarzucano Beckowi, podobnie jak to, czego Stalin nigdy nie mógł darować generałowi Sosnkowskiemu — to była sama treść sprawy. Obrazą było prowadzenie niezawisłej polityki polskiej.

Niósł tedy Beck na sobie do śmierci ten groźny ciężar, ale i ten wielki zaszczyt, że był do końca zwalczany przez dwóch śmiertelnych wrogów Polski.

Mogło się zdawać, że sprawa Becka, podobnie jak sprawy tyłu spomiędzy nas, śmiertelnych, wyczerpie się z chwilą jego zgonu. Ale czasami sądzono jest inaczej. Czasami zmarły żyje nadal pośrodku nas — widmo na pokucie, czy wyrzut sumienia. W przeczuciu takiej egzystencji przyszłej, pisał Beck z Bukaresztu do swoich przyjaciół o cieniu własnym, oderwanym od ciała, wędrującym po świecie, wystawionym na napaści, staczającym dalsze boje...

Zaczęło się od krytych sztychów. Jeden z ostatnich ministrów spraw zagranicznych niepodległej Rumunii, późniejszy poseł w Moskwie, Grigori Gafenco, wkrótce po wojnie, w szeregu reklamowanej książce, ogłosił w sposób równie malowniczy jak dowolny swoją rozmowę z Beckiem, z wiosny 1939. Dodał do tego komentarze, wykazujące, że to Beck swoim ślepym uporem nie dopuścił do zawarcia układu między Zachodem a Rosją sowiecką, a zatem, że ponosi on odpowiedzialność za wybuch wojny. Skąd ta koincydencja między stanowiskiem rumuńskiego dyplomaty, a omówioną przeze mnie tezą sowiecką? Skąd taka odwaga u tego ministra, który ponosi osobistą odpowiedzialność za złamanie słowa Polsce i za zdradzenie Becka? — Niebawem wyszło na jaw źródło, z którego Gafenco czerpał swe insynuacje i swoje intencje: — był nim spotkany

w Szwajcarii były minister Francji, Georges Bonnet. Pierwszy "kolaborator", nie mogący powrócić do swego kraju, wydał on niebawem książki, gdzie we własnej samoobronie głosił winę innych. Kogoż zaś oskarżać łatwiej, jak nie pogrążoną Polskę, jak nie pobitego Becka?

Też o odpowiedzialności dyplomacji polskiej za niedopuszczenie do porozumienia anglo-francusko-sowieckiego w przededniu wojny podjęli niebawem intelektualiści angielscy. Ta dziwna rasa, dosyć zresztą mieszana, obnosi powszechne idee i postulaty międzynarodowej moralności, ale rozdziela swoje uznanie i feruje wyroki według miernika siły i powodzenia. Poza tym, katolicka Polska nie cieszyła się nigdy ich sympatią; niektórzy żalowali nawet, wraz z Churchilllem, że agresja niemiecka skierowała się najpierw przeciwko Czechosłowacji, a nie przeciw Polsce: tam przecież łatwiej byłoby ustąpić i nie weszłyby w grę późniejsze gwarancje. W każdym zaś razie uważali za karygodne, że Polska nie poświęciła narodów bałtyckich i swoich ziem na Wschodzie. Zaiste, winien jest spokojny i cierpliwy człowiek, jeśli odmawia wydania szantażystom własnego mienia, a przez to powoduje zmwę dwóch bandytów.

Teza o niedojściu do porozumienia Zachodu z Sowietami z powodu oporu Polski, nie wytrzymywała zresztą krytyki i została obalona, gdy wyszły na jaw dokumenty knoń niemiecko-sowieckich i gdy przekonano się, że Stalin od samego początku manewrował na dwie strony, czekając, która pierwsza poświęci wolność i prawo narodów.

Za pionierami, wytkniętym raz szlakiem, poszli po kolei inni. Flandin, który przyczynił się do rezygnacji Francji z Nadrenii, wtedy gdy Beck zgłaszał bez zastrzeżeń pomoc Polski. Leon Noël, który lepiej by zrobił, gdyby pilnował spraw własnych i wyjaśnił swą rolę w Bukareszcie na jesieni 1939 i w Wiesbaden w 1940-ym. Coulondre, rzekomo tak jasno przewidujący spisek Sowietów z Niemcami przeciw Polsce, ale przemilczający dyskretnie, czy i kiedy uprzedził o nim sprzymierzeńców Polaków. Każdy z nich umiał coś dorzucić do pośmiertnych potwarzy i zniewag na Becka. Żaden z nich, rzecz znamienita, nie zachował francuskiego umiaru pomiędzy słowem złym i dobrym; podobnie jak żaden z historyków-intelektualistów angielskich nie zastosował reguły spokoju i sprawiedliwości w przedstawieniu faktów i w ocenie pobudek.

Wydaje się, jak gdyby trwało jeszcze wciąż sprzysiężenie, firmowane przed wojną przez spółkę Benesz—Titulesco: Benesza, patronującego z Pragi "rozległej organizacji propagandy anty-polskiej; Titulesco, którego rola prowokacyjna między Paryżem, Pragą a Moskwą domaga się jeszcze wyświeślenia. Dziwnym obrządkiem przyłączał się do tej spółki od czasu do czasu komisarz sowiecki Litwinow. Uczestniczyli w tych powiązaniach międzynarodowych również i dawniejsi "ojcowie" Lokarna. Działały w tym sprzysiężeniu sprężyny ukryte za fasa-

dą Ligi Narodów, wspomniane przez Becka "małe komórki franc-masonerii genewskiej". Beck sam do żadnej z maffii międzynarodowych nie należał, pomny przestrogi Piłsudskiego, że w tych międzynarodowych związkach Polacy jako słabsi staną się łatwo narzędziem silniejszego. Oczyszczenie warszawskiego ministerstwa spraw zagranicznych z założonych w nim wzorem Paryża gniazd mafijnych było dziełem Becka. Ale mafie mają swoje sposoby spleć, a ich macki sięgają daleko i pracują wytrwale. Wiele przemawia za tym, że one inspirowały do dzisiaj pośmiertne przeciw Beckowi kampanie. I w tej więc, poza grobowej dziedzinie, Józef Beck, doznał losu ludzi niezawisłych.

Dobrze się więc stało, że wydano papiery Becka i że ponad historyczne głosy oskarżeń odezwał się głos jego własny, jak dawniej spokojny, rzeczowy, mający w sobie dystans i umiar. A jakkolwiek pisma Becka są niewykończone i niepełne, niemniej są wielkiej wagi; zaś w pierwszej ich części zawarte są bezcenne dane o polityce zagranicznej Piłsudskiego, jego polecenia i instrukcje, szczegóły odezwań i rozmów, bezpośrednie reakcje w stosunku do ludzi i zdarzeń. Rola Polski pod jego rządami rysuje się w tym opowiadaniu godna i stateczna, a orli wzrok Marszałka — uważny, czujny, przewidujący. Beck podaje te wypowiedzi ze ścisłością raportu, krótko, bez koloryzowań ani komentarzy: tym bardziej są uderzające. Dowiadujemy się, jak Marszałek w 1926-ym obliczał pięć lat spokoju w Europie i równowagi dla Polski; jak potem obserwował obsuwanie się podstaw polityki europejskiej i zalecił dla Polski politykę bardziej indywidualną; jak domagał się wciąż dostosowania działań do możliwości; jak niechętnie patrzył na politykę prestiżu i przekładał małe rezultaty nad szerokie plany. Gdy mu kiedyś poseł z Moskwy, Patek, opowiadał, że woli nie zajmować się regulowaniem drobnych incydentów i spraw, a uwagę swą skupiać na poprawę ogólnych polsko-sowieckich stosunków — "to dziwne, zauważył Piłsudski, bo co do mnie, postępowałbym właśnie na odwrót". Wrażają się w pamięć nasze sceny z Barthou — "ustąpicie, ustąpicie jeszcze... nie byłibyscie tym, czym jesteście"; ostrzeżenie dane Edenowi przed rozmową jego ze Stalinem — "nie zazdroszczę panu widzenia z tym bandytą"; i to ostatnie zaklęcie, w przeddzień śmierci — "czego ten... Laval udaje się do Moskwy... nic stąd nie może wyniknąć dobrego...".

W tej ostatniej, pamiętnej rozmowie, dogorywający Wódz doradzał Beckowi "skrzyżować ramiona i patrzeć, co oni będą robić, oni wszyscy". Niestety, nadchodził czas, kiedy postawa taka nie była już dla Polski, ani dla jej odpowiedzialnego Ministra możliwa. Przyszedł rok 1936, rok 1938. Beck znalazł się wobec najstraszniejszej nawałnicy, której nadciąganie wciąż

przewidywał Piłsudski i wziął na siebie pełną odpowiedzialność, w złem i dobrem, za los Polski.

Imię Becka w historii związane będzie z sojuszem angielskim. Ta decyzja przyspieszyła napaść Hitlera na Polskę; i ta decyzja uczyniła z wojny polskiej wojnę powszechną. Są wszelkie dane na to, że powziął ją Beck i za jego radą Prezydent Mościcki z pełnym poczuciem ryzyka i niebezpieczeństwa, z jakim była związana. Powzięli ją dlatego, że mogła wojnę odroczyć, a jeśli się to nie powiedzie, dać szansę natychmiastowej pomocy lub późniejszego wyzwolenia. Polska wiązała się ze stroną, mogącą wygrać wojnę w skali światowej. W wypadku niezwiązania się, Polsce groziła — w obliczu przewagi militarnej Niemiec — izolacja.

Istotny problemat polityki zagranicznej polskiej ujął w lapidarnym skrócie Ignacy Matuszewski w swoim wspomnieniu o Becku. "Polityka polska, pisał on, musi zmierzać do współpracy z Zachodem. A zarazem polityka polska nie może godzić się na samobójstwo, jako cenę jej współpracy". Należało więc Zachód przekonać o europejskiej wartości Polski, a w wyniku tego przekonania Zachód sprząć z Polską. Tego dzieła dokonał Beck przez sojusz z Anglią.

Równocześnie jednak, przez sam fakt sojuszu z Anglią, będącą częścią składową brytyjskiego imperium, polityka polska wyszła z tej orbity, jaką jej nakreśliła zasadnicza teza Piłsudskiego, ostrożna i wyczekująca, budowana przede wszystkim na równowadze i ułożeniu się z sąsiadami, traktująca sojusze jako dodatkową gwarancję i uzupełnienie. Wyjście poza tę orbitę było niewątpliwie przeniesieniem punktu ciężkości polityki polskiej poza jej bezpośrednie interesy. W tych warunkach oparcie o Zachód wymagało znacznego zasobu zaufania do zachodnich sojuszników. Sojusz angielski, jeżeli nie miał być tylko chwytem taktycznym zapobiegającym wojnie, wciągał Polskę w sam odmet problemów i porachunków światowych, gdzie wcześniej lub później musiała stać się ofiarą przetargu.

W chwili, gdy Beck powziął tę brzmienną w skutki decyzję, nie było już alternatywy. Potoczył się krąg historii. Równowaga, o jakiej myślał Piłsudski w 1926, w 1932, była, bez przyczynienia się Polski, utracona i na progu 1939 r. nie istniała. Alternatywą byłby więc wybór między dwoma napastniczymi sąsiadami i przechylenie się na stronę Niemiec albo Rosji. Są tacy, co jeszcze dzisiaj upatrują retrospektywnie w takim wyborze dyne wyjście dla Polski, jakkolwiek od tego czasu dzieje wojny ukazały nam właściwe oblicze i stosunek do Polski Niemiec Hitlera, a rezultaty przechylenia się, przymusowego czy dobrowolnego, na stronę Rosji obserwujemy w pełni w Polsce dzisiejszej. Nikt też spomiędzy krytyków zasadniczej linii postępowania Becka, wyraźnie nie wskazał, z kim mianowicie należało iść w roku 1939; czy z Hitlerem razem na podbój Wscho-

du, czy też ze Stalinem w sukursie dla imperializmu starej Moskwy.

Położenie geo-polityczne krajów i formacji państwowych pozostaje w głównych zarysach niezmiennie przez wieki. Położenie Polski, mimo gwałtownych przewrotów i sztucznych terytorialnych wykrawań, pozostaje w swoich głównych konturach to samo. Podobnie i dzisiaj, jak wtedy, stoją Polacy przed wyborem pomiędzy imperializmem, pochłaniającym samą treść życia narodu, a szukaniem przeciw niemu pomocy, zrównoważenia, gwarancji — na Zachodzie; chociażby należało przy tym walczyć najpierw z niezrozumieniem, samolubstwem, zaskorupiałym nawykami w polityce samego Zachodu.

Wydawnictwo pism Becka uzupełnione jest słowem wstępnym, przedmową i przypisami, utrzymanymi w granicach objaśnień niezbędnych. Poza tym książka zawiera ważną dokumentację, przeważnie ogłaszana po raz pierwszy. Przedwojenna polityka polska doczekała się nareszcie monografii własnej: w książce Becka mówi ona za siebie. Powstał tym sposobem sprawdzian obiektywny i ignorancja obca nie będzie mogła odtać grasować bezkarnie. Dobrze się więc stało, że publikacja ukazała się na szerokiej arenie europejskiej, w języku międzynarodowo dostępnym. Jeszcze lepiej będzie, jeśli wolne wychodźstwo polskie wraz z Polakami w Ameryce zdobędą się na wydanie polskie.

Michał SOKOLNICKI.

Tragedia polskich komunistów

Gdy 30 października ub. r. pozbawiono Gomułkę przywileju nieetykalności poselskiej, przebywał on już w więzieniu od miesięcy. Nie wiedzieli o tym nawet członkowie partii; nie wiadomo też o jego usunięciu z partii, ani o tym, że od dwóch już lat każdy jego krok był śledzony przez urzędników Bezpieki. "Gomułka pracuje w Izbie Kontroli, pracuje dobrze, pokaże, co potrafi" — mówili jeszcze nie tak dawno wysoko postawieni partyjnicy, a na pytanie, czy nie grozi mu proces, odpowiadali z oburzeniem: "Proces? Za co? Przecież Gomułka nie jest agentem jak Rajik lub... (ciszej) jak Tito!"

Takich myśli czepiano się w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Żywiono nadzieję, chciano wierzyć — tak jak jeszcze się żywi nadzieję i pragnie wierzyć, że się jest "wolnym i niepodległym".

Wiadomość o usunięciu Gomułki z Komitetu Centralnego

spadła na partię, w swoim czasie, jak grom z jasnego nieba. I nie tylko na partię: na wsi reakcja była tak silna, że Minc potrzebował całych miesięcy, aby zaopatrzenie miast w mięso przywrócić do normalnego stanu. "Po usunięciu Gomułki przyjdzie kolektywizacja" — mówili chłopci i zakopywali mięso w ziemię.

Gdy w rok później przemawiał Gomułka po raz ostatni przed plenum Kom. Centralnego — było to wtedy, gdy zmuszono go do "samokrytyki" — płakano na sali. Stało się wówczas coś najbardziej niedozwolonego, mianowicie, ktoś tutaj nie tylko nie wyrażał skruchy, ale jeszcze się bronił. "Popełniałem błędy, ale ostatecznie zbudowałem partię, ten tylko nie popełnia błędów, kto nic nie robi — mówił Gomułka. Czyż nie są to słowa samego Lenina? Gomułka uczył się marksizmu i leninizmu w polskich więzieniach, a nie w moskiewskich szkołach partyjnych, był wzniosły i ludzki, ale sprawa jego była beznadziejna. Jego partyjni towarzysze, obecni na sali, wiedzieli o tym dobrze i wylewali łzy nie tylko nad Gomułką, ale i nad własną młodzieńczą wiarą, którą Stalin niszczył teraz po raz drugi. Przeczuwali, że zniszczy on Gomułkę, tak jak już innych zniszczył, tak jak kiedyś prawdopodobnie zniszczy ich wszystkich.

Wtedy już, przed dwoma laty, odżyła w Polsce w Komitecie Centralnym PZPR pamięć o roku 1937. W nadchodzącym procesie Gomułki ten rok odrodzi się ponownie w rzeczywistości.



Los polskich komunistów w owym termidorowym roku rosyjskiej rewolucji jest, niestety, zbyt mało znany na Zachodzie, a przede wszystkim w Polsce. Łatwo pojąć, dlaczego. Ani PZPR, ani dzisiejszemu reżimowi nie zależało na rozpowszechnianiu tych dziejów. Nie byłoby to na rękę sowieckiej propagandzie, gdyby polska opinia publiczna dowiedziała się co się naprawdę wtedy stało. Gdyby wiadano, że w 1937 roku Stalin kazał aresztować i rozstrzelać lub wysłać do łagrów wszystkich bez wyjątku funkcjonariuszy Komunistycznej Partii Polski, których mógł osiągnąć; że tych, którzy w owym czasie znajdowali się poza ZSSR, kazał wezwać zza granicy do Moskwy po to tylko, aby ich aresztować, i że przeciw wszystkim tym, którzy z pobudek idealistycznych, przez całe swe życie służyli sprawie bolszewizmu, kazał wytoczyć pozbawione sensu oskarżenie, że byli "szpiegami Piłsudskiego".

Aresztowano wtedy w ZSSR setki polskich komunistów. Ich liczba jest na pewno wielokrotnie wyższa aniżeli liczba komunistów aresztowanych lub skazanych przez "faszystowskie" rządy Piłsudskiego przez cały okres ich istnienia. Przed wszystkim jednak NKWD miała tę wyższość, że mogła akcję swą przeprowadzić z o wiele większą precyzją — miała możliwość schwycenia rzeczywiście wszystkich, którzy brali czynny udział w jakiejś nielegalnej działalności w Polsce — ba, mając wgląd w organizację, zbudowaną swego czasu na zlecenie tego samego

reżysera, mogła również uchwycić tych, których dopiero szkolono do takiej działalności, lub którzy — pozostając już od dłuższego czasu w stanie spoczynku — brali w niej udział kiedyś, przed wielu laty... Tak więc cała góra KPP padła od razu ofiarą stalinowskiej "Nocy św. Bartłomieja".

Był między nimi Adolf Warski, który na historycznym II Kongresie rosyjskiej socjaldemokracji (w 1903 r.), głosował razem z Leninem i bolszewikami w imieniu Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. 70-letniego rewolucjonistę, który należał jeszcze do pierwszej w Polsce organizacji robotniczej "Proletariat", wyciągnięto z mieszkania wdowy po Feliksie Dzierżyńskim (Warski należał do grona jej najbliższych przyjaciół). Maksa Waleckiego, przywódcę lewego skrzydła Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), która w 1919 roku połączyła się, wraz z SDKPiL w Komunistyczną Partię Polski, aresztowano w maju 1937 r. Tak samo Leńskiego, który kierował KPP przez prawie 10 lat (1927-1937) wraz ze wszystkimi jego współpracownikami i członkami komunistycznego komitetu centralnego, którzy poprzedzał KC Leńskiego, Sewerem Pruchniakiem i Werą Kostrzewą. Ta stara i schorowana kobieta umarła jeszcze w czasie "przesłuchiwań" w więzieniu moskiewskim. Komunista polski i funkcjonariusz Kominternu, Krajewski, został skazany na pobyt w tajemniczych "obozach milczenia", co — przynajmniej w odniesieniu do owej starej gwardii — było synonimem kary śmierci. Miał on umrzeć w 1942 roku w obozie, jak to zakomunikowano jego rodzinie. Sława Grosser, należąca do głównych oskarżonych, w głośnym procesie świętojurskim, wytoczonym w Polsce w listopadzie 1922 roku przeciwko 39 czołowym komunistom, dostała wtedy, w 1937, 10 lat, których nie przeżyła (dzisiejszy urzędowy dziejopis partyjny, Daniszewski, usiłując napisać historię partii, wspomina wprawdzie o procesie świętojurskim, ale może wymienić tylko jednego spośród oskarżonych, mianowicie Stefana Bojkę, który zmarł w Polsce...). Polscy funkcjonariusze w KP Ryłski, Ciszewski, zostali skazani na pobyt w "obozach milczenia"; b. członek KC, Wróblewski, dostał już w 1936 roku 5 lat i miał umrzeć w drodze do Alma-Ata. Jako jeden z ostatnich aresztowany został, po odwołaniu zza granicy do Moskwy, polski komunista Ryng. "Gdy teraz zadzwonicie do polskiej sekcji Kominternu i nikt się nie zgłosi — to znaczy, że i ja jestem aresztowany" — żartował na krótko przed zniknięciem, a inny polski komunist zauważył gorzko: "teraz będziemy mogli przenieść nasze rozprawy nad zagadnieniami obecnej taktyki politycznej do więzienia NKWD".

10 lat dostał Henrychowski. Zniknęli polscy pisarze i komuniści Stande i Bruno Jasieński. Ten ostatni zmarł w 1938 roku w obozie przejściowym w Władywostoku.

Jako "szpieg Piłsudskiego" zgładzeni zostali również ci polscy komuniści, którzy już od lat byli w szeregach komunistycznej partii Związku Sowieckiego, a w rewolucji 1917 roku brali czynny udział po stronie Lenina, jak np. Unslicht, członek

Wojennej Rady Rewolucyjnej wraz z żoną i siostrą lub Broński, który jeszcze podczas pierwszej wojny światowej reprezentował polską socjaldemokrację na słynnych konferencjach w Zinnerwald i Kienthal, a w 1921 roku był posłem sowieckim w Wiedniu oraz profesor historii Stanisław Boniński i wicedyrektor "komunistycznego uniwersytetu zachodnich mniejszości narodowych" w Moskwie, Małecki, starzec, który siedział w więzieniu 13 lat przed rewolucją. Małecki, złamany na duchu, zmarł również w obozie przejściowym, w Władystoku. Los Karola Radka, który również wywodzi się z polskiej socjaldemokracji, jest znany. W jednym ze słynnych procesów moskiewskich został on skazany na 10 lat więzienia. Wśród jego współpracowników, którzy byli również wszyscy aresztowani, znajdowali się polscy komuniści Lapiński, Rajewski i młodszy Kowalski. Dolecki, także polski komunista, szef TASS'a, popełnił samobójstwo, gdy NKWD-yści przyszli, by go aresztować. Bratmann-Brodowski, były członek SDKPiL, długoletni radca ambasady moskiewskiej w Berlinie, został zgładzony w NKWD; Lauer, jeden z najbardziej uzdolnionych ekonomistów w gosplanie ZSSR, ekonomista Leder i wielu, wielu innych — przepadli. "Dla czego mnie nie zabierają?" — zapytywał obrażony prawie, jeden z dyscyplinowanych czekających na zaareztowanie członków Partii — czyż jestem gorszym od innych komunistą?"

NKWD nie robiła również wyjątków dla uczestników walk w Hiszpanii. Komunista St. wprost spod Madrytu został zaproszony do Moskwy, aby otrzymać odznaczenie za swą działalność bojową na rzecz rewolucyjnej Hiszpanii. Odznaczono go, ale następnego dnia aresztowano i nie powrócił już więcej — żona jego też zmarła w łagrze. Bowiem razem z każdym z aresztowanych polskich komunistów przepadała i jego żona, kochanka, siostra, jego brat, wujek, szwagier... wszystko to niczym się nie różniło od ogólnego obrazu aresztowań i czystek w 1937 roku w Związku Sowieckim. Różnica polegała jedynie na tym, że aresztowanie wszystkich rosyjskich komunistów było niemożliwością, natomiast schwycenie wszystkich polskich komunistów na terenie ZSSR nie nastęrczało trudności. W połowie 1938 roku pozostali tylko: wdowa po Marchlewskim, stary Feliks Kon, który wkrótce potem umarł i wdowa po Feliksie Dzierżyńskim — Zofia Dzierżyńska, która samiuteńka siedziała w bezludnej polskiej sekcji Kominternu. Polski dziennik, wydawany w Moskwie, przestał się ukazywać, zaś polski dział wydawnictw partyjnych — zlikwidowano.

Gdy Stalin zniszczył już przywódców polskiej partii komunistycznej i dużą część jej członków, postanowiono po prostu rozwiązać samą partię. Jest to partia zdrajców — głosiło odpowiednie postanowienie Kominternu z 1938 roku.

Dziwnie to wygląda, gdy Daniszewski i Fiedler, redaktor teoretycznego organu partyjnego PZPR "Nowe Drogi", biorą się do sklecenia historii KPP i po wypełnieniu wielu stron wyli-

zeniem jej "pełnych chwały" akcji strajkowych, jej teoretycznych i politycznych walk przeciwko "reakcji", po stwierdzeniu, że zasługą tej partii było "wprowadzenie marksizmu i leninizmu do ruchu robotniczego w Polsce" — nagle ni stąd ni zowąd stwierdzają: "w 1938 roku sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej — Komunistyczna Partia Polski, do której wślizgnęli się wrogowie, nasiłani przez Piłsudskiego, prowokatorzy, została rozwiązana przez egzekutywę Międzynarodówki Komunistycznej" (Daniszewski, "Droga walki KPP" w 30 rocznicę jej powstania — jesień 1949 roku). Nie piszą oni jednak, że ci "agenci, których ludzie Piłsudskiego szmuglowali do partii i którzy nawet dostali się na kierownicze stanowiska w partii" byli ich najbliższymi przyjaciółmi. Nie wspominają nazwisk owych "szpiegów", ani nie podają ich liczby. Nie wymieniają w ogóle nazwisk komunistów, poza nazwiskami tych, którzy zmarli w Polsce. Tak więc owa "historia KPP" jest smętnym drukiem, mówiącym o bezimiennych "zasłużonych kadrach", nie wspominającym jednak, że ich zasługi zostały pokwitowane przez NKWD, że ci kadrowcy padli ofiarą nie "faszystowskiej reakcji", czy gestapo, lecz stali się ofiarą swego najwyższego szefa. Podobno obaj dziejopisarze starali się o "odblokowanie" przynajmniej takich nazwisk jak Warski, Walecki i Leński. Jednak odpowiedź z Kremla nie nadeszła.

Może jeszcze nie zapomniano, że przed dwoma laty rząd warszawski i przedstawiciele PZPR zainscenizowali uroczyste przewożenie urny z prochami polskiego komunisty, Juliana Marchlewskiego, z wschodniego sektora Berlina do Warszawy. Mielili wszelkie powody po temu, by rzucić się tak gorliwie na prochy Marchlewskiego i tak triumfalnie wynosić pod niebiosa imię tego człowieka. Tylko Marchlewskiego prochy mogła PZPR sprowadzić do ojczyzny. Śmiertelne szczątki pozostałych polskich komunistów, przyjaciół i współpracowników Marchlewskiego, nie będą sprowadzone do Warszawy — leżą one daleko, w bezkresnej tajdze. Tam, gdzie leżą również kości całego pokolenia komunistów rosyjskich.

W tym samym prawie momencie, gdy wśród komunistów w Polsce, którym odebrano partię, zapanowało przygnębienie — przyszła wojna a z nią nowa zdrada — popełnił ją ich najwyższy przełożony, dzieląc się Polską z Hitlerem. Wówczas to, polscy komuniści, znajdujący się w rosyjskich łagrach, otrzymali "uzupełnienia" — zmobilizowane i wysłane na Syberię przez Armię Czerwoną, rekrutujące się spośród byłych członków partii ze Lwowa, Stanisławowa i innych okupowanych przez Sowiety miast polskich.

"Amnestia", udzielona przez Sowiety tym, którzy po dwóch latach pozostali jeszcze przy życiu, nie dotyczyła w żadnej mierze polskich komunistów aresztowanych w 1937 r. Tak jak ich rosyjscy towarzysze, zniknęli oni w wielomilionowej masie ła-

gierników i przypominano sobie o nich dopiero w 1945 roku... ale o tym później.

Wojna 1939 roku uwolniła z więzień szereg polskich komunistów, którzy — gorzką ironią przeznaczenia — tylko dlatego uniknęli losu swoich towarzyszy, że ich aresztowano w "Polsce Piłsudskiego" i że nie mogli skorzystać z zaproszenia do Moskwy. Oni wszyscy zdają sobie dokładnie sprawę z tego, że gdyby byli w Moskwie, byłiby również zgładzeni. Jeden z ludzi odgrywających dziś w Polsce czołową rolę opowiadał następujące zdarzenie, rzucające charakterystyczne światło na ówczesne nastroje: "W 1938 roku przerzucano nas z jednego więzienia do drugiego. Zwrócono naszą uwagę na to, że mieliśmy tu możliwość ucieczki. Z 17 transportowanych więźniów uciekło 11-tu — inni — a wśród nich ja — grzecznie pozostali na miejscu. Byliśmy komunistami i postanowiliśmy pozostać. Dokąd mieliśmy uciekać? W Czechach wpadlibyśmy w ręce Gestapo, a w Związku Sowieckim — wiadzano o tym wówczas i w polskim więzieniu — powędrowalibyśmy znów za kraty jako "polscy szpiedzy". Pozostając natomiast, uratowaliśmy życie".

W końcu 1939 roku, gdy skończyła się w Rosji "Jeżowszczyzna", Bierut, Minc, Berman i inni udali się do ZSSR i czekali tam, kiedy znowu spłyną na nich promienie łask Stalina. Stało się to, jak wiadomo, podczas wojny, gdy armia sowiecka przeszła do kontrofensywy. Polecono im przygotowanie rządu dla nowej komunistycznej Polski.

Inni, a wśród nich Władysław Gomułka, pozostali w Kraju. Gomułka razem z Nowotką i Finderem założył w styczniu 1940 roku Polską Partię Robotniczą. A choć w programie mówiło się, że PPR "kontynuuje najlepsze tradycje KPP", i choć Gomułka — który w Polsce wiele lat przesiedział w więzieniach — był dawnym działaczem KPP, to jednak ta nowa partia różniła się bardzo od starej partii komunistycznej. W jej programie wiele było o demokracji i o Polsce, a mniej o dyktaturze proletariatu. Mówiono nawet o "współpracy z innymi partiami", choć już wówczas tę "współpracę" rozumiano jako współpracę pod kierownictwem PPR. Gomułka po śmierci współtwórców partii: Nowotki i Findera był jej przywódcą — był również tym, który nie tylko — jak pisano jeszcze na początku 1948 roku w oficjalnych wydawnictwach partyjnych — "całą swą siłę poświęcał, z niezmordowaną energią brał udział w budowaniu partii i zakładał fundamenty nowego państwa polskiego", ale ponadto to on pozyskał do współpracy Józefa Cyrankiewicza z jego towarzyszami z PPS ułatwiając w ten sposób zwycięstwo komunistów w Polsce.

"Był on moim reżyserem", śmiejąc się powiedział Cyrankiewicz na swoim ślubie z Andryczówną, a świadkiem jego był Gomułka, "a teraz jest nim znowu".

Albowiem to jest istotne przestępstwo, o które go dziś się

oskarża: Gomułka był przywódcą polskich komunistów w okresie, gdy Stalin zgodził się na coś w rodzaju demokracji, dla uspokojenia niezbyt zresztą wymagających zachodnich aliantów. Wtedy mówiono o "ludzie", a nie o "proletariacie", nie wymawiało się słowa "komunizm", a o kolektywizacji nie wolno nawet było myśleć. Gomułce obiecał Stalin, "polską drogę do socjalizmu", tak jak Ackerman w Niemczech miał wierzyć w niemiecką, a Tito w jugosłowiańską drogę.

Stalin zgodził się wówczas na jeszcze coś innego, czego w innych okolicznościach nie brałby nawet w rachubę. W chwili, gdy rozpoczęto tworzyć Polskę komunistyczną, okazało się, jak bardzo brakowało oddanych Sowiетom ludzi, którzy byliby zdolni do urzeczywistnienia w nowym państwie takiego planu, jakiego Kreml sobie życzył. Bierut i jego towarzysze przypominali sobie więc coraz częściej o polskich komunistach, zamkniętych swego czasu w łagrach i więzieniach i wreszcie zdecydowano pomówić ze Stalinem aby uwolniono tych, którzy jeszcze żyją i aby oddano ich do dyspozycji. Stalin zgodził się. Jest zaskakujące, że zarówno petenci jak i Stalin nie mieli wątpliwości, że ludzie ci, po odsiedzeniu przeciętnie 8 lat, będą gotowi do budowania w Polsce stalinowskiego komunizmu z tym samym zapałem i oddaniem.

NKWD zażądała od Bieruta i Bermana listy nazwisk z podaniem obozu, w którym się dany komunista znajduje. Pracowano nad tym gorączkowo przez całe miesiące. Zestawiano spisy z pamięci, na podstawie nielicznych listów i ustnych wiadomości, podawanych przez towarzyszy niedoli. Interesujące jest przy tym, że np. 12 polskich komunistów, którzy powrócili do Polski z łagrów na Kółymie, zawdzięcza zwolnienie siostrze żony samego Bieruta, która spędziła tam również 8 lat... Pierwsi spośród uwolnionych podali dalsze nazwiska, zestawiano nowe spisy. Zbierano środki na pomoc dla uwolnionych z zamknięcia, przesyłano im pieniądze na podróż.

Przybyli do Moskwy oberwani, obdarci, tak jak wracają byli więźniowie. Długo nie odważali się iść do ambasady, której przecież zawdzięczali uwolnienie. "Ambasada polska?" — zapytywali z przerażeniem, "właśnie dlatego, żeśmy rzekomo chodzili do polskiej ambasady, skazano nas przecież w 1937 roku!" Stopniowo tylko przyzwyczajali się do nowych stosunków. Wynajęto daczę (Dom Letni) w pobliżu Moskwy i ogłoszono jej eksterytorialność, po to, aby byli więźniowie mogli mieszkać w pobliżu Moskwy, co jest w zasadzie wzbronione — (nie wolno im się przybliżać do Moskwy bardziej niż na 100 kilometrów). Zapewniono im środki do życia, a nawet zatrudniono ich w warszawskiej ambasadzie. Jednej z grup powierzono — rzecz ciekawa — zadanie ułożenia spisu do nowej amnestii Polaków, aresztowanych już podczas wojny lub po wojnie. 20 b. więźniów pracowało przez 10 miesięcy nad tym spisem. Na podstawie in-

formacji i listów od aresztowanych oraz ich bliskich zestawiono około 60.000 nazwisk. Niezliczone łagry, w których siedzą Polacy oznaczano na wielkiej mapie Związku Sowieckiego, wiszącej w ambasadzie. Ale nikt już więcej nie słyszał o obiecanej amnestii.

Uwolnieni komuniści jeden po drugim przenoszeni byli na 10-dniowy odpoczynek do prywatnej willi, którą Stalin podarował Wandzie Wasilewskiej. Tę gospodynię patrzyła z pogardą na łachmany, w które ci goście byli odziani i dziwiła się, że nie-szczęśnicy umieją się posługiwać kosztowną zastawą stołową, a nawet przypominają sobie francuskie nazwy dań... dziwne były spotkania Wandy Wasilewskiej pod Moskwą.

Wiele było formalności, wiele przeszkód, aż wreszcie kilka grup komunistów uwolnionych z syberyjskich łagrów powróciło do Kraju. Było ich może 80, może 100 — w każdym jednak razie zaledwie drobna część z wielkiej masy aresztowanych w 1937 roku. Były między nimi kobiety, matki, dorosłe już dzieci dawnych funkcjonariuszy partyjnych. Drugi i trzeci garnitur partyjny — nie było wśród nich nikogo z wybitniejszych. Byli to tylko nędzne niedobitki rozgromionej gwardii. Z dawnych przywódców nie powrócił nikt.

Przyczyna tego jest bardzo prosta. Gdy zestawiano spisy i wpisywano znane nazwiska, Bierut i Berman nie byli w stanie, podać miejsca pobytu swych dawnych, wybitnych towarzyszy. Nie wiedzieli i nie mogli o nich nic wiedzieć, gdyż każdy spośród choćby trochę tylko ważniejszych komunistów był skazany na przebywanie "w obozie milczenia". Nikt nie znał jego adresu, jeśli w ogóle miał jakiś adres. W NKWD wzruszano jedynie ramionami: nie wiemy! Mimo to Polacy wpisywali sumiennie i te nazwiska, podawali datę urodzenia, miejsce i dzień aresztowania, zajmowane stanowisko i spisy wysyłali. I czekali.

Wkrótce po tym, gdy Bierut i Berman znów odważyli się przypomnieć o tamtych z obozów milczenia, otrzymali od Berii, szefa NKWD, odpowiedź "Czego Wy właściwie chcecie? Powiedzieć sobie, że ci ludzie nie żyją. Dla Was oni nie żyją".

Byli więźniowie, którzy powrócili do Polski, nie zawiedli w Kraju zaufania, jakim ich obdarzono. Określenie "trzydziesty siódmy rok" było dostateczną legitymacją, otwierało wszystkie drzwi, gdyż oznaczało: "oto dobry, stary, oddany komunista, czcigodny bojowiec o nową Polskę". Ludzie "trzydziestego siódmego roku", zamiast internacjonalizmu zaczęli się uczyć polskiego nacjonalizmu, oduczyli się wzdrygać na widok białego oria, który stał się teraz symbolem nowego ustroju i jeżeli z ciężkim sercem zrezygnowali z "Międzynarodówki", to nauczyli się, nie bez wewnętrznych wątpliwości, śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła!" Czy wierzyli? Czy ci ludzie mogli brać na serio jakikolwiek gest, jakiegokolwiek posunięcie Stalina? Jeszcze na granicy w Brześciu wielu z nich rozebrano do naga, by raz ostatni sprawdzić, czy nie przeszmuglowali czegoś z Związku So-

wieckiego. Ale nie znaleźli oni w Związku Sowieckim niczego, co opłacałoby się zabierać z sobą... Potem przyjęła ich partia i trzeba powiedzieć, że przyjęła ich hojnie. Ówczesny Komitet Centralny przyjął ich jak kogoś z rodziny. I wtedy stało się coś dziwnego: zaczęli wierzyć. Jakże łatwo przywrócić człowiekowi nadzieję! I coś przyjemniejszego mogli sobie wymarzyć zdradzeni i rozczarowani polscy komuniści, niż wiarę i nadzieję, że będą budowali socjalistyczną Polskę na polski sposób. Marzenia Stefana Żeromskiego o "szklanych domach", marzenia Baryki znowu się budziły w ich sercach.

W 1948 roku marzenia te były skończone. Kominform rzucił kłutwę na Tito i Stalin nakazał odwrót z "własnej drogi". Wielu wówczas wierzyło, że teraz i Polska zwróci się przeciw Moskwie. Sytuacja wewnętrzna dawała po temu więcej jeszcze powodów niż w Jugosławii. Ale w Polsce stały i stoją wojska sowieckie. I to zdecydowało, że w Polsce panował spokój wtedy, gdy na rozkaz Stalina wyrzucono z kierownictwa partii Gomułka i jego przyjaciół.

Gomułka, który w ciągu ostatnich dwóch lat dla wielu ludzi w Polsce stał się symbolem "walki przeciw Moskwie o wolność" — symbolem "polskiej drogi", odmiany titoizmu, jak kto chce — sam się do tego w niczym nie przyczynił. A jednak zdecydowało to o jego losie.

"Stalin nie lubi Polaków" — mówił pewien stary bolszewik w 1937 roku, w tonie usprawiedliwienia — gdy zapytywano go o przyczyny aresztowania tak wielu polskich komunistów. To tłumaczenie nie jest ścisłe: Stalin nie lubi nikogo, kto potrafi myśleć samodzielnie, nikogo, kto by mógł chcieć czegoś innego, niż on sam, i nikogo, kto nie da się polknąć bez oporu.

W ogólnej tragedii komunizmu, tragedia polskiego komunizmu jest jeszcze straszniejsza od innych.

Alfred BURMEISTER.

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa "Kultury", "Oria Białego",
"Wiadomości".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Kronika kulturalna

Kilka uwag o współczesnym ateizmie filozoficznym

W teatrze Antoine w Paryżu Jouvét wyreżyserował i wystawił aż do swej śmierci ostatnią sztukę Jean-Paul Sartre'a: "Le Diable et le Bon Dieu". Była to inscenizacja potężna, natchniona, podyktowana niezawodną jakby pewnością. Postać główną sztuki, Goetza, grał Pierre Brasseur, który umiał zamknąć w sylwetce tej całej pasję ludzką, nabrzmiałą pragnieniem wyzwania. Hildę uosabiała Maria Casarès z tak jej właściwą smutną tklivością, wewnętrznym napięciem, na przemian lekliwym i nieubłagany, nieodwołalną stanowczością, widoczną nawet w takim geście jak otulenie się płaszczem. A Marie Olivier była Katarzyną o nieco wystających kościach policzkowych, pełną zwinnej lekkości małego tygrysa, ukrywającą pod zwodniczą maską zwierzęcej bezwzględności swą miłość, która będzie przyczyną jej śmierci.

Lecz nawet tak znakomita inscenizacja i gra aktorów nie potrafią wytłumaczyć powodzenia sztuki Sartre'a. Rozpoczyna się ona o 8 wieczór, a kończy się prawie o 12 z dwiema, krótkimi tylko przerwami. Przez cały czas jej trwania porusza się jedynie problemy filozoficzne i religijne i jakże niezmiernie dalecy jesteśmy od wszelkiego rodzaju historyjek poświęconych spadkom i zdradom małżeńskim. Sztukę tą skrytykowano prawie wszędzie. Prasa, nieomal jednogłośnie oceniła ją negatywnie. Mimo to, co wieczór teatr Antoine wypełniony jest po brzegi i widzowie nie opuszczają sali przed końcem przedstawienia. Widzów tych nie ogarnia też atmosfera nudy, kiedy to skupiona uwaga ustępuje miejsca szepotom, pokaszliwaniu, westchnieniom, lecz odwrotnie czuje się wśród nich najwyższe napięcie. Jest tak, jakby na przekór temu co ma miejsce zwykle, świat teatru pochłaniał widzów nie dzięki temu, że się wewnę-

trzenie rozprężyli, lecz na skutek ich czujnego i aktywnego skoncentrowania, którego wymaga nieustannie trudny tekst.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej akcji. Rycerz niemiecki, Konrad, wraz ze swym bratem przyrodnym i nieślubnym dzieckiem Goetzem zagarnia ziemie arcybiskupa z Worms. Mieszkańcy korzystają z tego, by zbuntować się i odmówić zapłaty podatków. Goetz nienawidzi swego brata. Przyjmuje więc służbę u arcybiskupa i oblega miasto. Wojska Konrada ponoszą klęskę. Księża, wierni arcybiskupowi schronić się muszą do klasztoru. Ale na skutek głodu powstają konflikty i przywódca zbuntowanych, aby zapobiec poddaniu się miasta, podjudza tłum, by zamordował arcybiskupa oraz wtargnął siłą do klasztoru, gdzie schroniło się 200 księży. Wówczas też Heinrich, biedny ksiądz i przyjaciel ludu, który jedyny pozostał na wolności, gdyż lud go kocha, postanawia uratować księży wpuszczając do miasta Goetza.

Wschwiałny teraz Goetz, który nakazać może wymordowanie całej ludności i który do tej chwili związał siebie ze złem, gdyż zło jest jego rewanżem za upokorzenia i dostarczać mu może jaskrawych dowodów potęgi, potrzebnych dla zaspokojenia pychy, ulega pokusie dobra: bo dobro osiągnąć jest jeszcze może trudniej i dobro może lepiej jeszcze zaspokaja pychę. Zwracając się z żądaniem do Boga, by zesłał mu znak, który by nim pokierował, Goetz powleka decyzyjną grze w kości. Dobro wygrywa. Zamiast wymordować mieszkańców Worms stworzy im Królestwo Słońca. Zamiast wydać 40 tysiącom żołnierzy armii swą kochankę Katarzynę, ofiaruje jej podarki i pozostawi na wolności. Ale Katarzyna widziała jak Goetz rzucił kości: szachrował, chcąc by los wskazał na dobro.

Tymczasem próby osiągnięcia dobra zawodzą. Opuszczona przez Goetza Katarzyna umiera, jemu zaś nie udaje się zdobyć miłości i zaufania ludu. Nie umie z nim rozmawiać. Gdy spotyka Hildę, która cieszy się miłością nieszczęśliwych zapytuje: Jak osiągasz to, że oni ciebie potrzebują. I Hilda odpowiada: to ja raczej ich pragnę. On, Goetz, rozdaje wszystkim swe ziemie i do niczego to nie prowadzi. Mimo wszelkich starań pozostaje poza kręgiem miłości, nie umie jej wzbudzić i nie umie kochać. W końcu, chcąc za wszelką cenę uzyskać pomoc od Boga, sprawić by Chrystus zesłał mu jakiś znak, przebija sobie szpadą ręce. Dzięki fałszywemu świadectwu stygmatów udaje mu się wreszcie zawiadnąć zainteresowaniem ludu, sprowokować jego uwielbienie, za jego sprawą dochodzi do cudów i wznosi on owo Królestwo Słońca, o którym marzyła jego pycha, owo państwo, gdzie wszyscy kochając się uśmiechają się do siebie, gdzie nie ma nędzy i gdzie zastygło sztuczne i martwe szczęście. Ale podczas gdy w koło szerzą się nędza i wojny, o których Goetz nie chce słyszeć, wezbrana uczuciem Hilda czuje się w szczęśliwym Królestwie coraz gorzej: cierpi, gdyż zamiast być wśród upośledzonych dzieli los uprzywilejowanych.

Lecz czyż można żyć, kochając ludzi i być szczęśliwym, je-

żeli ignoruje się otaczającą nędzę. Goetz podejmuje próbę przywrócenia pokoju. Odchodzi, powierzając lud swój Hildzie i zakazując prowadzenia wojen pod jakimkolwiek pozorem. Hilda zaś, która kocha go teraz i która dzięki miłości tej wciągnięta zostaje w świat Goetza, spełnia jego rozkazy. Gdy Goetz wróci zastanie Królestwo Słońca zniszczone. Wojsko zrewoltowanych chłopów przybywszy do miasta usiłuje mieszkańców jego wciągnąć do toczącej się walki, lecz ci — jednak posłuszni Hildzie — odmawiają. Żołnierze zamykają wówczas ludność w domach i miasto podpalają. Ratuje się tylko Hilda, która by zobaczyć raz jeszcze Goetza, swą jedyną miłość, wyskakuje przez okno. Dobro ponosi klęskę totalną. Bóg milczy i Boga nie ma. Niebiosa nad nami są puste. Goetz powraca do tego, co stanowi jego właściwą istotę — do walki prowadzonej groźbą, do wojen. Zostaje dowódcą zbuntowanego ludu.

Zdumiewające jest to przeprowadzenie dowodu. Człowiek, który jest niczym więcej tylko pychą, pragnie pychę tę zaspokoić tym, co nie wiadomo dlaczego nazywa — dobrem. Próba ta nie daje rezultatów. I ponieważ Bóg nie dał znać o sobie, biorąc stronę tego człowieka — dobro nie da się urzeczywistnić i Bóg nie istnieje. Musi nasunąć się nam pytanie w jaki sposób Sartre, posiadający umysł tak wnikliwy i tak czułe ucho, jeżeli chodzi o umiejętność rozróżnienia sił, które wpływają na zachowanie się człowieka, mógł przyswoić sobie tak skromny zaledwie dorobek z dziedziny myśli i doświadczeń religijnych osiągniętych na przestrzeni wieków naszej historii. Ale jednocześnie z naciskiem, którego skuteczność dramatyczna jest widoczna, a którego znaczenie jest dla mnie całkowicie nieuchwytnie, gromadzi on wszystkie elementy, zaprzeczające jego tezie. Klęska dobra, skandaliczny brak interwencji Boga, który służy do ukazania jego integralnej nieobecności byłyby przecież przekonywujące o tyle tylko, o ile próba realizowania dobra byłaby uczciwa. Wiem doskonale, że według Sartre'a, nie można podjąć tego rodzaju próby w dobrej wierze, gdyż chcieć realizować dobro znaczy chcieć być dobrym samemu. Tym niemniej najbardziej przekonywującym przykładem mogłoby być tylko ten, w którym zła wola odgrywałaby najmniejszą możliwą rolę. A tymczasem Sartre podkreśla: Goetz jest niczym więcej tylko uosobieniem pychy, gra w kości o dobro i zło i nawet wtedy szachruje. Stygmaty są oszustwem, jego Królestwo Słońca fasadą, zastygłym uśmiechem. Tak jak w "Huis-clos" uniwersalna współ-odpowiedzialność ludzi przedstawiała istnieć w przekonaniu widza na skutek ogromu popełnionych zbrodni, który przywraçał ludziom pewnego rodzaju niewinność, tak i tutaj, ogrom postaci głównej odbiera przeżyciu jego i doświadczeniom charakter uniwersalny. Środki są zbyt potężne.

Nie jest wykluczone, że brak jasności w całości utworu spowodowany został istnieniem typowo sartrowskich drugorzędnych tematów, które z linią główną wiążą się dosyć słabo.

Na przykład rzucenie kości w skutek którego Goetz wchodzi na drogę dobra, nie jest wynikiem czystego przypadku, bo przecież Goetz oszukuje i przez to samo pobiera decyzję. A Hilda, która uosabia dobro o najlepszych intencjach, lecz dobro pochylone wyłącznie nad samym sobą, traci z konieczności swą niewinność i spada do rzędu istot pospolitych. W każdym razie w tej walce między Goetzem a Bogiem widzę staję wyraźnie raczej — jak mi się zdaje i wbrew intencjom autora — po stronie Boga, a nie Goetza. Czuje on bowiem iż Bóg na wezwanie nie odpowie, nie zezwoli na to, by mu zadawano gwałt, odmówi wzięcia udziału w tym gwałtownym, lecz frywolnym i fałszowanym widowisku, które inscenizuje pycha ludzka. Czuje on, że gdyby Bóg odpowiedział nie byłby Bogiem.

Dzieje się więc tak jakby sztuka ta obracała się w pewnym sensie przeciwko sobie samej i stawiała się potwierdzeniem Boga. Morał jej to ukazanie nam, że fałszywa miłość, która jest jedynie grą pychy przynosi gorzkie owoce i niszczy sama siebie; że wysuwając żądania nie od Boga nie uzyskamy; że Bóg nie zezwoli na to, by mu gwałt zadawano. Myślałam chwilami, że utwór ten mógłby być napisany przez autora chrześcijańskiego, którego zamierzeniem mogłoby być pośrednie zarysowanie apologii prawdziwego miłosierdzia i cierpliwej wiary.

Oczywiście, Sartre utrzymuje, że nie chce on niczego udowodnić. Lecz mimowoli przez utwór jego przebijają pewne intencje ustalenia tezy. Ale intencje te nie są jasne, bo ateizm jego nie jest również jasny.

W istocie, co mnie bowiem uderza we współczesnym ateizmie filozoficznym, to jego powierzchowny i ogólnikowy charakter. Znakomici i głębocy myśliciele tacy jak Sartre czy Merleau-Ponty z chwilą gdy poruszają ten problem stają się zadziwiająco piascy. Sartre powiedział kiedyś, że Bóg umarł gdyż większość ludzi przestała chodzić do kościołów — tak jakby istnienie Boga uzależnione było od ludzkiego plebiscytu. Rzecz ciekawą jest również stwierdzenie, że autorzy, u których słownictwo filozoficzne nabrało pewnej precyzji i zawłokłości scholastycznej odznaczają się obojętnością przy wyborze tego czy innego zwrotu, gdy mówią o Bogu. Boga nie ma, Bóg jest nieobecny, Bóg umarł, zamordowałem Boga — mętny patos każdej z tych formułek sprawia, iż stają się one wymienne tak jakby były równoznaczne.

W rzeczywistości, by móc istnieniu Boga przeczyć, trzeba istnienie to przemyśleć; trzeba wiedzieć jaką zawartość wkładamy w słowo Bóg, by wiedzieć czemu przeczymy, należy wiedzieć co oznacza pojęcie "istnieć", gdy mówimy o Bogu, by wiedzieć co oznacza nieistnienie Boga.

Wszystko to ateistyczny egzystencjalizm lekceważy. I nie wiadomo dlaczego.

Jeszcze w obronie poetów

Wit Tarnawski:

Niesposób żyć z Gombrowiczem w stałej zgodzie. Zaledwie oto zdobył mnie «Trans-Atlantykiem» (drukowanym niedawno w *Kulturze*), który wydaje mi się jednym z najwybitniejszych utworów współczesnej literatury emigracyjnej — a już znów zgniwał i pobudził do sprzeciwu swoim wypadem «Przeciw Poetom». Nie wątpię, że do dyskusji staną zaatakowani w artykule poeci. Niech mi jednak będzie policzone, jako punkt na moją korzyść w starciu, że o cześć wiersza staje zaprzysięgły prozaik.

Gombrowicz pomylił się w tytule, który powinien był brzmieć «Przeciw Lichym Poetom». Jeśliby mierzył w swoim artykule w średniaków poetyckich a nie w poezję w ogóle, artykułowi temu można by tylko przyklasnąć; musiałby się on wydać od początku do końca doskonały, pełen ciekawych spojrzeń i celnych ujęć. Ale uogólnieniem Gombrowicz zepsuł dobrą sprawę. W niepojętej dla mnie omyłce przeniósł na władców poezji niechęć, jaką żywi słusznie do jej niewolników.

A skutek? Błyskotliwy fajerwerk bez pogłębienia i efektu. Gombrowicz rozprawił się z poezją i wielbicielami poezji metodą atakowania fałszywej poezji i nieszczerych jej wyznawców, stoczył walkę łatwą i zwycięską — rzekłbyś z ciurami obozowymi zamiast z główną armią — i otrąbił zwycięstwo przedwcześnie.

Wystarczy jeden przykład: Gombrowicz sądzi, że podkopie wartość poezji obrazem stadnej, snobistycznej reakcji słuchaczy na czytanie wierszy podczas recytacji poetyckich. Nigdy nie wzruszałem się wierszami na recytacjach, zawsze tylko wśród czterech ścian z książką w ręku. Ale nie o to nawet chodzi. Przecież reakcja tłumu na najlepszą prozę czytana na recytacjach nie jest odmienna. Cóż to więc za argument przeciw poezji? I podobne strzelanie do chochołów, zamiast do żywego celu, cechuje niemal cały artykuł Gombrowicza. Że chochoł rozpada się, dobrze trafiony, jakież to może mieć związek z właściwym celem, z istotą sprawy?

Argumenty Gombrowicza nie są nowe. Karol Irzykowski w swojej «Pałubie» niemniej zaciekle starał się rozwiewać mit poetyczności w literaturze. Ale atak Irzykowskiego był właśnie celny — zwrócony przeciw potocznemu pojęciu poezji, przeciw zdrewniałym, zbanalizowanym wytworom sztuki poetyckiej a nie przeciw jej istocie. Irzykowski — jak mało kto w Polsce — umiał rozróżniać wartości.

Przypominam zarzuty postawione przez Gombrowicza wierszowanej, «czystej» poezji. Dadzą się one ująć w dwie grupy.

1) «Świat poezji wierszowanej jest światem fikcyjnym oraz sfalszowanym... stracił już od dawna styczność z bezpośrednim odczuwaniem ludzkim. W poetach razi nie tylko całkowite oddanie się Poezji, ale i strusia polityka w stosunku do rzeczywistości... ucieczka od rzeczywistości». Nikt w prawdziwym życiu nie rozmawia przecież wierszem — można by ironicznie uzupełnić powyższe tezy Gombrowicza.

2) «Wiersz wzrósł nam do potwornych rozmiarów i już nie my nim rządymy, ale on nami. Poeta stał się niewolnikiem... który już nie może wypowiadać siebie, gdyż musi wypowiadać Wiersz. Wszelki styl, wszelka określona postawa jest w gruncie rzeczy zubożeniem... jest kneblem na ustach».

Gombrowicz w całym swym artykule nie dotknął istoty zagadnienia, jak gdyby jej nie dostrzegał: dlaczego to poezja, właśnie wierszowana, byle była szczerą, głębiej i celniej do nas trafia, mimo swej «sztuczności» i odrealnienia, aniżeli najbardziej celna i precyzyjna proza — jeśli idzie o wypowiadanie uczuć? Oczywiście, nie łatwo jest w pełni zrozumieć tajemnicę działania wierszy, nie przychodziło mi jednak nigdy do głowy stawiać pod znakiem wątpienia tego, co może nie dość jest jasne, ale co na pewno czuję.

Dużo w rozumieniu tej sprawy może pomóc analogia z muzyką — która również wypowiada stany wewnętrzne człowieka w sposób niepowspodni, zamknięty w ustalonych formach i jak najbardziej oddalony od tzw. rzeczywistości — choć nie podobna odmówić jej z tego powodu prawdy i siły wyrazu. Analogia ta jest tym bardziej pomocna, że w rytmie i wiązaniach treści wierszowej tkwi niewątpliwie element muzyczny, którego wagi w wypowiadaniu przeżyć wewnętrznych Gombrowicz zdaje się stanowczo niedoceniać.

Nie wiem skąd rodzi się zarozumiała pewność prozaików, że opis, choćby najwierniejszy potrafi w pełni oddać i przekazać słuchaczowi tak nieuchwytnie w swej istocie i obce suchemu opisowi stany wewnętrzne, jak wzruszenia i nastroje. Właśnie wiersz ze swoją rytmiką, dźwięcznymi rymami i sugestywną symboliką, bywa najodpowiedniejszym tworzywem do ukazania i przekazywania wzruszeń — choćby tylko z tego powodu, że rytm jest przecież naturalnym odpowiednikiem i wyrazicielem wzruszenia w dziedzinie słowa.

Poza tym gruba to omyłka nazywać artystyczny obraz rzeczywistości nierzeczywistym lub sfalszowanym, tylko dlatego, że odmalowany został odmiennymi środkami i niejako w innym wymiarze — że nie jest wierną kopią. Przecież idzie przede wszystkim o prawdę wewnętrzną, o podobieństwo budzonego echa. Nie jest zadaniem artysty podawać wierny obraz przeżycia, które go wzruszyło, lecz wywołać u słuchacza czy widza podobne przeżycie, to samo wzruszenie.

Gombrowicz, który celem przekazania swej treści artystycz-

nej czytelnikom przybiera sam tak niezwykle nieraz, tak oddalone od codziennej rzeczywistości formy, który tak często posługuje się symbolem — musi sobie jasno zdawać sprawę z tego, że przez skrót, przybliżenie, symbol czy metaforę można rzeczy wyrazić celniej i istotniej niż przez dokładny opis. Autor «Trans-Atlantyku» nie jest tylko łaskaw na poezję — której nieodłącznym niemal atrybutem bywa właśnie metafora i symbol.

Gombrowicza gniewają ograniczenia formy wierszowej, konwencji, którym trzeba się poddać. Sądzi on, że sztywne i umowne granice wiersza stawiają opór szczeremu wypowiedzianiu się pisarza, że łamią jego treść osobistą, zubożają go i banalizują. «Poeta nie może wypowiadać siebie, gdyż musi wypowiadać wiersz».

Ale gdzież jest sztuka bez ograniczeń — ograniczeń formy materiału, narzędzi? Nawet powieść — najbardziej luźna w swej budowie wśród form artystycznych — narzuca ograniczenia. Sztuka nie może stać się chaotycznym wymiotowaniem wnętrza — bo przestaje być sztuką.

Gombrowiczowi tym razem nie przychodzi na myśl prawda — którą wypowiada sam z innej okazji — że właśnie w starciu, w zmaganiu się kształtuje się i rzeźbi własna treść twórcy. Jest zjawiskiem stwierdzonym przez artystyczne doświadczenia, że opór formy, twardość wiatku w którym artysta pracuje, że trudna walka o swoją prawdę — prowadzą do najwyższych osiągnięć w dziedzinie sztuki. Kucie w marmurze dało nam doskonalsze arcydzieła, niżli lepienie w glinie. Flaubert, narzuciwszy swemu bujnemu nurtowi uczuciowemu cięśne rygory powieści realistycznej stał się dopiero wielkim pisarzem. I nie wiem czy wolno sądzić, że hieratyczna forma, jaką wiązał się Dante w «Boskiej Komedii», osłabiła lot jego geniuszu. Zdaje się raczej, że podniosła go do potęg.

Oczywiście, że tylko wielki twórca potrafi łamać trudną formę do swej woli; słaby ulega jej. Nie znaczy to jednak by ograniczenia i naciski formy były temu winne. Niech mierni poeci przestaną pisać. Nikt na tym nie straci.

A jeśli idzie o wielkich — chociaż Gombrowicz stwierdza w swym artykule, że co napisać «odnosi się również do najślawniejszych, najlepszych poetów» — wierzę głęboko, że nie tylko z owczego pędu wybierają oni wiersz, jako formę wypowiedzania swych uczuć. Trudno naprawdę przypuścić, by wielcy poeci wszystkich narodów i wieków — byli snobami oraz ignorantami w swym rzemiośle — i że dopiero Gombrowicz przejrzał. Zastrzega się on co prawda, że zarzuty swoje kieruje przede wszystkim przeciw poezji lirycznej, natomiast zdaje się pozbawiać wierszom, o ile «zmieszane są z innymi, bardziej prozaicznymi elementami np. w dramatach Szekspira»; ale niemal każdy z wielkich poetów, jeżeli nie był par excellence lirykiem — coś dla muzy lirycznej uronił.

Mógłbym zakończyć dowodami rzeczowymi, tj. zastanowić się

nad prawdą i siłą wyrazu kilku chociażby ulubionych przeze mnie wierszy. Nie chcę jednak przedłużać dyskusji, pozostanę zatem jak mój przeciwnik, przy ogólnikach. Obawiam się zresztą, że Gombrowicz znalazłby się w zbyt trudnej dla siebie sytuacji, gdyby mu przyszło sprawdzić tezę o fikcyjności i zafałszowaniu uczuć, wyrażanych mową wiązaną, na takich przykładach jak Słowackiego wiersz «Do Zośki Bobrowny» czy «Mój Testament», albo strofy «Księgi Ubogich», albo «Ach, któryż jestem żywy» Wyspiańskiego.

Toteż chwilami podejrzewam grubo, że artykuł «Przeciw Poetom» był po prostu jednym z kawałów Gombrowicza, włóčeniem kija w mrowisko — pour épater les bourgeois. Ale po co? — lepiej nie doduszać w burzujących resztek wiary w wartość poezji, która i tak ledwie tli się w ich duszach. Zdolność wzruszania się pięknym wierszem nie jest w człowieku wartością poślednią, ani wyłącznie estetyczną. Wygasanie jej wydaje się bardzo znamienne dla obecnego czasu i może jest nieuniknione — ale po co przykładać do niego ręki?

Natalia Zarembina:

Brawurowo rzucona przez p. Gombrowicza rękawica w stronę "poezji wierszowanej" wywołała zapewne wśród wielu czytelników "Kultury" mniej lub bardziej gwałtowne reakcje. Jeden z dowodów zresztą znajduje się w następnym zaraz numerze, w którym zabrał głos Czesław Miłosz w swym "Liście do Gombrowicza". Jeśli o mnie chodzi — po przeczytaniu artykułu Gombrowicza "Przeciw Poetom" przybrałam (w myśli) postawę obronną, chociaż wierszy nie piszę, po czym usiłowałam zdać sobie sprawę z istoty mego odruchu. Co mianowicie wydało mi się zagrożone przez szturm "odbronzowiacza" wartości — mniejsza w danym wypadku czy uznanych ogólnie — mających jednak wielki znak dodatni dla wielu.

Atak generalny, zwrócony "przeciw poetom", zahacza zarówno stronę "twórców", grzeszących przez kłamstwo wewnętrzne, jak i "spożywców" ich płodów, udających zachwyt wobec utworów, które ich raczej nudzą, jeśli wręcz nie odrażają. Ciskane z pasją kamyczki Gombrowicza trafiały zresztą nie tylko do ogrodu poetów, ale i do innych uświęconych (za chwilę czytelnicy zrozumieją, dlaczego nie ozdobiłam ostatniego wyrazu cudysłowem) miejsc, że wymienię w pierwszym rzędzie muzykę. I nie omylię się chyba w osądzie ogólnym Gombrowicza, chociaż nie wylicza on tego na palcach, jeśli dopowiem, że zapewne w wielu wypadkach i dzieła literackie i twórczość malarzy, rzeźbiarzy, artystów dramatycznych, tancerzy, śpiewaków zasługują na jego podejrzenie, że nie są szczerze, czy sztucznie

zamknięte w sobie, że posługują się jakimiś wykoślawionymi symbolami; tak samo, acz pochlebna, opinia publiczności najzwyczajniej w świecie nie odpowiada jej niemiłym wrażeniom i przykrym odczuciom.

Po prostu więc mówiąc, Gombrowicz zamierzył się na snobizm, nakazujący chwalić, uznawać, apoteozować bez wewnętrzniego uznania twory czy twory, będące w istocie rzeczy wynikiem sztucznej pozy, przybranej zarówno przez twórców jak i ich pseudo admiratorów.

Piękna to rzecz szukanie prawdy w sztuce, domaganie się, aby idea, jaką pragnie uzmysłowić artysta (poeta, muzyk, pisarz, malarz, aktor) była wyrażona w sposób uczciwy, aby stojący po drugiej stronie odbiorcy (słuchacz, czytelnik, widz itd.) nie byli szturmowani sztucznie fryzowanym słowem, kaskadą nieobliczalnie zgrupowanych dźwięków czy brzydko i bezsensownie rozbrykanymi na płótnie liniami lub barwami. Godne pochwały jest bezwzględnie domaganie się Gombrowicza, aby drogę, prowadzącą od artysty do odbiorców sztuki cechowała prostota i rzetelność — i nawzajem, aby taka sama prawda obowiązywała tych ostatnich.

Do tego miejsca wszystko szło gładko i można tylko przyklasnąć panu Gombrowiczowi w jego ataku na snobizm. Ale trudno kroczyć za nim dalej, trudno nie stanąć dęba wobec próberzy, jakich używa dla napiętnowania przejawów poży snobistycznej w społeczeństwie.

Najpierw małe zwierzenie, spowodowane właśnie jednym z owych kamyczków, ciśniętym przez Gombrowicza w swego rodzaju świętość, z którą obcowanie dla wielu tysięcy, lub lepiej i pewniej — milionów ludzi — odbywa się w sposób jak najbardziej wzniosły i jednocześnie bezpośredni: muzyka Jana Sebastiana Bacha. Gombrowicz pisze, że gdybyśmy chcieli zobaczyć jak wygląda ten stosunek "ładnych rzeczy dowiedzielibyśmy się, gdybyśmy zaczęli badać o ile osoba, która zachwyca się Bachem, może w ogóle zachwycać się Bachem, tj. o ile zdolna jest uchwycić coś z muzyki i z Bacha". Z tonu całego ustępu czuje się, że Gombrowicz nie bardzo wierzy w ogóle ludziom, którzy rozkoszują się, tym, jak słyszałam z ust innych niedowiarków, "rzępołem gam i wprawek na organach". Przyjmuję wyzwanie i z ogromną radością wyznaję, że słuchanie muzyki Bacha wprawia mnie w swego rodzaju ekstazę, że uważam jego dzieła za absolut piękna i doskonałość najwyższą harmonii, że poza głębią rozkoszy zmysłowej czuję się wówczas jak gdyby wpleciona w nurt wieczności, wydaje mi się, że pojmuję nieskończoność... Nie wstydzę się tych górnych słów. Wyjaśnić jeszcze muszę, że kult muzyki 17 i 18 wieku niemieckiej, włoskiej, francuskiej, polskiej zaczął się w moim życiu w dzieciństwie, gdy nietknięta zarazą snobizmu, nie znając jeszcze "uświęconych" opinii o muzyce klasycznej, mogłam zasłuchiwać się godzinami takiemu zaklęciu w dźwięki piękna. Dodaję szybko, że jak i pan Gombrowicz, nie jestem mu-

zykiem, z nauką gry na fortepianie pożegnałam się w szóstej klasie gimnazjum.

Obóz wyznawców Bacha i wielu wielkich kompozytorów tej bogatej epoki jest bardzo duży i jestem pewna, że ludzie, czerpiący głębokie szczęście z objawienia piękna poprzez muzykę, gdy mówią o nim, to tylko dlatego, by dać wyraz wrażeniu, jakie daje chłonicie prawdziwej sztuki. O ile zaś wiemy z życiorysów wielkich muzyków — Bach, Haendel, Haydn, Scarlatti czy Mozart, Beethoven albo Chopin z Schumanem nie tworzyli też żadnych "zmów snobów", chociaż wielu spośród nich tworzyło w odosobnieniu od świata i tworzyło z żywiołowej wewnętrznej potrzeby, sublimującej się często pod postacią głębokiej religijności.

Jeśli chodzi o węszenie snobizmu to, podobnie jak to czyni Gombrowicz, mam trochę nieufny stosunek do muzyki nowoczesnej. Nie umiem zasmakować w nowej harmonii, która dla moich zmysłów jest jej zaprzeczeniem. Ale przecież nie wystarczy sam fakt, że jej nie lubię czy nie rozumiem, chociaż z najlepszą wolą starałam się "zgryźć" niektóre kompozycje nowej muzyki; nie wystarczy również fakt, że w wielu stolicach krajów europejskich i za oceanem gros koncertów zawiera w programach muzykę klasyczną czy romantyczną, co dowodzi, że dawna muzyka mocniej wzrosła w dusze ludzkie i potrzeba jej słuchania jest daleko większa, niż garnięcie się do muzyki współczesnej. Mimo to wszystko jest wielu szczerych miłośników jazzu, czy wyznawców chropawej i krzykliwej dla innych, harmonii nowoczesnej. Dlaczego nie mamy wierzyć, że sprawia im naprawdę przyjemność to, co dla nas, dajmy na to, jest przykre?

Właśnie pan Gombrowicz popełnia błąd, można to równie dobrze nazwać niesprawiedliwością, przez generalizowanie swej tezy o powszechności snobizmu, obejmującego całe ogromne dziedziny sztuki. Wszyscy więc są snobami, mówiąc że lubią poezję wierszowaną, nikt przeważnie nie ma odwagi przyznać się, że, jak gdyby na złość własnym zmysłom, odbierającym przykre wrażenia, nie podobają mu się uznane za piękne jakieś wiersze, obrazy, sztuki teatralne, utwory muzyczne.

Śmieszne objawy snobizmu spotyka się i w wielu bardziej przyziemnych dziedzinach. Za przykładem pana Gombrowicza, który stroił figle, jak pisze, brzdąkając dziko na fortepianie i wmawiając w słuchaczy, że to są słynne kompozycje muzyki modernistycznej, mogłabym odpowiedzieć o kawałach, robionych snobom smakoszom: pewien dowcipny gospodarz nalewał im zwykłego wina z butelki, z piękną etykietą, mającej świadczyć o wysokiej szlachetności trunku i bawił się znakomicie, gdy gość przymykał z lubością oczy, po czym z miną wytrawnego znawcy wypowiadał: "To jest dopiero prawdziwa ambrozja". Przecież na podstawie tych anegdotek nie można twierdzić, że wszyscy ludzie, twierdzący, iż lubią tylko dobre

trunki, są snobami i chwałą uznane marki, nie odróżniając zwykłego cienkuszka od nasłonecznionego burgunda.

Pan Gombrowicz jest dumny z niezależności swego sądu i z odważnego płynięcia pod prąd ogólnej opinii. Oczywiście, zdobyć się na odmienne "krakanie między wronami" jest godne pochwały, ale zdarza się również, że jest to wyraz tylko "woli sprzeczonej" czy też lubowania się w brawurowaniu. Przy "płynięciu pod prąd" trzeba koniecznie mieć poczucie, że zważyło się uważnie, obejrzało wszechstronnie dane zjawisko i oceniło sumiennie szczerą reakcję odmiennej, niż nasza własna.

Otóż dobiegam w ten sposób końca mych racji, za których pomocą usiłuję pozbawić pana Gombrowicza prawa uogólnienia swego sądu. Powiadam, że nie należy generalizować i to jeszcze w sposób tak gwałtowny, jak to czyni autor artykułu "Przeciw poetom", tezy o wszechwładności snobizmu w społeczeństwie. Tak samo jak nie powinien, na przykład, niewierzący wątpić o tym, że jego znajomy intelektualista jest człowiekiem głęboko wierzącym, uznającym symbole kultu religijnego, czującym jakąś wspaniałą wzniosłość w chwili, gdy przyjuje komunię.

Jeśli więc panu Gombrowiczowi nie zdarzyło się spotkać ludzi zaczytujących się na przykład z prawdziwym wzruszeniem uczuciowym i estetycznym "Panem Balcerem" Konopnickiej, lub zaczarowanych dawną muzyką, bądź odwrotnie, znajdujących wielką przyjemność w kakofoniach muzyki nowoczesnej, jeśli nie przypadło mu w udziale widzieć rozgorączkowanego malarza, który w rozmyślnie zawikłanym, niewyraźnym podkreśleniu rysunku swej "abstrakcyjnej" kompozycji widzi coś nowego i cennego — nie powinien on rozciągać własnych reakcji na wszystkich. Każdy sąd musi mieć podkład tolerancji w najszerszym tego słowa znaczeniu. Każdy człowiek zaś musi kierować się świadomością, że jest odgradzony od psychiki drugiego człowieka tą nieskończenie wielką różnorodnością odczuwania, która sprawia, iż świat ludzki nie traci i nie straci nigdy uroku skomplikowanej mozaiki o milionach odcieni.

Będziemy najbliżsi chyba prawdy, gdy wobec wielu zjawisk, które nas nie ziębią ani grzeją, albo nawet odstraszaają, a które dla innych mają nieprzepartą moc magnesu, powiemy sobie: Oto drzwi zamknięte dla nas; za nimi, być może, znajduje się objawienie prawdy innych.

Tłumacze literatury polskiej

O polskiej literaturze pisał niedawno znany sławista, Claude Backvis, profesor Uniwersytetu w Brukseli, że posiada skarby, z których mógłby być dumny każdy wielki naród. Niestety jednak, nie zdobyła ona sobie jeszcze tego uznania i rozpowszechnienia zagranicą, na jakie zasługuje. Pozostaje to w związku z nieznanością języka polskiego, który nie zyskał sobie przywilejów innych języków o charakterze międzynarodowym, a w nie mniejszym stopniu z utratą niepodległości w ubiegłym stuleciu, która usunęła naród polski w mrok zapomnienia wśród społeczności europejskiej. Pierwszym, który w tym ponurym okresie zwrócił uwagę zagranicy na piękność literatury polskiej był Jerzy Brandes, w swej znanej publikacji "Polska" (1898). Wkrótce potem poeta i publicysta francuski, Gabriel Sarrazin, wydał, jeszcze dzisiaj cenną, książkę "Les grands poètes romantiques de la Pologne" (1906), a nieustrudzony Teodor de Wyzewa starał się zapoznawać świat zachodni z literaturą polską na łamach "Revue des deux mondes" i innych czasopiśmie francuskich.

Z chwilą odbudowania Polski po pierwszej wojnie światowej, wytworzyły się warunki korzystniejsze dla zaznajomienia cudzoziemców z skarbami kultury polskiej i wiele w tym względzie zrobiono. Do tego potrzebna była jednak pomoc zagranicy. Wszelka bowiem propaganda *pro domo sua* jest zawsze niebezpieczna, często nieskuteczna, a czasem nawet szkodliwa. Co innego, jeżeli znajdują się cudzoziemcy, niepodlegający o stronniczość, którzy pracą taką podejmą. Do takich pośredników w dziedzinie literatury polskiej, w stylu Brandesa, należy Franck Louis Schoell, którego działalność na polu zaznajomienia zagranicy z piśmiennictwem polskim wymaga tym bardziej szerszego omówienia, że uczony ten, mimo wielkich na tym polu zasług, za mało jest znany i ceniony, mniej w każdym razie od równie oddanego sprawie literatury polskiej Paul Cazin.

Kim jest F. L. Schoell? Prof. Schoell pochodzi ze znanej w kołach naukowych rodziny alzackiej ze Strasburga. Ojciec jego, po wcieleniu Alzacji do Niemiec w 1871 r., nie chcąc stać się obywatelem niemieckim przeniósł się do północnej Francji. F. L. Schoell urodził się w Amiens, 19 sierpnia 1889 r. Po ukończeniu szkoły średniej w Chartres i Paryżu i złożeniu egzaminu konkursowego, przyjęty został do Ecole Normale Supérieure, aby oddać się studiom wyższym na paryskiej Sorbonie. Ponieważ poświęcił się anglistyce, część studiów uniwersyteckich odbył w Londynie i w Cambridge. W r. 1913, na polecenie znanego romanisty, Józefa Bédiera, profesora Collège de France, wezwany został jako wykładowca literatury fran-

cuskiej na Uniwersytet w Chicago. Wkrótce potem ożenił się z Polką, p. Olgą Gulkowską, którą poznał w Paryżu.

Wojna światowa przerwała jego działalność na lat kilka. Ranny na froncie zachodnim, Schoell dostał się do niewoli niemieckiej i znalazł się w Koblencji, w szpitalu.

Zainteresowania Schoella Polską nie były zresztą świeżej daty. W przedmowie do jednej ze swych książek "Patrimoine polonais", sam opowiedział swoje pierwsze zetknięcie z Polską, w latach młodości spędzonych w Chartres. Do szkoły, w której uczył ojciec Schoella uczęszczał młody Bukowski, syn emigranta. Zaprzyjaźniwszy się z tym młodym Polakiem F. L. Schoell, słuchał z podziwem opowiadań jego o cudach Krakowa i pięknie gór tatrzańskich. Przez Bukowskiego wszedł w koła polskie, skupiające się dokoła Dra Henryka Gierszyńskiego (o którym wspomnienia ogłosił J. Lorentowicz w swej książce "Spojrzenie wstecz"). W domu Dra Gierszyńskiego, w Quarville, w pobliżu Chartres, spędził część wakacji wielkanocnych. Dźwięki mowy i muzyki polskiej, usłyszaną tam po raz pierwszy w życiu, sprawiły, że Schoell postanowił nauczyć się języka polskiego. Spełnienie tego zamiaru nastąpiło jednak dopiero w czasie niewoli niemieckiej. Zaostrzony w mały słownik polsko-francuski przeczytał w oryginale "Quo Vadis"? znane mu już, podobnie jak "Trylogia" z tłumaczenia francuskiego. Przeniesiony jako jeńiec z Koblencji do miejscowości Villingen w Schwarzwaldzie, poznał w niewoli Polaka, Tomasza Kicińskiego z Kielc. Kiciński zaczął uczyć francuskiego więźnia po polsku i zwrócił jego uwagę na Reymonta i jego arcydzieło "Chłopów". Schoell sprowadza z Lipska komplet tetralogii w oryginale i, z słownikiem w ręku, po rozstaniu się z Kicińskim, wczytuje się w tekst powieści. Lektura pierwszych 50 stron nie była łatwą sprawą, ale zostając pod czarem pióra wielkiego artysty, Schoell pracuje wytrwale. Przeczytawszy całość, daje wyraz swemu zachwytowi w obszernym studium, drukowanym w "Revue de Paris" (15 wrzesień 1918). Studium to pt. "Les paysans polonais vus par un des leurs" ukazało się następnie w osobnej odbitce w publikacjach paryskiego Tow. wydawn. "Les Belles Lettres", w r. 1925. Praca ta zwróciła uwagę paryskiego księgarza i wydawcy, M. Payot, który młodemu profesorowi zaproponował przetłumaczenie "Chłopów" na język francuski, jednak w skróconej formie. Wróciwszy po wojnie do Ameryki, w celu podjęcia na nowo przerwanych prac na Uniwersytecie w Chicago, zabrał się prof. Schoell do tłumaczenia "Chłopów", dokonując żądanych skrótów — "la mort dans l'âme", jak sam wyznaje, "car c'était mutiler une œuvre d'art dont les différentes parties c'étaient admirablement équilibrées et où, malgré les 1600 pages, il n'y avait aucune redondance". Gotowy manuskrypt doręczył samemu Reymontowi, który, objeżdżając kolonie polskie w Ameryce, znalazł się w Chicago. Dowiedziawszy się od Payota, że Schoell pracuje nad tłumaczeniem, odwiedził go i zaproponował, iż sam zowie-

zie manuskrypt do Paryża. Nastąpiło to rzeczywiście w r. 1920. Jednakże kryzys księgarski stanął na przeszkodzie opublikowaniu tłumaczenia i sprawa, mimo podpisanego kontraktu, odwlekła się.

Odbывszy podróż do Europy i zwiedziwszy przy tej sposobności w r. 1921 po raz pierwszy Polskę, Schoell, po powrocie do Ameryki, porzucił Uniwersytet w Chicago, aby odbyć pod patronatem Institute of International Education i Fédération de l'Alliance Française, dłuższe tournée odczytowe w rozmaitych miastach amerykańskich. W związku z tą akcją otrzymał katedrę w Uniwersytecie w Tulane, Louisiana, w r. 1923. Następnie od r. 1924-26 wykładał w Uniwersytecie w Californii. Tymczasem, w listopadzie 1924 r., Reymont zdobywa nagrodę Nobla. Wiadomość o tym dochodzi do prof. Schoella prawie równocześnie z kablogramem firmy Payot, domagającej się natychmiastowego uzupełnienia gotowego skróconego tłumaczenia "Chłopów", w celu wydania w całości powieści. Posłuszny wezwaniu Schoell z całą wrodzoną mu energią zabrał się do pracy. Na Wielkanoc 1925 r., pierwszy tom arcydzieła Reymonta w tłumaczeniu francuskim znalazł się na półkach księgarskich. W tym też czasie Schoell udał się do Paryża, aby wziąć udział w zorganizowanym z jego inicjatywy śniadaniu literackim w rocznicę urodzin Reymonta, dnia 6 maja. To zebranie towarzyskie odbyło się w salonach znanego mecenasa i wydawcy Edwarda Champion i miało na celu zapoznanie z bawiącym wówczas we Francji Reymontem, szeregu członków Akademii francuskiej m. in. Paul Valéry, Henri de Régnier, René Boylesve, Frédéric Lefèvre i in. Każdy z uczestników otrzymał egzemplarz świeżo wydanego tłumaczenia "Chłopów" i odbitkę studium Schoella, o którym wyżej była mowa. Przeprowadzone przy tej okazji interview F. Lefèvre'a z Reymontem ukazało się następnie w "Nouvelles Littéraires", w maju 1925, pt. "Une heure avec Ladislas Reymont".

O wartości tłumaczenia "Chłopów", najlepiej świadczy fakt, że zostało ono nagrodzone przez Akademię francuską i że w r. 1948 ukazało się nowe wydanie wyczerpanego zupełnie podczas wojny pierwszego tomu.

Prof. Schoell powrócił do swoich zajęć do Ameryki, lecz w r. 1927 przyjął ofiarowane mu stanowisko szefa Sekcji dokumentacyjnej w Sekretariacie Ligi Narodów w Genewie. Na tym stanowisku pozostał aż do załamania się tej instytucji. Drugą wojnę światową przeżył w Genewie. W ostatnich dwu latach podróżował wiele, kursując między trzema kontynentami: Europą, Ameryką, gdzie wygłosił liczne odczyty w szeregu Uniwersytetów, oraz Afryką, gdzie mieszka jego córka, żona p. Franciszka Rozwadowskiego. Obecnie zawitał do Europy, zaproszony przez Uniwersytet w Moguncji do wygłoszenia wykładów z amerykańistyki. W dziedzinie tej wydał prof. Schoell kilka prac oraz tłumaczeń utworów literatury amerykańskiej.

Po wydaniu tłumaczenia "Chłopów" i studium o tym utwo-

rze Schoell nie przestał interesować się Reymontem. Przetłumaczył jeszcze inne jego utwory. I tak w r. 1932 ogłosił "Journal d'une jeune Polonaise" ("Z pamiętnika młodej Polki"), texte polonais avec la traduction française en regard, Paris, Payot, a w 1933 r. "Pielgrzymkę na Jasną Górę" (Pèlerinage polonaise. Ed. du Cavalier).

Od Reymonta przeszedł Schoell do innych autorów, ogłaszając bądź studia krytyczne, bądź tłumaczenia ich dzieł, w szeregu pism francuskich. Autorami tymi byli: Sienkiewicz, Norwid, Szymański, Ejmond, Wierzyński, Choromański, Nowakowski. Pisma zaś, w których Schoell prace swe ogłaszał to: wychodząca w Warszawie przy "Wiadomościach Literackich" "Pologne Littéraire", a dalej francuska "Grande Revue", gdzie wydrukował tłumaczenie "Hanusi" Szymańskiego, które następnie z przedmową Daniela Ropsa ukazało się jako osobna książka w wydawnictwach paryskiej "Nouvelle Revue Française" w r. 1930. Inne prace ukazały się w szwajcarskiej "Revue Mensuelle" i w "l'Europe Central", wychodzącej w Pradze. W wspomnianej "Revue Mensuelle" ogłosił Schoell tłumaczenie kilku essayów Boya-Zeleńskiego, któremu poświęcił nadto osobną broszurę pt.: "Boy, l'enfant terrible de la Pologne" (Paryż 1931). Łatwo zrozumieć zainteresowanie Schoella dla tego pisarza który był u nas pośrednikiem między literaturą francuską i polską, prowadził więc działalność podobną do tej którą rozwijał Schoell — tylko w odwrotnym kierunku.

Poza tym ogłosił prof. Schoell artykuły o Reymoncie w "Larousse Mensuel", w paryskich "Nouvelles Littéraires", w miesięczniku literackim Uniwersytetu kalifornijskiego oraz w "Saturday Review of Literature". Artykuły o polskiej literaturze opracował Schoell w Encyklopedii de Monziego (tom XVII) oraz w "Grande Memento Larousse" (1936). Przez długie lata był Schoell stałym korespondentem i sprawozdawcą w dziedzinie literatury polskiej w dwu znanych miesięcznikach, mianowicie, w paryskiej "Vient de paraître", od 1925-1930 r., i w wychodzącej w Pradze "l'Europe Centrale", od 1930-1936 r.

Obok słowa drukowanego szerzył prof. Schoell kult literatury polskiej także żywym słowem poprzez szeroko zakrojoną akcję odczytową, którą rozpoczął w Ameryce, konferencjami o swym ulubionym Reymoncie, wygłoszonymi w Chicago, San Francisco i innych miastach. Kontynuował ją następnie we Francji, dając w r. 1917, pod auspicjami znanej organizacji "Amis de la Pologne", cykl odczytów o Polsce w szeregu wielkich miast południowej Francji. W Belgii i Holandii, mianowicie w Brukseli, Rotterdamie i Hadze, tematem odczytów był znowu Reymont i jego twórczość. Zaproszony do Polski wygłosił prof. Schoell, w r. 1925 w Uniwersytecie krakowskim i warszawskim odczyty o humanistach francuskich i uniwersytetach amerykańskich. Świetny znawca literatury angielskiej, francuskiej i polskiej, zna prof. Schoell niemiennie gruntownie literaturę nowołacińską, czego dał dowody m. in. w cennej

publikacji o humanistach niemieckich, francuskich i włoskich i ich wpływie na literaturę angielską doby królowej Elżbiety, pt. "Etudes sur l'humanisme continental en Angleterre à la fin de la Renaissance" (Paris 1926, praca nagrodzona przez Akademię francuską).

Do najważniejszych prac prof. Schoella w zakresie literatury i kultury polskiej należą opublikowane w czasie ostatniej wojny, wydawnictwa w Szwajcarii. Za wielką, bardzo wielką zasługę jego poczytać należy, że właśnie w tym najkrytyczniejszym dla Polski momencie przypomniał ją światu intelektualnemu zachodniej Europy i Ameryki. Uczynił to w zapoczątkowanym przez siebie wydawnictwie, mającym na celu zapoznanie zagranicy z kulturą poszczególnych krajów, w szeregu monografii, opracowanych przez specjalistów w formie przystępnej. Projektem, objętym nazwą "Collection Culture européenne", zainteresował firmę wydawniczą "La Concorde" w Lozannie. Jako pierwszy tom tego wydawnictwa ukazała się "Patrimoine polonais" samego Schoella, obejmująca szereg essay'ów dawniej lub świeżo napisanych, a poświęconych Kochanowskiemu, Słowackiemu, Krasińskiemu, Chopinowi, Norwidowi, Weyssenhoffowi, Sienkiewiczowi, Prusowi, Orzeszkowej, Piłsudskiemu (jako pisarzowi), Szymańskiemu, Sieroszewskiemu, T. Zielińskiemu i trzem historykom kultury polskiej — Komornickiemu, St. Kotowi i A. Brücknerowi. Cudzoziemiec, który przeczytał tę książkę, zapozna się z czołowymi postaciami i pierwszorzędnymi dziełami literatury polskiej. Zasiłga Schoella jest to, że wobec panującej w tej dziedzinie ignorancji dostarczył takiego cennego źródła informacji. Przecież do dzisiejszego dnia nie ma żadnego podręcznika literatury polskiej w języku francuskim.

W r. 1944, wydał Schoell w fryburskiej firmie wydawniczej Egloff dwa nowe tłumaczenia z literatury polskiej. Jedno pt. "Marysia la lointaine" jest fragmentem z Tetmajera "Na Skalnym Podhalu", drugie zaś pt. "Par une nuit d'automne" raz jeszcze wiąże nazwisko Schoella z Reymontem, będąc tłumaczeniem nowel tego pisarza.

W okresie ostatniej wojny Schoell współpracował także z redakcją encyklopedycznego wydawnictwa "Pologne 1919-1939", zainaugurowanego w Fryburgu przez śp. ministra Jana Modzelewskiego, b. posła R.P. w Szwajcarii. Jako specjalista w przygotowaniu do druku francuskich wydawnictw naukowych, w okresie urzędowania w Lidze Narodów, prof. Schoell przejrzał i wypolerował pod względem językowym trzy potężne tomy tej publikacji, do której nadto napisał, jako oryginalny wkład, wstęp do III tomu, zawierający uwagi o kulturze polskiej, wydany następnie jako specjalna odbitka (1948).

Ostatnia praca Schoella z zakresu literatury polskiej — to artykuł ogłoszony w znanym w uczonych kołach wydawnictwie "Lettres d'humanité. Association Guillaume Budé" (Paris, Bel-

les Lettres, 1948, Tome VII) pt. "La littérature latine de la Renaissance", w którym autor wspomnianej już powyżej pracy o humanistach angielskich, omówił twórczość kilku pisarzy i poetów nowołacińskich polskich, mianowicie Długosza, Janickiego, Modrzewskiego, Orzechowskiego, Klonowicza i Sarbielewskiego.

Tak przedstawia się plon polonistycznych prac prof. Schoella. Interesującą jest rzeczą, że wszystkie one powstały poza granicami Polski. Objął w nich jako tłumacz i jako krytyk całokształt literatury polskiej.

Alfons BRONARSKI.

NAJLEPSZY PRZEWODNIK WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY FRANCUSKIEJ

CONTACTS LITTÉRAIRES et SOCIAUX, la revue critique des livres du mois publie dans son numéro de décembre un éditorial de **Michel Collinet** «S'ADAPTER OU PERIR» consacré à «L'HOMME IMMÉDIAT». Dans le même numéro une étude d'**Alain Sergent** sur «LA LITTÉRATURE DU PEUPLE». Revelons également les articles de Victor Voiron, Maurice Dommanget, Guy Vinatrel, Paul Barton (qui analyse la crise Tchécoslovaque), etc... Ne publiant par principe aucune publicité d'éditeur la revue «CONTACTS» affirme dans tous les domaines une indépendance qui s'allie à un esprit critique permanent.

(CONTACTS n'est pas distribué dans les kiosques. Numéro spécimen gratuit sur demande, 62, rue Nationale, PARIS 13^e).

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH.

Bezplatna wysyłka

poprzez niemieckie przedstawicielstwa w:
Frankfurt/Main-Sachsenhausen, Stegstrasse 36

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Książki

Papież pokoju

I

Kiedy prawosławie cieszyło się jaką taką jeszcze możliwością własnego rozwoju wewnętrznego w Rosji carskiej, przynajmniej jedną cechą górowało nad katolickim chrześcijaństwem zachodnim: niepospolicie wielkim, co do jakości, udziałem świeckich na polu myśli religijnej. Potężny wzlot pisarstwa religijnego, chluba Cerkwi rosyjskiej XIX wieku, był dziełem zastępu laików z Sołowiowem na czele, jednym z największych geniuszy religijnych od średniowiecza, a niewątpliwie największym z myślicieli, jakich kiedykolwiek wydała Słowiańszczyzna.

Podobnego zjawiska, choćby w znacznie skromniejszych rozmiarach, nie widać od stuleci w naszym Kościele. Nie widać i dziś, mimo paru dziesiątek lat istnienia Akcji Katolickiej. Powodów tej różnicy między Wschodem i Zachodem — żeby tak z grubsza rozróżnić — jest wiele. Nie sposób ich tu wyliczać, ale warto wskazać przynajmniej na dwa; dokładniej mówiąc — na dwie ich grupy:

Jedna jak sądzę, jest natury strukturalno-psychicznej: Kościół wschodni tradycyjnie zostawiał wiernym większą swobodę i wolność wewnętrzną, niż Kościół zachodni. Stąd też to zjawisko namiętnego poszukiwania Boga i Jego prawdy, tak nieraz ośmieszane przez pisarzy zachodnich. Lepiej jednak, jak powiada Chesterton, głosić prawdę w sposób szalony — jak święci, niż głupstwa i formułki w sposób mądry i zrównoważony — jak profesorowie. A że tak zwany człowiek wschodni jest intensywniej i głębiej religijny od człowieka zachodniego, już to samo rodziło na Wschodzie nieproporcjonalnie większy niż na Zachodzie udział świeckich w życiu Kościoła i w dziejach rozwoju myśli religijnej. Choćby tylko dla przypomnienia warto wskazać, że uczony i świątobliwy (a w Kościele wschodnim święty)

Focjusz, zanim został patriarchą Konstantynopola, był człowiekiem świeckim, cesarskim urzędnikiem dworskim. Jeśli przy tym powołać się na opinię coraz bardziej przeważającą, że jest to największa postać całego Kościoła średniowiecznego w ogóle, przykład zyskuje na wymowie. — Kiedy w wieku VIII wybuchła gwałtowna herezja ikonoklastów, najskuteczniej przeciwstawił się jej w swoich pismach Jan Mansur, laik, urzędnik i doradca kalifa Damaszku, Abdul Maleka. A Jan Mansur, jak wiadomo, to późniejszy mnich i zwyczajny kapłan, wreszcie święty i Doktor Kościoła: — Jan Złotopłynny, zwany Damascenem. Jedyny zaś Doktor Kościoła, który nie posiada święceń kapłańskich, pochodzi również ze Wschodu: Jest nim św. Efreem, syryjski diakon, wielkiej głębi pisarz i porywający poeta o jakby "ukraińskim" nastroju (który nawet kazania i niektóre rozprawki pisał wierszem...).

Istnieją też powody historyczne wspomnianej różnicy (choć i te łatwo sprowadzić do pierwszej grupy). Wśród nich zaś jednym z najważniejszych są zmiany w Kościele zachodnim, spowodowane reakcją na Reformację i całą tą atmosferą Kontrreformacji katolickiej, na ogół tak mało sympatyczną, że rzuca cień nie tylko na teologów, hierarchów i papieży tego okresu, ale nawet na wielu świętych jak i na zakony w tym czasie utworzone (Jezuitorów na przykład). Jest to epoka jakby generalnego "pilnowania" Ducha św., aby tylko Sobie za wiele nie pozwalał w Kościele i świecie. Jest to czas teologii i katechizmu, jeśli tak można się wyrazić, nie tyle dla Boga i człowieka, ile, że posługuje się terminem wielkiego współczesnego teologa — "contre quelqu'un"; a nie ma większego nieszczęścia, jak uczyć, i uczyć się, katechizmu *przeciw* komuś.

Podział w Kościele na hierarchię i wiernych nie jest podziałem na dwie mniej czy więcej równorzędne klasy. Jest raczej odbiciem tej szczególnej relacji, jaka zachodzi między formą a materią, duszą a ciałem, Łaską a duszą. Z tym wszystkim jednak rola świeckich bynajmniej nie jest bierna. Kościół jest także ich i oni są również Kościołem, jako rodzaj wybrany, królewskie kapłaństwo, naród święty, lud nabyty, aby głosić potęgę Tego, który z ciemności wezwał nas do przedziwnego światła. (Por. 1 Piotr 2, 9).

Tymczasem w nazbyt policyjnej atmosferze, jaka zapanowała w wieku XVI (a także pod wpływem innych czynników), coraz bardziej ułatwiała się świadomość czynnej roli laików w Kościele, a w raz z tym nie tylko poczucie odpowiedzialności za Kościół i świat, ale zrozumienie obowiązków i przywilejów "obywatelskich" członka Kościoła. Zrozumienie — i korzystanie z nich.

Zresztą nadchodził czas, że bezpieczniej było wołać, jak krakowski biskup Zebrzydowski: "wierz i w kozła, jeśli chcesz, tylko płac mi dziesięcinę", niż, na przykład, zachęcać do częstego przyjmowania Eucharystii. Nic też dziwnego, że w tymże XVI wieku burmistrz Przemyśla zakazał mieszkańcom kontaktów z

klerem, zakonnikami i zakonnicami, z obawy, aby świeccy nie ulegali zepsuciu... Nadchodził czas, gdy zacznie budzić podejrliwość Inkwizycji — religijna gorliwość biskupów (co świadczy, jak rzadkim i osobliwym był wtedy zjawiskiem pobożny hierarcha), kapłanów czy świeckich. Apostoł Rzymu św. Filip Neri ledwo wykaraskał się od zamknięcia go w więzieniu inkwizycyjnym. "Święty Osiół", to jest Józef z Cupertino, jeden z najbardziej uroczych i najgłębiej wzruszających świętych, jacy raczyli chodzić po ziemi, był latami więziony i prześladowany przez Inkwizycję rzymską. Św. Ignacy Loyola wkrótce po swym nawróceniu został uwięziony przez Inkwizycję hiszpańską i postawiony przed sąd pod zarzutem szerzenia "niesłychanych nowości". — "Na Boga! — zawołał. Nawet by mi do głowy nie przyszło, że może być nowością — mówić chrześcijanom o Chrystusie".

Niebezpiecznie było czytać Pismo św. w językach narodowych — jest to czas jakby przerażenia, z powodu Reformacji, słowem Boga do ludzi... A za nauczanie wiedzy religijnej świeckich, aby zgodnie z zaleceniem Apostoła, umieli dawać uzasadnienie tej nadziei, która w nich jest, dobrze spełniający swoje obowiązki kapłan mógł się narażać na nielada tarapaty. W tej epoce kosztowności nauki o rzeczach Bożych, nastawionej na coraz jałowsze spory i niekończące się kontrowersje, coraz mniej sięgającej do źródeł¹⁾ i coraz bardziej stygnącej w wysublimowanych dedukcjach z dedukcyj, konstrukcjach z konstrukcyj, rodzi się osobliwa teologia "żargonowa", slang jurydyczny jakichś pokątnych "doradców prawnych" Trójcy św., prawdziwa sofistyka tricków, chwytów, sposobików (co w wieku XVIII słusznie wyszydzał Krasicki, a w XVI Hozjusz), byle tylko religię ułatwić, uczynić strawną, zwłaszcza dla moźnych tego świata, byle ją niejako usprawiedliwić. Aż na miejsce surowego powietrza nadprzyrodności wkracza rodzaj niemal naturalistycznego psychologizmu, zmieniającego religię na tylko wiarę, a wiarę na nieoświeconą dewocję²⁾. Toteż laicy zaczęli uważać Kościół i religię za wyłączną sprawę kleru, pokorniejsi zaś wyznaczają sobie jedynie rolę przedmiotu rządzenia.

Od końca XIX wieku pod wpływem bardzo różnorodnych czynników zaczyna się zmiana na lepsze, ale mimo rewolucyj Piłusa X, mimo Akcji Katolickiej, daleko jeszcze do tego, aby świeccy sięgnęli po wolność synów Bożych w *swoim* Kościele. Wciąż jeszcze, jak nie tak dawno skarżył się Maritain, "zamierzamy skutkiem ekliwkości i usługowości (...) religii, która zniża

1) A teologia, która traci kontakt ze źródłami, w pierwszym rzędzie z Pismem św., jest tylko — kiepską scholastyką, jak powiedział niedawno (w Londynie) na jednym ze swych odczytów O. J. Daniélou S. J. — Czyż to nie wymowne, że od tej epoki, a jeśli się nie myli — już od pełnego średniowiecza, nie mamy w Kościele ani jednego świętego dogmatyka?

2) "Od głupiej pobożności i świętych o kwaśnej minie, wyzwól nas Panie" — modliła się św. Teresa z Avila.

się do naszego poziomu". I wciąż jeszcze, my świeccy, wykazujemy za mało odwagi i śmiałości, po prostu: charakteru w swoim Kościele. I rzecz najdziwniejsza: jest tak *wbrew* nawoływaniom Papieży.

II.

Z kolei doczekaliśmy bowiem czasów, kiedy Papież, niektórzy hierarchowie i niemały zastęp teologów kroczą w śmiałej awangardzie, gorsząc wlokących się w ogonie zastraszonego katolików. Kiedy za powtarzanie, w złagodzonej formie, wypowiedzi papieskich o kapitalizmie można zostać ogłoszonym za płatnego agenta sowieckiego... Parę lat temu pewien monsignor z Rzymu napisał mi w liście prywatnym, że, niestety, dzisiaj Ojciec św. i biskupi muszą iść na czele w walce także o sprawy tradycyjnie należące do sfery działania katolików świeckich, przez nich trwożliwie hamowani za sutanny, zamiast by sami rwali się do przodu, mitygowani, gdy potrzeba, przez hierarchię.

Miejsce na śmiałą opinię w *samym* Kościele jest także dla świeckich, a nie tylko na trwożliwe, czasami wyrachowane i obłudne "lizanie świętych pokostów", jak to pewien staropolski pisarz nazwał. Nie wszystkie uczynki świętych są święte, powiedział w IV wieku pewien wschodni Doktor i Ojciec Kościoła. I na pewno nie wszystkie czyny, wypowiedzi, a nawet pouczenia Papieża i hierarchów są natchnione i muszą być przyjmowane bez dyskusji jako obowiązujące. Z całą pewnością niektóre z nich, jeśli są tylko wystarczające racje, podlegają swobodnemu osądowi wiernych. Nawet Papieżowi wolno się sprzeciwić "prosto w twarz", gdy jest "godzien naganienia", jak sprzeciwił się Paweł Piotrowi, lub Savonarola Aleksandrowi VI, lub jak musiała się sprzeciwić opinia polska niektórym miejscom słynnego listu obecnego Papieża do Episkopatu Niemiec.

Kiedy Pius XII ogłosił swoich Pięć Warunków Trwałego i Sprawiedliwego Pokoju (wigilia 1939), proszony o komentarz tego przemówienia O. Vincent McNabb odpowiedział publicznie przed wyznaniowo mieszanym audytorium, złożonym z katolików, różnego odłamu protestantów, żydów i ateistów: "I cannot accept them as they stand; they do not include the Christian principle of punishment. People who do evil should be punished": "Nie mogę przyjąć tych punktów, jak zostały ujęte, ponieważ nie zawierają chrześcijańskiej zasady *ukarania* (włownych). Ci, którzy czynią zło, powinni ponieść karę.

Nie potrzeba dodawać, że została tu przypomniana i postawiona czystej krwi zasada tomistyczna. Zarazem jednak — cóż to za krzepiący przykład prawdziwie chrześcijańskiej śmiałości i rzetelnego, katolickiego charakteru. Czy można sobie wyobrazić, aby wielu katolików *ś w i e c k i c h* zdobyło się na to, co wykazał i przez całe życie wykazywał ów pokorny, ascetyczny dominikanin, zmarły w opinii świętości?

Wiadomo, że szczególnie od Benedykta XV (ale już i przedtem; była to na przykład przemożna tęsknota Leona XIII), kołaczę się po Watykanie myśl o pokojowym arbitrażu Stolicy św. Na pewno wielu katolików zgodzi się, że musiało by to przynieść tylko nieszczęścia dla Kościoła, gdyby Papież miał wystąpić w roli arbitra między poważnionymi czy walczącymi stronami. — Jezus nie mieszał się do sporu dwu braci; odsyłał ich do instytucji w tym celu powołanej: do sądu. Nie mieszał się też do spraw politycznych żydowsko-rzymskich. Ale, co też jest rzeczą Kościoła i Papieża, postawił zasady moralne, określające stosunki między ludźmi wobec siebie nawzajem, wobec Boga i względem społeczności. — Na pytanie, czy byłoby dobrze, aby, jak tego pragnął Pius XII, Papież wystąpił jako rozjemca, Ojciec McNabb odpowiedział: "Modłę się do Boga, aby Papież nie był tak nierozważny³⁾", by podejmować się arbitrażu". I wykazywał, jakie niebezpieczeństwa musiałyby wynikać dla Kościoła, gdy miało się stać zadość pragnieniu Stolicy św.

III.

Są to uwagi po przeczytaniu książki prof. O. Haleckiego o działalności pokojowej Piusa XII; niektóre są równocześnie polemiką z pewnymi jej opiniami. Książka nosi tytuł "Eugeniusz Pacelli, Papież Pokoju" ⁴⁾. Od Piusa X poczynając, nie ma Papieża, któremu nie można by było poświęcić książki pod takim właśnie tytułem. Nie wiem, jak jest z innymi, ale Benedykt XV już dawno doczekał się monografii z takim przydomkiem, jakim Piusa XII obdarza prof. Halecki: "Benedict XV, The Pope of Peace", pióra H. E. G. Rope'a (Catholic Book Club). O obecnym Papieżu mamy na ten sam temat bardzo pożyteczną pracę irlandzką Reginalda F. Walker'a C. S. Sp., M. A., którą też prof. Halecki wymienia w swej bibliografii. Są też prace (w bibliografii nie wymienione), jak jezuity Lewisa Watt, E. Quinn'a itd., jeśli ograniczyć się do rzeczy angielskich. Wspominam o tym, gdyż po słowach autora we wstępie, że jego praca jest "pierwszą próbą przestudiowania problemu" — prawdopodobnie należy dodać sobie: w języku polskim. Książkę prof. Haleckiego różni od podobnych opracowań większa obfitość wykorzystanego materiału, jak i to, że zamyka się na roku 1950, gdy tamte prace, mające też często szersze założenia, bo analizę zasad budowy ładu światowego, międzynarodowego, w myśl wskazań papieskich, a nie tylko zasad pokoju, napisane wcześniej, obejmują mniejszy zasób materiału, to jest przemówień, orędzi, encyklik, etc.

3) Użyty przez O. MacNabb przymiotnik "foolish" znaczy także "głupi", "niemądry".

4) Prof. Dr Oskar Halecki: *Eugeniusz Pacelli Papież Pokoju*. Wydawnictwo Hosianum, 1951. (Bez miejsca wydania). Str. 271. Okładkę projektował Aleksander Werner. (Książka jest wydana bardzo starannie pod względem drukarskim i graficznym).

Wobec przewrotnej propagandy sowieckiej, przedstawiającej Papieża jako podżegacza wojennego, a Watykan jako drugi obok Waszyngtonu ośrodek planowania wojen, książka na temat pokojowej akcji Stolicy św., napisana w którymś z języków światowych, jest bardzo pożądana. Że książka prof. Haleckiego, rodu eklezjastycznego "zamówienia społecznego", została wydana po angielsku, stało się bardzo dobrze. Korzyści są wielostronne. Najpierw: zyskuje sprawa propagandy pokojowych intencji Stolicy św. i katolickich zasad ładu społeczno-państwowego tak wśród narodów jak i w świecie. Z drugiej strony znów fakt, że książkę taką napisał Polak o znanym w kołach międzynarodowych nazwisku, musi być miły dla rodaków autora i pozwalać im na nadzieję, że może to mieć pewien dodatni wpływ na sprawy polskie w Watykanie, które tam, tradycyjnie, zapewne, nie stoją najlepiej.

Polski przekład książki prof. Haleckiego, dokonany przez p. A. Mańkowskiego, ukazał się przed kilku tygodniami w Londynie, staraniem, jakby należało wnioskować z wewnętrznej karty tytułowej, "Wydawnictwa Hosianum", nieznanego dotąd szerszej publiczności. Należy powitać z zadowoleniem powstanie jeszcze jednej placówki wydawniczej w okresie posuchy na książkę w języku polskim. Szkoda tylko, że brak jakiegokolwiek informacji, czy jest to pierwsza czy już dalsza publikacja "Wydawnictwa". Nie podano nawet, w którym punkcie kuli ziemskiej "Hosianum" ma swoją siedzibę. Prawdopodobnie, nie jest to troska o zachowanie anonimowości, lecz zwyczajne niedopatrzenie.

W przedmowie do polskiego wydania zwierza się prof. Halecki, że dla historyka "żadna praca nie może być bardziej pociągająca, jak pisanie historii wysiłków pokojowych Eugeniusza Pacelli".

Zdanie to pięknie świadczy o synowskich sentymentach Profesora, ale nie należy go chyba brać dosłownie. Znany powszechnie z kurtuazji historyk daje nam tu przykład gallo-italskiej dbałości o efektywnie brzmiący komplement. Taka "przysada", jak mawiał stary Samuel Twardowski, nie powinna dziwić rodaków autora. — Parę lat przed ostatnią wojną odbywał się w Brukseli kongres z okazji 10-lecia słynnej także z mistrzowskiej reklamy belgijskiej JOC (Jeunesse Ouvrière Chrétienne). Pod adresem twórcy tej organizacji powiedział kard. Verdier, że, nie uprzedzając wyroków przyszłości, jeśli Kościół jeszcze kiedy będzie kreował nowych Doktorów, nie zapomni o Doktorze Społecznym "którym zapewne będzie mianowany, dziś tu wśród nas obecny, ks. kanonik Cardijn". Na zakończenie uroczystości inny kardynał francuski, malujący różne kryzysy, przez które przechodził świat i Kościół w ostatnich 20 wiekach, a wśród nich, najstraszliwszy — kryzys obecny, stwierdził, jako rzecz dla każdego oczywistą, że jeśli ludzkość i Kościół nie zna-

lazły się na samym dnie, sprawił to tylko jeden człowiek: "a jest nim tu obecny ks. Kanonik Cardijn"...

Wszyscy, nie wyłączając ks. Cardijn, mile się uśmiechali, kłacząc z uznaniem i nikomu nie przyszło do głowy traktować tych wypowiedzi inaczej, jak uprzejmej konstrukcji werbalnej. Nikt się też nie gorszył tą więcej niż kanonizacją osoby jeszcze żyjącej. Nikt, z wyjątkiem... dwu obecnych na sali przedstawicieli Polski.

Istnieje bowiem pewien rodzaj oratorstwa, który tylko Polacy traktują ze śmiertelną powagą jako określający rzeczywistość, gdy jego głównym celem jest powiedzenie miłej, gładkiej uprzejmości.

Ta forma grzeczności z okolicznościowych przemówień, lub też stosowana jako tzw. kaznodziejska przesada, pomimo wszystkich swoich zalet, uroków i uprawnień, trochę niepokoi, jeśli wychodzi spod pióra naukowca. Oczywiście, gdy sobie zakłada coś więcej, niż napisanie obszerniejszego propagandowego pamfletu. Działalność Piusa XII jest tak wielostronna i głęboko sięgająca w życie Kościoła (Pacelli jest wyjątkiem w galerii wielkich Papieży, jako, równocześnie Papież "dyplomatyczny" i "religijny"), że z jego Pontyfikatu można wydobyć niemało zagadnień daleko bardziej "pociągających", niż opis jego "wysiłków pokojowych". Właśnie z historii i to z historii Papieży, możemy wyciągnąć wnioski i tutaj: gdy miną aktualne zaburzenia, owe wysiłki, chociaż tak wielkie i różnorodne, pozostaną tylko wspomnieniem, punktem jakiegoś rozdziału... książki, a treścią żywą i żyjącą po Piusie XII będzie, na przykład, przywrócona nauka o Kościele, jako Mistycznym Ciele Chrystusa, będąc liczne akty Maryjne Papieża z ogłoszeniem dogmatu Wniebowzięcia na czele; będzie rozbudzone i coraz rosnące poczucie uniwersalizmu Kościoła; a już na najbliższą przyszłość — świadomość konieczności wielkiej reformy w Kościele samym, czego wyrazem m. in. była zeszłoroczna egzorta do kleru "Menti Nostrae", żądająca odtańczenia rzeczy od prawdziwego kapłana Chrystusa, zeszłoroczna encyklika "Humani generis" w swej części pozytywnej, gdzie Papież wzywa m. in. do rewizji i unowocześnienia metod studium nauk kościelnych, zeszłoroczny kongres zakonów, tegoroczny kongres laikatu...

IV.

Na całość pracy prof. Haleckiego, podzielonej na 3 części składają się 15 rozdziałów nierównej wartości. W części pierwszej, zatytułowanej "Tradycja", w pięciu rozdziałach opisuje autor młode lata Eugeniusza Pacelli, jego środowisko rodzinne, studia po uzyskaniu święceń, znakomitą zaprawę do przyszłych funkcji w Sekretariacie Stanu pod okiem przyszłego kard. Gasparri i wreszcie dyplomatyczną działalność kościelną jako nuncjusza zrazu w Bawarii, a potem w Berlinie, już stolicy Niemiec "de-

mokratycznych" i objęcie w 1929 r. stanowiska Sekretarza Stanu. — Może warto było, wspominając o widmie nadciągającego hitleryzmu, który Pacelli trafnie oceniał, przypomnieć rolę katolickiego Centrum niemieckiego nie tylko w ułatwieniu dojścia do władzy nazizmu, ale utożsamienia się niemal całego narodu z tą, według słów Papieża, "szatańską zarazą". Niemiecka partia katolicka wzięła czynny udział w likwidowaniu moralności międzynarodowej w Europie międzywojennej i tworzeniu atmosfery, w której oklaskiwany Hitler mógł — z dumą — nazywać uroczyste traktaty "świstkami papieru". Obłęd nacjonalizmu, kult "wielkości Narodu", zagłuszył sumienie katolików niemieckich (jak często zagłusza sumienie katolików innych narodów) i kleru oraz onieśmielił prawie cały Episkopat Rzeszy, który nie zdobył się na zbiorowe chrześcijańskie "Non licet", "nie godzi się", wobec swego krwawego reżimu, ograniczając się do sporadycznych protestów w sprawach czysto kościelnych. Natomiast po wojnie ten sam Episkopat i tenże sam kler nie ustaje w propagandzie i protestach czysto politycznych, nadużywając powoływania się na prawa moralne, na prawa Boże (dla celów rewizjonistycznych), gdy przez całe lata milczał o nich w obliczu potwornych i jawnych zbrodni, popełnianych nie tylko na sąsiadach Niemiec, ale i na własnym narodzie. Takiego nieprzytomnego panegiriku na cześć Krzyżaków i krzyżactwa (po t e j wojnie!), na jaki pozwolił sobie w liście pasterskim (!) śp. ks. arcybiskup Gröber, trudno znaleźć nawet u hitlerowskich pisarzy, w publikacjach pisanych "soweit als möglich unter nationalsozialistischen Gesichtspunkten". Porównajmy postawę Episkopatu Niemiec wobec własnego reżimu z postawą naszego Episkopatu wobec reżimu w Polsce! To są niemal dwa różne światy w jednym i tym samym Kościele.

Dobrze jest o tych sprawach przypominać właśnie katolikom, bo nacjonalizm jest siłą złowrogą, zaślepiającą nie tylko Niemców. W każdym kraju katolicy stają przed pogańską pokusą: "Wrong or right — my country".

Wracając jednak do tego, co jest w książce prof. Haleckiego. — Zgodnie z założeniem, którym jest przedstawienie akcji pokojowej Piusa XII, w pierwszych rozdziałach autor zwraca naszą uwagę na liczne elementy doktryny pokojowej Benedykta XV, aby w rozdziałach dalszych części drugiej i trzeciej opisujących działalność Papieża w czasie wojny i po wojnie, mógł sobie czytelnik wyrobić zdanie, co Eugeniusz Pacelli zawdzięcza Jakubowi della Chiesa, a co, na tle tradycyjnej nauki Kościoła, jest jego własnym wkładem w dzieło budowania pokoju dla świata.

Szczególnie interesujące wydają się trzy rozdziały części drugiej (zatytułowanej "Nie pokój lecz miecz"): Pius XII i Roosevelt, "Obrońca Rzymu" i "Krucjata miłosierdzia", oraz trzynasty rozdział części trzeciej ("Nic nie jest stracone przez po-

kój"), pt. "Kościół za żelazną kurtyną". Są pisane żywo, konkretnie, czuje się za nimi człowieka, który reaguje szczerze, naturalnie, któremu się pewne rzeczy jawnie podobają, inne — nie. Autorem wspomnianych trzech rozdziałów, najlepszych w całej książce, jest James F. Murray (Junior), trzynastego zaś — prof. Halecki.

W książce znalazły się pewne potknięcia, które wytłumaczyć sobie można zbyt dużym pośpiechem pisania. Szkoda, że jakieś oko nie spoczęło na maszynopisie przed oddaniem go do druku. Oto parę przykładów:

Na str. 113 Pius XI został nazwany "twórcą Akcji Katolickiej", gdy wiadomo, że jej twórcą jest Pius X ze swoją encykliką "Il fermo proposito" z r. 1905. Na str. 254 czytamy, że Bonifacy VIII ogłosił pierwszy jubileusz"... głównie, by dać wszystkim wiernym jedyną sposobność uzyskania powszechnego odpuszczenia grzechów". — Papież Gaetano był wprawdzie nienadzwyczajnym teologiem, ale jednak wiedział, z całą pewnością, że „jedyną sposobnością" uzyskania odpuszczenia grzechów jest, oprócz żalu doskonałego — spowiedź. Łaski Roku Świętego zaś darowuje k a r y za grzechy już odpuszczone w Sakramencie Pokuty. Na str. 130 znalazły się dość nieszczęśliwie sformułowane dwa zdania, które powinny być zostać przeredagowane. Jedno z nich brzmi: "Papież oczekiwał z niecierpliwością możliwie najszybszej klęski nazistowskiej, by wolne siły świata były jeszcze w stanie przeciwstawić się komunizmowi". Domyślane do końca zdanie to mogłoby znaczyć: — boć przecież mowa o wojnie, gdzie ludzi się zabija, a nie pięści ani rodzi — że Papież (Pokoju!) czekał z niecierpliwością na wycięcie dziesiątek czy setek tysięcy ludzi, aby z kolei mogła nastąpić nowa kośba śmierci!... — Nie to miał chyba na myśli autor, a tym mniej Papież. A drugie zdanie: "Z odmowy Watykanu proklamowania świętej wojny przeciw komunizmowi zdaje się jasno wynikać, iż Stolica Apostolska uważała nazizm za jeszcze większe niebezpieczeństwo dla religii i pokoju, niż komunizm". Pominając już, że nie sposób zgodzić się na to, aby, pomimo swych grymasów, gestów, póż i zbrodni — błazeńsko-wagnerowska dekoracja nacjonal-socjalistyczna miała w ocenie Stolicy św. być groźniejsza dla chrześcijaństwa niż komunizm: — czy autor rzeczywiście sądzi, iż tylko taka i tylko ta przesłanka mogła być powodem odmowy Watykanu na ogłoszenie wojny "świętej" (!)? Że mogłoby też być inaczej, gdyby się był znalazł Watykan w innej sytuacji lub gdy się znajdzie w przyszłości powód "lepiej", Papież do wojny poprowadzi? — Na str. 264 mowa o tym, że encyklika "Humani generis" odparła "szczegółowo doktryny filozoficzne nie dające się pogodzić z wiarą katolicką". Wydaje się, że żadne "doktryny" i zasady filozoficzne, także filozofii chrześcijańskiej, jeśli tylko są dobrą filozofią, a nie kiepską teologią, "nie godzą" się z "wiarą katolicką" ani żadną inną z racji zupełnie różnych natur wiary i

wiedzy; a filozofia, jako sfera tylko rozumu, jest właśnie wiedzą. Żadna rzecz nie może być równocześnie przedmiotem wiary i wiedzy, bo wiedza i wiara się wykluczają. (Bóg jest największym niedowiarkiem: nie wierzy w nic, bo wszystko wie...). Ale nie o to chodzi, lecz o zacieśnienie przez autora treści tej wielkiej encykliki, która oprócz kwestyj filozoficznych, zajmuje się mnóstwem innych rzeczy wielkiej wagi. — Na tej samej i następnej stronie znajduje się nietrafna interpretacja ustępu, odnoszącego się w encyklice do pojęcia o polu dokładnie określonym, to jest do irenizmu, którego nie można dowolnie rozciągać. Jest to zagadnienie (zbliżenia Kościołów) wyraźnie psychologiczno-teologiczne, a nie, jak to autor dowolnie zmienia, społeczno-polityczne. Irenizm, to nie to samo co konkordyzm. Błędnie podawana jest data Unii Brzeskiej itd. etc.

V.

Na zakończenie pragnę się zwierzyć z niepokojącego pytania: Czy jest to książka, która dobrze przysłuży się sprawie Papieża wśród Polaków? Boć chyba co najmniej taki cel musiał przyswiecać wydawcy. Wobec obrzydliwości "Pacis Britannicae", pokoju anglosaskiego, wszyscy mamy zrozumiały uraz do samego słowa: pokój. Słusznie czy nie, słowo to znaczy dla nas: niewola, dalsza męka milionów, l'univers concentrationnaire, zaciągający się na nie wiadomo jak długo, etc. Oczywiście, pokój w pojęciu Papieża, to nie pokój Roosevelta czy Churchilla, ale właśnie książka prof. Haleckiego jest jednym wielkim dowodem, że nie pokój Piusa XII miał szanse zatriumfować w świecie.

Propaganda wrogów Polski, bolszewików i hitlerowców, wspomagana przez ignorancję propagandę na emigracji, doprowadziła do tego, że wielu Polaków — i to nie tylko świeccy! — czuje prawdziwy uraz do osoby obecnego Ojca św. Nie wchodzę w tej chwili w to, czy są raczej już nie do urazu, ale do żalu pod adresem Piusa XII. Jedno jest pewne: nie są wystarczającą odpowiedzią na żal, statystyki i wyliczania, jak się to nieraz robi, ile listów Ojciec św. napisał i ile przemówień wygłosił w sprawie Polski. Jeśli ktoś tylko na tej płaszczyźnie próbuje "obrony", musi się liczyć z jedyną w takich wypadkach reakcją: — oż to za proporcja w stosunku do niszczonego narodu katolickiego?

Sprawę pogarszają naiwni zelanci, głoszący rodzaj uczuciowej religii Papieża, której pierwszym przykazaniem jest, że, rzekomo, każdy Papież, a przede wszystkim każdy aktualnie panujący Papież musi być bezkrywnie kochany rodzajem sentymentalnego "lubienia". Jak wolno mi nie lubić Papieży Conti, Gaetano, Ghislieri (św. Pius V), Pecci, jak wolno lubić Hildebranda, Dedela, Lamberti'ego, Sarto, della Chiesa, tak samo wolno mi lubić albo nie lubić Ratti'ego czy Pacelli'ego.

Ze stanowiska katolickiego można pogodzić żal do Papieża z *rzetelną miłością*, oczywiście nie sentymentalną. Należy tylko rozróżnić co musi być rozróżnione i mieć świadomość, że "żal" nie może w żaden sposób dotykać naszego katolicyzmu. Trzeba *w i e d z i e ć*, że nie jest to żadna przenośnia, iż Papież jest naszym Ojcem, który nas rodzi w Kościele Chrystusowi, że jest sakramentem Chrystusa, Jego znakiem widzialnym i że nauczając, uroczyste, w sprawach wiary i obyczajów, jest Chrystusem, który głosi — Chrystusa.

Potrzeba nam bardzo dobrej książki o Papieżu. Takiej, która by naszemu anarchicznemu sentymentalizmowi i tak nie zachodniemu maksymalizmowi przeciwstawiła mocną prawdę dogmatyczną o roli Papieża. Prawdę, której bohaterem jest Tomasz Morus: Z jednym wyjątkiem — nędzni albo niegodni byli Papieże za jego czasów. A jednak — oddał głowę pod topór z wierności dla decyzji papieskiej przeciw własnemu monarsze.

Jan TOKARSKI

Dzieje „czerwonej schizmy”

Książka Alexandra Weissberg-Cybulskiego*) zajmuje w bogatej literaturze dotyczącej Związku Sowieckiego miejsce wyjątkowe. Cybulski był bowiem autentycznym komunistą partyjnym i jest wykształconym marksistą, a nie salonowym lewicowcem czy snobowatym "fellow-traveller'em". Po drugie, będąc z pochodzenia austriackim Żydem nie ma cienia antyrosyjskiego kompleksu i jego pamiętniki są chemicznie wolne od wszelkiego emocjonalizmu. I wreszcie punkt najważniejszy: Cybulski do końca swego pobytu w Rosji — gdzie ostatnie trzy lata spędził w więzieniu NKWD — patrzy na Rosję oczyma komunisty, zachodniego komunisty.

Autor omawianej książki jest z wykształcenia inżynierem. Jego specjalnością naukową jest fizyka doświadczalna. Przez dłuższy czas był on m. in. asystentem prof. Westphala na berlińskiej politechnice.

Cybulski mając lat 17 wstąpił do austriackiego związku młodzieży socjalistycznej. W r. 1927 opuścił socjalistów i został komunistą. W austriackiej, a później niemieckiej, partii komunistycznej był bardzo czynnym działaczem i zajmował kolejno szereg ważnych stanowisk.

W r. 1931 jako wybitnemu specjalście, Ukraiński Fizyczno-Techniczny Instytut zaproponował Cybulskiemu kierownicze

*) Hexen-Sabbat — Alexander Weissberg-Cybulski, Verlag Der Frankfurter Hefte ... Frankfurt am Mein. Str. 716.

stanowisko. W tym roku Cybulski przeniósł się na stałe do Rosji i osiadł w Charkowie. W r. 1933 rząd sowiecki powierzył mu zaprojektowanie i budowę wielkiego zakładu doświadczalnego dla badań i zastosowań niskich temperatur. W tym okresie założył Cybulski pierwsze w Sowietach naukowe czasopismo fizyczne i został jego naczelnym redaktorem.

Zamordowanie Kirowa i pierwszy pokazowy proces Zinowiewa i Kamieniewa — były wstępem do "Sabatu Czarownic". W marcu 1937 Cybulskiego aresztowano. Niemal w trzy lata później zgodnie z postanowieniami paktu Ribbentrop-Mołotow zostaje wydany z Sowietów i przekazany władzom Gestapo.

Książka Cybulskiego liczy przeszło 700 stron druku. Jest rzeczą zdumiewającą, że na przestrzeni tych 700 stron, nie ma ani jednego zdania o charakterze kontemplacyjnym, religijnym, czy metafizycznym choćby w najogólniejszym tych słów znaczeniu. Nie ma refleksji osobisto-uczuciowych — nie ma zadumy... Czytając ten pamiętnik odnosi się wrażenie, że autor uważa samego siebie wyłącznie za jednego z aktorów tego gigantycznego dramatu socjalnego, w którym w roli oskarżonych wzięło udział około 10 milionów ludzi. Cybulski to nie przypadkowa ofiara rosyjskiej tragedii — to nie człowiek wepchnięty do więzienia, czy wywieziony w konsekwencji "dziejowej zawieruchy". Przeciwnie — wszystko co się dzieje w Sowietach to są jego sprawy — ważne i istotne, którym służył wiernie i z oddaniem przez wiele lat. To są sprawy autorowi najbliższe, których wymiar i napięcie przystoiły całkowicie Cybulskiemu więźniowi, który cierpiał, głodował, był bity i torturowany.

Autor przeszedł przez wszystkie kręgi piekła NKWD. Poznał celę-pojeдинkę całkowicie odciętą od wszystkich i wszystkiego, celę zbiorową, karcer, izolator — aż po celę luksusową w Moskwie, gdzie więźniowie otrzymywali jajka i szynkę na pierwsze śniadanie.

Każde przesłuchiwanie zaczynało się od stereotypowej formułki: Kto was zwerbował do podziemnej organizacji i kogo wy z kolei zwerbowaliście do wywrotowej roboty?

Sędziowie śledczy nie mieli łatwego zadania. Cybulski jest wykształconym i wyszkolonym dialektykiem marksizmu, a jako naukowiec-fizyk nawiązywał do logicznego, ścisłego rozumowania. Toteż jeden z sędziów po kilku godzinach śledztwa obtarł pot z czoła i jęknął: "kiedy nareszcie przestaniecie nas zadreć?"

Z teoretycznego punktu widzenia trudno jest pojąć dlaczego ci ludzie nie mogli się porozumieć. Bo przecież po jednej stronie stołu siedział komunista w służbie NKWD i po drugiej stronie tegoż stołu siedział również partyjny komunista. Wydawać by się mogło, że mimo, iż oskarżenie jest bezpodstawne — to przecież ludzie ci mówią tym samym językiem, wyznają tę samą ideologię, służą tej samej sprawie — nie powinno być przeto ścian niezrozumienia pomiędzy nimi. A jednak, już w czasie pierwszych przesłuchiwań, widzi się tę ścianę, która

rozdziela nie sędziego od oskarżonego, lecz rozgranicza i konfrontuje dwa światy: Wschód przeciw Zachodowi.

Te zasadnicze różnice w pojmowaniu sięgają b. daleko. Dotyczą zarówno rzeczy drobnych i trywialnych jak i finezji duchowych.

Jeden z sędziów śledczych jeszcze w pierwszej fazie przesłuchiwań zgnębiony logiką odpowiedzi oskarżonego wystąpił nagle z takim wykładem: "Wy, — może po prostu nie rozumiecie co my w Sowietach nazywamy nielegalną wywrotową organizacją. Ponieważ nie rozumiecie — wzbraniacie się przyznać, wobec tego ja wam całą rzecz wyjaśnię. W naszym systemie jest całkowicie wykluczone, by mogła istnieć nielegalna, wywrotowa organizacja z prezesem na czele i z kartoteką członków. My dobrze wiemy, że takiej organizacji nie ma. Ale jeżeli jest was trzech kolegów w pokoju i w chwili, gdy wchodzi czwarty kolega, wy nagle zmieniacie temat rozmowy — to was trzech należy do organizacji, a ów czwarty nie. Zrozumieliście?"

Zachodni człowiek, bez względu na to czy jest komunistą, czy baptystą nie może ani pojąć ani przyjąć takiej definicji nielegalnej organizacji.

W pewnym momencie śledztwa, kiedy Cybulski zorientował się już, że NKWD żąda od niego fikcyjnych zeznań — sędzia śledczy zauważył: Przypatrzcie się oskarżonemu w moskiewskich procesach. Większości tych ludzi nie można odmówić ani osobistej odwagi, ani wielkiej siły fizycznej. A jednak i oni ugięli się przed władzą sowiecką i przyznali się do winy. Czy sądzicie, że jesteście od nich mocniejsi?

Cybulski ugiął się pod torturą, ale się nie załamał i nie pokajał, bo nie mógł pojąć "mistyki" tego procesu. Po przesłuchaniu, które prowadziło na zmianę trzech sędziów bez przerwy przez siedem dni i siedem nocy Cybulski załamał się nie duchowo, lecz fizycznie. Odczuwał tak straszliwe bóle w krzyżach i w nogach, że z premedytacją podpisał protokół i przyznał się do winy. Po 24 godzinach, gdy wyspał się i wypoczął — wszystko odwołał jako wymuszone torturami. Za następną kolejną wytrzymał już tylko cztery doby bezustannego śledztwa. Podpisał zeznanie i wypawszy się natychmiast je odwołał. Po trzeciej nieudanej próbie — NKWD dało właściwie za wygraną i do końca niemal pozostawiono go już w spokoju.

Owe przesłuchiwanie poprzedza w pamiętnikach Cybulskiego rozdział literacko najlepiej napisany, którego bohaterem jest młody rosyjski komunista Rożański. Nie ulega wątpliwości, że Rożański był prowokatorem, ale głównym jego zadaniem było przekonać Cybulskiego, że jego postawa psychiczna jako zachodniego kmunisty w odniesieniu do wielkiej czystki jest błędna i niezgodna z doktryną.

Oto zarys filozofii Rożańskiego: Obowiązkiem komunisty jest podpisać zeznanie — choćby fikcyjne — jeżeli tego żąda NKWD, które reprezentuje Związek Sowiecki. Czystka jest

fragmentem walki i obowiązkiem członka partii jest podporządkować się bez sprzeciwu dyrektywom tych, którzy tą walką kierują i za jej wynik ponoszą odpowiedzialność. Jeżeli interes partii wymaga, by komunista przyznał się do fikcyjnych zbrodni — obowiązkiem prawdziwego komunisty jest wypełnić ten rozkaz. Ci, którzy złożyli takie zeznania, złożyli tym samym dowód, że ufają władzy sowieckiej, która jedna tylko ma prawo wyrokować co leży w interesie rewolucji. Jeżeli ktoś wzbrania się wypełnić rozkaz NKWD, wykazuje tym brak zaufania do władzy sowieckiej i jest sabotażystą i wrogiem.

Rożański płonął i głos mu wibrował, gdy starał się nawrócić Cybulskiego. Cybulski jednak nie tracił świadomości, że dotyka progu obłędu i całe jego jestestwo wzdragało się na myśl o przekroczeniu tego progu.

Człowiekowi Zachodu trudno jest pojąć co stanowi istotę tego dziwnego sowieckiego "legalizmu"? Dlaczego NKWD upiera się przy fikcyjnych zeznaniach — w których autentyczność nikt nie wierzy — torturuje jakichś cyganów z prowincjonalnego miasteczka czy małego żydowskiego krawczykę — by wymusić absurdalne zeznania, nikomu nie potrzebne. W rezultacie i tak wszyscy jadą do łagrów. Można w końcu przyjąć, że fałszywe zeznania wybitnych polityków i działaczy jak Zinowiewa czy Radka mogą służyć pewnym celom propagandowym i politycznym, ale jakim jest cel, sens czy korzyść z fikcyjnych zeznań wlejskich cyganów?



We wszystkich ustrojach społecznych — w pewnym sensie we wszystkich ludzkich cywilizacjach — istnieje pewien margines pomiędzy tym w co należy wierzyć, a tym, w co krytyczny człowiek może uwierzyć. Otóż wydaje mi się, że konflikt zachodnich komunistów ze stalinizmem, czyli wschodnią wersją komunizmu — polegał na tym, że dla komunisty zachodniego w ustroju sowieckim istnieje nie margines, lecz przepaść pomiędzy tym w co należy wierzyć, a tym, w co można uwierzyć. Zdolność wierzenia i zdolność bezkrytycznego akceptowania ludzi Wschodu jest niepomniernie większa niż na Zachodzie.

Stalin nie zna i nie rozumie Zachodu. W czystkach zlikwidował tych wszystkich, którzy Zachód znali i mieli jakieś powiązania z Europą. Łatwo sobie wyobrazić, że gdyby na czele rosyjskiego ruchu komunistycznego zamiast Stalina utrzymali się ludzie znający mentalność Zachodu — perspektywa skomunizowania Europy przedstawiałaby się zgoła inaczej. Stalin nie może już liczyć na żadną rewolucję — jedynie na podbój.

Stalinizm jest "sui generis" prawosławiem. Jest schizmą komunistyczną o celach pan-rosyjskich podobnie jak prawosławie jest pan-rosyjskim chrześcijaństwem, oderwanym od rzymskiego uniwersalizmu.

Książka Cybulskiego opisuje dramatyczne dzieje tej "schizmy" — która Rosji dała najpotężniejszą w dziejach tyranię, a komunizmowi na Zachodzie zadała cios śmiertelny.

J. M.

Literatura włoska

Mario Soldati, którego ostatnią książkę pt. "Le Festin du Commandeur" (po włosku: "A cena col commendatore") wydał Plon w kolekcji "Feux Croisés", jest reżyserem. Z książki tej, która składa się z trzech odrębnych opowiadań można by na pewno zrobić trzy doskonałe filmy. Jest to — wydaje mi się — fakt niezaprzeczalny. Książka pisana jest filmowo. Gdyby zapytał mnie ktoś na czym to filmowe ujęcie książki polega, nie wiem czy umiałbym na pytanie to precyzyjnie odpowiedzieć. Tym niemniej mam wrażenie, że można by sprawę tę scharakteryzować najogólniej następująco: jest to duża wizualna plastyczność scen i pewien dosyć specyficzny sposób prowadzenia akcji. Książka Soldatiego jest więc, w pewnym sensie, rzucającym się w oczy przykładem wdzierania się filmu do literatury. Więcej niż to, jej wzrokowego kształtowania się. Książki powstające pod wpływem kina (mógłbym takich przykładów, szczególnie z młodej literatury francuskiej, zacytować wiele) noszą w sobie znamię bardziej reportażowego niż powieściowego ujmowania rzeczywistości. Stanowi to ich nieodłączną i, jakby się zdawało, nieuniknioną właściwość. I otóż, czytając książkę Soldatiego, niespodziewanie przekonałem się, iż tak nie jest i tak może nie być. Zasluga więc opowiadań tego włoskiego autora polega na tym, że przezwyciężony został ciężar i opór narzucających się konsekwencji pewnego sposobu pisania i że przy zachowaniu plastycznej wizualności narracji pisarz ten potrafił urobić literacko materię, wydostając się poza łatwinę reportażowego chwywania zjawisk. To jest chyba jedna z cech jego książki, która sprawia, iż wybija się ona ponad przeciętność. Druga — mój Boże — ma posmaczek dosyć dziwny.

W przedmowie do wydania francuskiego i przy zarysowywaniu sylwetki autora anonimowy przedstawiciel Plonu mówi nam o więzach podziwu i zamykania, które łączą Soldatiego z literaturą angielską. Wymienia on wpływy Stevensona i Henry James'a. Tymczasem gdy czytałem "Le Festin du Commandeur" przypominał mi się nieustannie Wilde. Poza tym, na dalszym planie nieco Anatol France. Sama konstrukcja nowel, sposób przed-

Mario SOLDATI, "Le festin du commandeur", wyd. Librairie "Plon", Paryż, 1951, str. 244, Cena 360 fr.

stawienia i wciągnięcia czytelnika w tło i przebieg wydarzenia, samo przepracowanie materiału nasuwa miłe wspomnienia owe go spokojnego, właściwego tym pisarzom, lekko ironicznego i przeintelektualizowanego dystansu między autorem a opisywaną rzeczywistością. Starszy pan, wyrozumiały i dobrotliwy, który widział wiele już rzeczy w życiu i niejedno nasunęło mu rozbieżne refleksje, opowiada, przepełniony subtelną i jednocześnie natarczywą ciekawością dla psychiki ludzkiej, niektóre ze swych bardziej frapujących doświadczeń. Wydarzenia, które nam komunikuje, widziane z dystansu lat, są beznamietne i mają błąd kolor wypowiedzianej fotografii. Tym niemniej są fotografiami.

Tematyka opowiadań *Soldatego* — to także jakby powiew owych dawnych zainteresowań. Wszystkie trzy opowiadania posiadają ten sam trzon i ten sam zarys ideologiczny, którym jest teza o konieczności utrzymania czasami pewnej fikcji, a nie dążenie do jej zdemaskowania w imię prawdy i logiki. W pierwszej i najlepszej noweli pt. „Maestro” *Soldati* opisuje małego i nieznaczącego członka orkiestry, który, wyrzucony wypadkami wojennymi poza Rzym, podaje się w prowincjonalnym miasteczku za wielkiego dyrygenta orkiestry. Pech chce, że do tego samego miejsca zjeżdża znany dyrygent orkiestry o światowej sławie, ukrywający się przed Niemcami pod przybranym nazwiskiem. Sława międzynarodowa zamiast zdemaskować samozwańca, przybiera wobec niego postawę pokornego szacunku dla geniusza i gra ta, pełna zabawnych paradoksalnych i męczących sytuacji trwać będzie przez trzy miesiące. Potem, gdy po wojnie spotkają się w rzeczywistych już rolach, prawdziwy maestro, po raz drugi, uszanuje jedyne radosne chwile tamtego z okresu, gdy był otoczony uznaniem i podziwem innych. Druga nowela, to znowu utrzymanie fikcji szlachetności i dobroci kogoś, który w rzeczywistości, pełen zakłamania i hipokryzji ukrywa przed opinią najniższy i bezwzględny egoizm oraz zboczenia seksualne. Trzecia, to utrzymanie fikcji miłości.

Myślę, że ta obrona kłamstwa, którego nie demaskuje się w imię uczuć najbardziej ludzkich nie wnosi do literatury nic nowego. Pobrzmiewa w tym wszystkim pocziwy, przedwojenny relatywizm. Z tego punktu widzenia więc powodzenie *Soldatego* tutaj we Francji, ma w sobie posmaczek dosyć dziwny. Odnosi się bowiem wrażenie, że u źródła zjawiska tego tkwi pragnienie ucieczki, ciągłej ucieczki.



Jakże odmienny charakter od książki *Soldatego* posiada inna powieść młodziutkiego autora włoskiego, Carlo Coccioli pt. „Le ciel et la terre”, którą wydał prawie równocześnie także Plon. Coccioli ma zaledwie 30 lat, książka, o której piszę, jest już czwartą z rzędu jego powieścią i co tu dużo mówić, jest ona

Carlo COCCIOLI, *Le ciel et la terre*, wyd. Librairie „Plon”, Paryż, 1951, str. 334, cena 495 fr.

rewelacyjnym odkryciem wielkiego, prawdziwego talentu. Od pierwszej strony chwyta ona czytelnika mocno i nieodparcie i w tym żelaznym uścisku trzymać go będzie do ostatniej chwili. Nie znaczy to wcale, by akcja powieści tej była pochłaniająca, by tworzyła ona na wzór powieści kryminalnej gorączkowe zniecierpliwienie utrudniające oderwanie się od pasjonującego wątku. Wprost odwrotnie, w książce Coccioli akcji jest mało, lub prawie nic, spotykamy się natomiast z długimi stronami męczących rozważań psychologicznych, skomplikowanych dociekań filozoficzno-ideologicznych, trudnych wynurzeń odbiegających od właściwego tematu, a mimo to gwałtowna pasja i atmosfera książki tej sprawia, że wciąga nas ona bez reszty. Powieść poświęcona jest życiu księdza Ardito Piccardi. Już sam fakt, że przez cały czas czytania zastanawiać się będziemy czy chodzi tutaj o postać istniejącą realnie czy też o fikcję stworzoną przez wyobraźnię autora, jest chyba dostatecznie dobitnym dowodem tego, jak dalece Coccioli posiada dar przekonywującego malowania sylwetki. Pierwsze dwie części książki, to albo urywki listów i sprawozdań osób, które zetknęły się z ks. Ardito Piccardi, albo po prostu raporty policji opisujące w sposób beznamietny jakieś wydarzenie, w które ks. Piccardi był zamieszany (np. cudowne uzdrowienie chorego dziecka). Trzecia część, to wspomnienia samego autora dotyczące spotkań jego z ks. Piccardi. Z kart tych, pisanych tak odrębnymi stylami i przez tak odrębnych ludzi (osiągnięcie tej różnorodności widzenia należy zapisać między innymi jako dowód niezaprzeczonego talentu Coccioli), wyrasta przed nami tragiczna, wzruszająca i wspaniała sylwetka ks. Piccardi.

Problematyka postaci tej, to straszliwe kuszenie świętości. Ks. Piccardi od najmłodszych lat czuje w sobie nieodwołalnie konieczność spełnienia misji powierzonej mu przez Boga. Lecz czy przekonanie takie nie jest grzechem, czyż nie jest godnym potępienia przeświadczeniem o swym wyróżnieniu, pychą i zarozumiałością, obelgą dla Boga? On, marna istota, ksiądz Ardito Piccardi czyż godny jest reprezentowania Boga na ziemi? Walka wewnętrzna między potrzebą wykonania pewnego zadania a pokorą wobec Boga i wątpliwościami rośnie na kartach książki w sposób wstrząsający i rozpaczliwy. Ks. Piccardi szukać będzie poniżenia w najskromniejszym stanowisku proboszcza w zapadłym miasteczku w górach, będzie siebie biczował, zadawał cierpienia i jednocześnie na drodze swej spotykać będzie niezaprzeczalne znaki nakazujące mu odegranie roli posłannika sił nadziemskich. Jednocześnie wśród prostego ludu, a potem w sferach intelektualnych całych Włoch wzrastać będzie szmer natarczywy i coraz głośniejszy o jego świętości. A poza tym jest jeszcze obsesja walki z szatanem, wyczuwanie na każdym kroku jego obecności, ból okropny z powodu niedoskonałości ludzi i wszystkich tego co ziemskie. Ksiądz Piccardi szuka rozwiązań bezwzględnych, nienawidzi kompromisu, paktowania ze złem, chce wyciągać wnioski ostateczne, domyślać rzeczy do końca.

I znowu stwarza to konflikty, rozpaczliwą rozterkę wewnętrzną, poczucie przerażającej niewiedzy. Książd Ardito kłęka i jakże często w żarliwym błaganiu zwraca się do Boga o pomoc, wskazówki, wyjaśnienia. Lecz wyjaśnienia te nie nadchodzą. I tak w ciągłym napięciu, w nieustannym narastaniu konfliktów mijają lata. Aż w końcu wypadki wojenne wciągają ks. Piccardi i popchną go do przeciwstawienia się walce partyzantów z Niemcami. Stanowiska ks. Piccardi nie rozumieją ani Niemcy, ani partyzanci. I don Ardito, by ratować czterech młodych chłopców, podejrzanych o zamach bierze winę na siebie i po kilku godzinach przekonywania oficera niemieckiego o swym nieistniejącym przestępstwie zostaje rozstrzelany.

Od pierwszych stron książki wiadomo, że ks. Piccardi zgłębnie męczeńsko, wiadomo, że się poświęci za innych i że śmierci jego towarzyszyć będzie niezrozumienie ludzkie i pogarda. Bieg ks. Ardito ku męczeństwu i poświęceniu jest nieodwołalny. I na tym także polega siła powieści Coccio.

Każdemu, który przeczyta "Le ciel et la terre" nasunie się oczywiście porównanie między książką tą a "La puissance et la gloire" Graham Greena.

Józef URSYN.

«Molloy»

Książka Samuel Becketta, tajemniczego Irlandczyka, ukrywającego się przed publicznością i który na wzór Julien Greena pisze swe rzeczy po francusku, jest wizją. Książka ta nazywa się "Molloy" i wydana została przez Editions de Minuit. Lektura "Molloy" jest męcząca, nieciepliwą i wymaga nielada wytrwałości, by dobrać do końca tego niedużego tomiku. Tym niemniej trzeba przyznać, że mimo wszystkich zastrzeżeń, rzadko zetkniemy się z wizją równie kompletną, konsekwentną, wytrzymaną od pierwszej strony do ostatniej w tym samym tonie. Jest to osiągnięcie, na które pozwolić sobie może tylko ktoś o umiejętności myślenia niezmiernie precyzyjnej i logicznej. Wizja rzeczywistości, którą rysuje nam Beckett jest poza tym oryginalna i na pewno nie należy do tych najłatwiejszych.

Chodzi tutaj o wspomnienia, czy raczej wynurzenia spisane w formie powracających bezładnie fragmentów przeżyć, które opowiada nam na wpół obłąkany, wyrzucony poza nawias społeczeństwa, kaleka, żebrak, włóczęga. Wszystko co widzi on, dostrzega, stara się zrozumieć czy też skojarzyć, to tylko ja-

Samuel BECKETT, *Molloy*, Editions de Minuit, Paryż, 1951, str. 272.

kieś urywki naszej rzeczywistości, jakieś drobne wycinki, które wyodrębnione, wydobyte na wierzch i oddzielone od całości tworzą niesamowity pochod irracjonalnych widm, jakiś pół-obłądny łańcuch do połowy zrozumiałych wydarzeń i zjawisk. Rzeczywistość, która przełamuje się w starczyń mózgu kaleki bez nóg, który całe życie swe spędził na śmietniskach szukając w nich resztek pożywienia, który o kulach przewędrował z jednego miasta do drugiego, nie wiedząc nawet jak się ono nazywa, który przespał połowę swego istnienia zapadając w jakieś długotrwałe letargi, który żyje poza czasem i przestrzenią — rzeczywistość ta, zdeformowana do maksimum, ma jednak w sobie siłę niezaprzeczalną i przekonującą. W obliczu jej czyż można mówić o prawach i obowiązkach moralnych, o właściwych czy niewłaściwych metodach postępowania, o wspólnych kryteriach szeregujących uczynki w imię prawdy ogólnej czy ideału. Rzeczywistość starca Molloya wymyka się tym wskazówkom i szlachetnym nakazom moralnym. W świecie Molloya wszystko to, co przyzwyczailiśmy się potępiać: kradzież, znęcanie się nad słabszymi, wybryki seksualne, kazirodztwo wydaje się nieomal naturalne i dopuszczalne. Bo rzeczywistość tego zwariowanego starca, rzeczywistość wstrętne i odrażająca jest tak inna, ma tak odrębne prawa, jest tak swoista. I wydaje mi się, że zasługa książki Becketta, którą publiczność francuska przyjęła z zainteresowaniem, polega przede wszystkim na tym, że autor umiał przekonać nas o możliwości realnego istnienia świata tak odrębnego i o tak odmiennych wymiarach, jak świat Molloya. Czytając książkę tę będziemy zżymać się, oburzać, gniewać, niecierpliwieć. Ale w realne istnienie tego zamkniętego w sobie, wściekłego, żyjącego o b o k wszystkiego kaleki-żebraka — uwierzmy. I to wzbogacenie nas o tę, jakże smutną, nieprzyjemną, poniżającą wizję świata, jest zasługą talentu Samuel Becketta.

Józef URSYN.

Przyszłość sowieckiej Azji

Zagadnienie przyszłości rosyjskiej Azji jest jednym z najbardziej kluczowych problemów naszych czasów. Jeśli ta część świata zostanie odpowiednio rozbudowana przez Moskwę, wówczas sprawdzić się może przepowiednia Machindera, iż dzierżący w swym rękach *heartland* (obszary między Wołgą i Jenisiejem) stanie się panem *World Island* (Starego świata), ten zaś kto opa-

Leprince-Ringuet Félix. *L'avenir de l'Asie Russe*. Flammarion, 1951, str. 244.

nuje *World Island* z czasem zyska władzę nad całym światem. Ze zrozumiałym więc zainteresowaniem bierzemy do ręki książkę Feliksa Leprince-Ringuet'a o przyszłości sowieckiej Azji, by znaleźć w niej odpowiedź na zagadkę Eurazji i świata.

Spotka nas jednak rozczarowanie. Jest to raczej skromny podręcznik geografii gospodarczej rosyjskiej Azji, omawiający w krótkich i zwężonych rozdziałkach geologię, tektonikę, fizjografię, klimat, poszczególne strefy geograficzne (tundra, tajga, stepy, itp.), poprzedzone krótkim zarysem historii Rosji i schematem jej obecnego ustroju. Główny jednak nacisk kładzie autor na sprawy gospodarcze: rozmieszczenie surowców, rozwój przemysłu i jego produkcję, możliwości wyzyskania energii wodnej, rolnictwo, komunikację, rozbudowę nowych miast i wsi, budżet państwowy i handel zagraniczny. Wartość pracy podnosi fakt, iż autor jest znawcą życia gospodarczego, jako inspektor generalny kopalń we Francji.

Dane statystyczne są dość aktualne i sięgają nawet do tak tajonych dziedzin gospodarczych Rosji, jak produkcja rudy uranowej. W tym miejscu jednak autor nie ustrzegł się pewnych naiwności, charakterystycznych dla większości zachodnich badaczy Rosji. Nazwę Atomgradu cytuje bez zastrzeżeń, jako ośrodek istniejący na mapie. Trudno jednak przypuścić, by Sowiety mogły nadać ośrodkowi wydobywania uranu lub produkcji bomb atomowych tak dekonspirującą nazwę i skierować nań uwagę Zachodu.

W końcowych rozdziałach autor odrywa się od bliskich sobie zagadnień gospodarczych i porusza problemy ludnościowe omawianego obszaru oraz rolę rosyjskiej Azji na kontynencie azjatyckim. Przytacza, że ludność obszarów azjatyckich Rosji w r. 1912 liczyła około 29 milionów, zaś w r. 1938 — ponad 46 milionów i podkreśla daleko szybszy rozwój ludności Syberii i rosyjskiej Azji w porównaniu do europejskiej części kraju (12% i 30%). Akcentuje przewagę młodych roczników nad starszymi w porównaniu do stosunków zachodnich, wewnętrzne procesy emigracyjne, związane m. in. z walką z kulakami i deportacjami itp. Poruszając zagadnienia narodowościowe zalicza słusznie do ludów tureckich Kazachów, Uzbeków, Turkmenów, Azerbejdżanów, itd. i podkreśla, że gros ludności autochtonicznej — nierosyjskiej — to ludy muzułmańskie. Błędnie jednak zalicza do muzułman mongolskich Kałmuków (żyjących nad dolną Wołgą), jedynych buddystów w Europie. Niesłusznie również jest akcentowanie pewnych, rzekomo dodatnich a w istocie przejściowych i taktycznych, walorów sowieckiej polityki narodowościowej, jak np. uprzewilejowanie duchowieństwa muzułmańskiego w porównaniu do innych wyznań. O ile autor niezupełnie jest zorientowany w polityce narodowościowej ZSSR, to jednak nie ulega żadnym złudzeniom co do charakteru i istoty pracy przymusowej w Sowietach. Cytuje obszernie wspomnienia E. Lipper, Niemki zamężnej za Szwajcarem, która jedenaście lat przeżyła w sowieckich

obozach pracy (według "Onze ans dans les bagnes soviétiques"). Liczbę zesłańców w Rosji ocenia na około 12 milionów; w systemie pracy przymusowej widzi bardzo ważny czynnik w całokształcie sowieckiego systemu gospodarczego. Na tle tych ostatnich wypowiedzi uwydatnia się umiarkowany i bierny stosunek autora do okrutnej rzeczywistości sowieckiej. Niechęć jego do komunistycznego reżimu jest wyraźna, jednak pełna rezerwy. Nie cytuje wielu powszechnie znanych i najlepszych źródeł a zatrzymuje się częstokroć nad najbardziej hałaśliwymi epizodami, jak np. proces Krawczyński w Paryżu. Ogólnie biorąc — przecenia dodatnie walory i niedocenia ujemnych.

W końcowym rozdziale autor porusza znaczenie wschodnich prowincji państwa, jako źródła niewyczerpanych rezerw, bronionych przez olbrzymie przestrzenie, jak również rolę tych obszarów w oddziaływaniu na sąsiednie, zacofane ludy Azji. W kilkunastu zdaniach omawia stosunki rosyjsko-tureckie i rosyjsko-perskie, boleje nad chęcią aneksji przez Sowiety tureckich prowincji Kars i Ardahan w r. 1945, lecz zapomina o sowieckich pretensjach pod adresem Cieńnin. Również krótko załatwia się z problemem stosunków rosyjsko-afgańskich, natomiast więcej miejsca poświęca prowincji Sing-Kiang (Wschodni Turkestan) i Tybetowi. W odniesieniu do Sing-Kiang i Mandżurii autor interesuje się przede wszystkim ich bogactwami kopalnianymi. Książkę kończy szeregiem podstawowych wiadomości o północnej Korei, Japonii i Chinach.

Jedną z niewielu nutek głębszej analizy jest stwierdzenie, iż sowiecką działalność w całej Azji ułatwia azjatycki charakter instytucji socjalno-politycznych Sowietów. We wnioskach wraca przede wszystkim do zagadnień gospodarczych i geograficznych i z lotu ptaka oceniając całość problemu rzeczywistości rosyjskiej Azji widzi nowe, powstałe tam, liczne kadry i rozbudowany ciężki przemysł. Lecz wszystkie te zdobycze nie idą w parze z odpowiednim poziomem produkcji. Jednak pomimo wielu braków — azjatycka Rosja jest ważnym i istotnym elementem zarówno w życiu gospodarczym Rosji, jak też w sowieckiej akcji politycznej w całej Azji.

Jakkolwiek nie znajdujemy w książce głębszych ujęć i rzutów myślowych typu Bowman'a czy Machinder'a, ani kultury politycznej, jaka cechuje D. Dallin'a, tym niemniej bogaty materiał informacyjny, dobrze i logicznie ułożony, czyni z niej korzystne vade mecum dla osób interesujących się Rosją Sowiecką.

W. BĄCZKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

HERLING (G.). *A world apart*. Str. 262. (Ed. Heineman, Londyn, 1951, cena 16 sh.). Tłum. z polskiego Joseph Marek.

STYPUŁKOWSKI (Z.). *W zawirusze dziejowej*. Str. 496. (Nakł. Gryf Publications, Ltd. Londyn, 1951).

CHAPMAN (F. S.). *La jungle est neutre*. Pp. 407. (Ed. Du Seuil, Paris, 1951).

BOURDET (C.). *Le Schisme Yougoslave*. Pp. 124. (Ed. De Minuit, Paris, 1950).

Les événements survenus en France de 1933 à 1945. Témoignages et documents recueillis par la Commission d'enquête parlementaire. Tome I^{er}. Pp. 286. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, frs. 400).

Les événements survenus en France de 1933 à 1945. Rapport de M. Charles Serre, Député au nom de la Commission d'enquête parlementaire. Tome I^{er}. Pp. 167. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris).

WOLFE (B.D.). *La jeunesse de Lénine*. Pp. 280. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, 390 fr.).

WOLFE (B.D.). *Lénine et Trotsky*. Pp. 388. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, 540 fr.).

WOLFE (B.D.). *Lénine, Trotsky et Staline*. Pp. 400. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, 540 fr.).

BECK (J., Col.). *Dernier rapport. Politique polonaise 1926-1939*. Pp. 362. (Ed. de la Baconnière, Neuchâtel, 1951).

MENDE (T.). *La révolte de l'Asie*. Pp. 127. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1951, frs. 120).

BEAMISH (T.), mjr., M.C., M.P. *Must night fall?* Str. 292. (Ed. Hollis and Carter, Ltd., London, 1950, cena 12 sh. 6 d.).

LITERATURA

MERTON (T.). *La nuit privée d'étoiles*. Pp. 392. (Ed. Albin Michel, Paris, 1951, 780 frs.).

SAINT PIERRE de (M.). *La mer à boire*. Pp. 324. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, 490 frs.).

BONNET (T.). *Moineau de la Tamise*. Pp. 320. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, frs. 570).

BECKETT (S.). *Molloy*. Pp. 272. (Ed. de Minuit, Paris, 1951).

HARRISON (Yale Ch.). *Personne n'est Dupe*. Pp. 336. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, 540 fr.).

LANGGAESSER (E.). *Le sceau indélébile*. Pp. 524. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951, 750 fr.).

ZWEIG (S.). *Souvenirs et rencontres*. Pp. 268. (Ed. Grasset, Paris, 1951, 390 fr.).

GREENE (G.). *La fin d'une liaison*. Pp. 279. (Ed. Robert Lafont, Paris, 1951).

MALRAUX (A.). *La tentation de l'Occident*. Pp. 217. Reimpression. (Ed. Grasset, Paris, 1951, 300 fr.).

PEYREFITTE (R.). *Les ambassades*. Pp. 325. (Ed. Flammarion, Paris, 1951, 520 fr.).

CAYROL (J.). *Lazare parmi nous*. Pp. 106. (Ed. Du Seuil, Paris, 1950).

ZAGADNIENIA SPOŁ.

FOURASTIE (J.). *Machinisme et bien-être*. Pp. 252. (Ed. De Minuit, Paris, 1951).

WEIL (S.). *La condition ouvrière*. Pp. 273. (Ed. Gallimard, Paris, 1951, fr. 500).

WEIL (S.). *Cahiers*. (T. I.). Pp. 244. (Ed. Grasset, Paris, 1951, 540 fr.).

WSZELAKI (J.). *The rise of industrial Middle Europe*. Str. 123-134. (Przedruk z "Foreign Affairs", październik 1951, New York).

POEZJA

PELC (Wł.). *Lato miłościwe*. Poezje. Str. 46. (Wyd. Florenckiej Oficyny Tyszkiewiczów, 1951).

PRZYŁUSKI (B.). *Akord*. Poezje. Str. 32 plus 3 linoryty Al. Wagniera. (Wyd. Oficyny Poetów i Malarzy, Mabledon Park, Tonbridge, Kent, England, 1951).

RÓŻNE

HAŁECKI (O.). *Eugeniusz Pacelli papież pokoju*. Str. 267. (Wydawnictwo Hosianum, Londyn, 1951).

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1951

Spis autorów

ARÓZARENA Marcelino, ARSENIĘWA Natalia, AV — BABIŃSKI Witold, BAHDANOWICZ Maksim, BARAŃSKI Jan, BĄCZKOWSKI Włodzimerz, BERNIER Jean, BIELATOWICZ Jan, BIEŃKOWSKA Danuta, BOBKOWSKI Andrzej, BOCHENSKI I.M., O.P., BORZĘCKI L. M., BREGMAN Aleksander, BRZÓSKA Konstanty — CHADYKA Władzimer, CH. L., CHOMEŃCKI Jan, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Emeryk, Cz. J., CZAPSKI Józef, CZUCHNOWSKI Marian — DITTMAR Jerzy, DOŁĘGA Włodzimerz, DROBŃIAK Tadeusz, DUDZICKI Władzimer, DZIEWANOWSKI M.K. — ERKA, E.S. — FALK Wanda — GAMM A., GIERTYCH Jędrzej, GLINKA Xawery, GODZIŃSKI Konrad, GOMBROWICZ Witold, GONCZYŃSKI Franciszek, GRYZIEWICZ Stanisław, GUILLÉN Nicolas — HAŁEVY Daniel, HAUPT Zygmunt, HENIJSZ Łarysa, HERTZ Aleksander, HOFMAN Jakub, HOLCMAN Jan, HOSTOWIEC Paweł — IWANIUK Wacław — JARECKI Z., JASIEŃCZYK Janusz, J. B., J. M. — KAJ, KAMIŃSKI J., KANIEWSKI-ZBIK W., KARBOWSKA J., KAWAŁKOWSKI Aleksander, KĘDZIERSKI Jerzy Z., KOBRZYŃSKI Bolesław, KOESTLER Arthur, KOLAŚ Jakub, KONASZEWICZ Bogdan, KORCZYŃSKI Aleksander, KOSTRZYŃSKI Witold, KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław, KOŚCIAŁKOWSKI-ZYNDRA Wacław, KOWALEWSKI Janusz, KOWALEWSKI-DOŁĘGA Jerzy, «KRET», KRZEPISZ Kazimierz, KUPAŁA Janko — LANGROD Jerzy Stefan, LAZITCH Branko, LERSKI Jerzy, LÉVÉQUE Marceli, ks., LIBRACH Jan, LONDYŃCZYK, LUBODZIECKI Stanisław, LURCZYŃSKI Mieczysław — ŁOBODOWSKI Józef, ŁYSINA Jerzy — MACKIEWICZ Józef, MAŁECKI Ł., MAŁECKI Zbigniew, MALINOWSKI-POBÓG Władysław, MATOS Luis Palés, MEYSZTOWICZ Walery, ks., MICHAŁOWSKI-SKARBEK Janusz, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MIRZWIŃSKI Henryk, MORA FERRATER José, MORDEGA Cyryl — N.N., NOWAKOWSKI Tadeusz — OBERLAENDER Theodor, OSTROWSKI Wiktor — PALESTER

Roman, PEDROSO Regino, PIĄTKOWSKI Henryk, POGONOWSKI Leszek, PONIATOWSKI Józef, PONIŃSKI Alfred, PSTROKOŃSKI Stanisław — RACZYŃSKI Edward, RADOSTOWA Andrzej, REMIZOW A.M., RODITI Edouard, ROMER Tadeusz — SAŁAWIEJ Aleś, «SANDACZ», SIADNOW Masiej, «SIWY», SKŁADKOWSKI-SŁAWOJ Felicjan, SOBOLEWSKI Tadeusz, SOKOLNICKI Michał, SOLSKI Wacław, SOŁOWIJ Tadeusz, SOUCZKOWA Milada, STACHIEWICZ Wacław, STARZYK Bolesław, STEFANEK E., STROŃSKI Stanisław, STRZAŁKOWSKA Maria, SULMIRSKI T., S.V., SZERECH Jurij, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz, SZYMUSIAK J.M., Ks., SZYSZKOWSKI Wacław — ŚWIECICKA J.A. — TALLET José Zacharias, TANK Maksim, TARNAWSKI Wit, TERLECKI Tymon, TOKARSKI Jan, TOROSIEWICZ J., T.S. — ULATOWSKI Jan, URSYN Józef — VALDÉS Idefonso Pereda, VINCENZ Stanisław — WAŃKOWICZ Melchior, WASILEWSKI Tadeusz, WASUNG Aleksander, W.A.Z., WEINTRAUB Wiktor, WINCZAKIEWICZ Jan, WITTLIN Józef, W.K., WODZIŃSKI Cyryl, WSZELAKI Jan — Z., ZALESKI Wojciech, ZAMORSKI Kazimierz, ZAREMBA Zygmunt, ZAST., ZB., ZBYSZEWSKI W.A., Z.K. — ŻAGIELL E., ŻYLIŃSKI Wiesław, ŻYŁKA Władzimer.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *Rosja i Azja* (2/40-3/41).
— *Współczesny świat arabski* (7/45-8/46).
BOBKOWSKI Andrzej: *Pytania dzikich ludzi* (12/50).
BOCHEŃSKI I.M., O.P.: *Biblia i brewiarz* (1/39).
— *Zarys Manifestu Demokratycznego* (9/47).
BREGMAN Aleksander: *Ernest Bevin a wolność Polski* (6/44).
CZAPSKA Maria: *Rozważania hamburskie* (1/39).
CZAPSKI Józef: *W Berlinie o Zjednoczonej Europie* (9/47).
GRYZIEWICZ Stanisław: *Ewolucja systemu agrarnego w Sowietach* (10/48).
HOSTOWIEC Paweł: *List do Redaktora* (2/40-3/41).
J.M.: *Deklaracja w Filadelfii* (4/42).
— *Revolucja przemysłowa w Europie Środkowo-Wschodniej* (11/49).
KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Kapitulacja czy wyzwolenie* (5/43).
KONASZEWICZ Bogdan: *List z Niemiec* (5/43).
— *List z Niemiec* (10/48).
— (tłumacz) ob. Oberlaender (2/40-3/41).
LIBRACH Jan: *Stosunki amerykańsko-rosyjskie* (5/43).
ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Szerech (1/39).
MAŁECKI Ł.: *Rzecz idzie o Europę* (4/42).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Czarne słowa* — *List z Wyspy* (6/44).
— *Epoka komitetów* — *List z Wyspy* (1/39).

— *Geografia poglądów* — *List z Wyspy* (5/43).
— *List z Wyspy* (2/40-3/41).
— *List z Wyspy* (4/42).
— *Nazajutrz po zwycięstwie* — *List z Wyspy* (12/50).
— *O międzynarodową brygadę europejską* (11/49).
— *Polska Partia Liberalna* — *List z Wyspy* (10/48).
— *Psychologia przelotu* — *List z Wyspy* (9/47).
— *Sprawa Miłosza* — *List z Wyspy* (7/45-8/46).
MIŁOSZ Czesław: *Odpowiedź* (7/45-8/46).
OBERLAENDER Theodor: *Cele Europy*, przeł. Bogdan Konasze-
wicz (2/40-3/41).
SOKOLNICKI Michał: *O wielkich błędach ostatniej wojny* (5/43).
SZERECH Jurij: *Młodzież czwartego Charkowa*, przeł. Józef Ło-
bodowski (1/39).
T.S.: *Z notatnika* (1/39).
ZAREMBA Zygmunt: *Wobec nowego uchodźcy* (7/45-8/46).
ŻYLIŃSKI Wiesław: *Likwidacja Unii Kościelnej* (6/44).

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

CZAPSKI Józef: «*Montagnes Russes*» (10/48).
GOMBROWICZ Witold: *Przeciw poetom* (10/48).
HOLCMAN Jan: *Juilliard* (2/40-3/41).
HOSTOWIEC Paweł: *Dziennik podróży do Niemiec* (9/47).
HERTZ Aleksander: *Teatr w Ameryce* (7/45-8/46).
JASIEŃCZYK Janusz: *Głos pisarza* (4/42).
ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Mora Ferrater (4/42, 7/45-8/46).
MAŁECKI Zbigniew: *Książka na Kongresie Wiedeńskim* (15/48).
MEYSZTOWICZ Walery, ks.: *Przedłużamy historię Polski* (1/39).
MIŁOSZ Czesław: *Ketman* (7/45-8/46).
— *Poezja i dialektyka* (6/44).
— (tłumacz) ob. Souczkowa (7/45-8/46).
MORA FERRATER José: *Filozofia, niepokój i odnowienie*, przeł. Józef Łobodowski (4/42).
— *Wittgenstein — geniusz niszczyielski*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
PALESTER Roman: *Konflikt Marsjasza* (7/45-8/46).
— *Uwagi o muzyce czyli «Pazylogia» i «Współczesny Apollo»* (12/50).
RODITI Edouard: *Listy ze Skandynawii*, przeł. W.A. Zbyszewski (6/44).
SOUCZKOWA Milada: *Kryzys literatury czeskiej*, przeł. Czesław Miłosz (7/45-8/46).
SULMIRSKI Tadeusz: *Z dziedziny zagadnień etnicznych* (4/42).
TARNAWSKI Wit: *Krytyka literacka na emigracji* (5/43).

- TERLECKI Tymon: *Widz i aktor* (1/39).
 VINCENZ Stanisław: *Rocznice Gandhiego* (9/47, 10/48, 11/49).
 WITTLIN Józef: *Apologia Gombrowicza* (7/45-8/46).
 ZBYSZEWSKI W.A. (tłumacz) ob. Roditi (6/44).

Nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BOBKOWSKI Andrzej: *Coco de Oro* (2/40-3/41).
 CZAPSKI Józef: *«It is our custom»* (1/39).
 GOMBROWICZ Witold: *Trans-Atlantyk* (5/43, 6/44).
 HOSTOWIEC Paweł: *Dzieci Warszawy w początkach XX-go wieku* (4/42).
 — *Wronia i Sienna* (5/43).
 KOESTLER Arthur: *«Szkoła serca»*, przeł. Czesław Miłosz (9/47).
 KOWALEWSKI-DOŁĘGA Jerzy: *Pierwsi polscy łagiernicy* (12/50).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Remizow (10/48).
 MACKIEWICZ Józef: *Ballada o nowym sterniku* (6/44).
 MIŁOSZ Czesław (tłumacz) ob. Koestler (9/47).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Piknik Wolności* (11/49).
 REMIZOW A.M.: *Na katordze*, przeł. Józef Łobodowski (10/48).
 — *Szczurza porcja*, przeł. Józef Łobodowski (10/48).
 ROMER Tadeusz: *Sen o wojnie i pokoju* (4/42).
 SOLSKI Wacław: *U murzyńskiego boga* (4/42).
 VINCENZ Stanisław: *Syrojidy* (12/50).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Stephan Aubac* (6/44).

Utwory poetyckie

- AROSARENA Marcelino: *Caridad*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 ARSENIĘWA Natalia: *Śpiewak*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Żyję*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 BAHDANOWICZ Maksim: *Maksym i Magdalena*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Pieśń emigrancka*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Pogoń*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 BIEŃKOWSKA Danuta: *Modlitwa* (11/49).
 CHADYKA Władzimer: **, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).*
 CZUCHNOWSKI Marian: *Pola minowe* (4/42).
 DUDZICKI Władzimer: *Oda*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 GUILLÉN Nicolas: *Ballada o dwóch przodkach*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).

- *Ballada o upiorze*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Murzyński śpiew*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Nadejście*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Pieśń na bęben*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 HAUPT Zygmunt: *Szpica* (7/45-8/46).
 HENIJUSZ Łarysa: *Do nieżelanego*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 IWANIUK Wacław: *Gorycze nocy* (6/44).
 JARECKI Z.: *Wieża z kości słoniowej* (4/42).
 KOBRZYŃSKI Bolesław: *Tintern Abbey* (4/42).
 KOŁAS Jakub: *Symon Muzyka*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 KUPAŁA Janko: **, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).*
 LURCZYŃSKI Mieczysław: *Ulica Piwna* (4/42).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Nie urodziłem się dla bitew* (2/40-3/41).
 — *Pieśń o Burzy* (2/40-3/41).
 — *Rozmowa nocna* (11/49).
 — (przekłady) *Antologia poezji białoruskiej*, ob.: Arseniewa, Bahdanowicz, Chadyka, Dudzicki, Henijusz, Kołas, Kupała, Saławiej, Siadnow, Tank, Żyłka (7/45-8/46); *Antologia poezji murzyńskiej*, ob.: Arozarena, Guillén, Matos, Pedroso, Tallet, Valdés (9/47).
 MATOS Luis Palés: *Bombo*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Niam-Niam*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 MIŁOSZ Czesław: *Do Jonathana Swifta* (5/43).
 — *Do T. Różewicza poety* (5/43).
 — *Mdło bzykający* (5/43).
 — *Poeta* (5/43).
 — *«Toast»* (fragment poematu) (5/43).
 MIRZWIŃSKI Henryk: *Muszcza* (4/42).
 PEDROSO Regino: *Brat Murzyn*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 SIADNOW Masiej: *Ocean*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 SAŁAWIEJ Ateś: *Kruk*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Sonet*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 TALLET José Zacharias: *Rumba*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 TANK Maksim: *Kamienie*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Rubikon*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 VALDES Ildefonso Pereda: *Murzyńska gitara*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 ŻYŁKA Władzimer: *Naśladowanie Horacego*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
- ### Najnowsza historia Polski
- BARAŃSKI Jan: *Jeszcze o «Komitecie siedmiu»* (5/43).
 ERKA: *Ostatni rozkaz marszałka Śmigłego* (5/43).
 HOFFMAN Jakub: *Dzieje «Rocznika Wołyńskiego»* (11/49).

- MALINOWSKI-POBÓG Władysław: *Ostatnie chwile marszałka Smigłego* (12/50).
 — *O układzie polsko-rosyjskim z 30.VII.1941* (4/42).
 SKŁADKOWSKI-SŁAWOJ Felicjan: *Opowieści administracyjne czyli pamiętnik niebohaterski* (7/45-8/46, 9/47).
 STACHIEWICZ Wacław: *«L'Offensive pour la Pologne»* (2/40-3/41).
 — *Niemcy o «L'Offensive pour la Pologne»* (4/42).
 STARZYK Bolesław: *Jeszcze o konspiracji na Wołyniu* (2/40-3/41).
 STROŃSKI Stanisław: *O układzie polsko-rosyjskim z 30.VII.1941* (4/42).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- AV.: *Europejska «Humanitas»* (5/43).
 BERNIER Jean: *Rzeczywistość rosyjska w oczach Ciligi*, przeł. Zofia Hertz (2/40-3/41).
 BIELATOWICZ Jan: *To nieprawda, Grzesiu!* (4/42).
 CH. L.: *O «Pamiętnikach» Serge'a* (9/47).
 CZAPSKI Emeryk: *Perfidny Albion* (5/43).
 DZIEWANOWSKI M. K.: *Ideologie europejskie* (9/47).
 GLINKA Xawery: *Carton de Wiart a polskie kompleksy* (2/40-3/41).
 HERTZ Zofia: (tłumacz) ob. Bernier (2/40-3/41).
 J. M.: *Książki niemieckie* (2/40-3/41).
 KAJ: *Botteghe Oscure* (7/45-8/46).
 — *Torricola* (4/42).
 KOSTRZYŃSKI Witold: *Wschodnie Niemcy o Polsce* (11/47).
 KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław: *Alma Mater Vilnensis* (10/48).
 LAZITCH Branko: *«Wojny seryjne» R. Arona*, przeł. W.A. Zbyszewski (11/49).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Ogród Getsemański* (1/39).
 MIŁOSZ Czesław (tłumacz) ob. Roditi (4/42) i N. N. (12/50).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/39, 2/40-3/41, 4/42, 5/43, 7/45-8/46, 9/47, 10/48).
 N.N.: *Stalin i nowa koncepcja historii Rzymu* (12/50), przeł. Czesław Miłosz.
 PIĄTKOWSKI Henryk: *Brygada Karpacka* (9/47).
 RODITI Edouard: *Amerykański poeta kontemplacyjny*, przeł. Czesław Miłosz (4/42).
 — *Czyścić i piekło polityki*, przeł. Józef Ursyn (2/40-3/41).
 SOKOLNICKI Michał: *Polska w papierach Hopkinsa* (6/44).
 — *Z wysokiego posterunku* (1/39).
 TARNAWSKI Wit.: *Podsumowanie «Obrachunku Włodarzy»* (9-47).
 — *«Walter 7.65»* (12/50).
 TOKARSKI Jan: *Kościół walczący* (7/45-8/46).
 TOROSIEWICZ J.: *Dialektologia i lingwistyka* (7/45-8/46).

- ULATOWSKI Jan: *Powojenna prasa francuska* (2/40-3/41).
 URSYN Józef: *«Bureau des mariages»* (11/49).
 — *Powojenna powieść niemiecka* (4/42).
 — *Prasa w literaturze* (6/44).
 — *Rekord zbliżowania* (11/47).
 — (tłumacz.) ob. Roditi (2/40-3/41).
 W.A.Z.: *Francuski Gombrowicz?* (7/45-8/46).
 — *Wspomnienia tłumacza* (7/45-8/46).
 WEINTRAUB Wiktor: *Na temat «Chłopów»* (2/40-3/41).
 W.K.: *Poezja polska w Chicago* (4/42).
 Z.: *Czarne gabinety* (7/45-8/46).
 — *Kultura perska* (11/49).
 — *Nieciekawa spowiedź* (7/45-8/46).
 — *Porachunki pétainistów* (10/48).
 — *Sobowtóry i duchy* (11/49).
 — *Tragedia Europy Wschodniej* (11/49).
 — *Wojna koreańska* (11/49).
 ZAMORSKI Kazimierz: *Katyn* (10/48).
 — *Literatura o Kołymie* (5/43).
 — *«Tyfus teraz słowiki»* (11/49).
 ZB.: *Komunizm autochtonów* (7/45-8/46).
 — *«Le Potache»* (7/45-8/46).
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Dyplomacja watykańska* (5/43).
 — *Staruszcza w pieluszkach* (2/40-3/41).
 — (tłumacz) ob. Lazitch (11/49).

Kronika kulturalna

- Ankieta: *Na jakie cele kulturalne obrócić fundusz Skar. Narodowego*: L. M. Borzęcki, W. Ostrowski, M. Wańkowicz (2/40-3/41).
 A.V.: *Wystawa mozaik z Rawenny* (7/45-8/46).
 CZAPSKA Maria: (tłumacz) ob. Halévy (12/50).
 CZ. J.: *Notatki z Kongresu Brukselskiego* (1/39).
 E. S.: *Dwie wystawy Corota* (7/45-8/46).
 HALÉVY Daniel: *Wystawa Józefa Czapskiego*, przeł. Maria Czap-ska (12/50).
 KORCZYŃSKI Aleksander: *Tłumacze polskiej literatury* (2/40-3/41, 11/49).
 KOWALEWSKI Janusz: *Felieton teatralny* (2/40-3/41).
 LONDYŃCZYK: *Szkoła Nauk Politycznych* (2/40-3/41).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Tym razem w obronie poetów* (12/50).
 MIŁOSZ Czesław: *List do Gombrowicza* (11/49).
 RADOSTOWA Andrzej: *Prośba do muzyków* (11/49).
 STEFANEK E.: *Tło Lautrec'a* (10/48).
 SZNARBACHOWSKI Włodzimierz: *Polskie Muzeum w Rzymie* (2/40-3/41).

- ŚWIECICKA J. A.: *Stulecie ustawy bibliotecznej w Anglii* (2/40-3/41).
 TERLECKI Tymon: *Shaw w Polsce* (10/48).
 TOKARSKI Jan: *Bernardyni w U.S.A.* (11/49).
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Laureat Nobla* (1/39).

Sprawy krajowe

- BIELATOWICZ Jan: *Granica* (2/40-3/41).
 BRZÓSKA Konstancy: *Jeszcze o polskiej strukturze rolnej* (2/40-3/41).
 — *Sytuacja gospodarcza Polski* (dok.) (1/39).
 CH. L.: *Kłopoty «sportowe» reżimu* (10/48).
 GRZYBOWICZ Stanisław: *Sens przemian gospodarczych w Polsce* (7/45-8/46).
 KAMIŃSKI J.: *Wzrost ludności w Polsce* (6/44).
 KOSTRZYŃSKI Witold: *Rozmowa z «pozytywistą» krajowym* (7/45-8/46).
 LANGROD Jerzy, Stefan: *Wspomnienie o Polskiej Akademii Umiejętności* (10/48).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Wołania o ratunek* (5/43).
 MIŁOSZ Czesław: *Do Antoniego Stonimskiego* (12/50).
 — *Nie* (5/43).
 RACZYŃSKI Edward: *Jeszcze o polskiej strukturze rolnej* (2/40-3/41).
 REDAKCJA: *Życie dystansuje Koestlera* (9/47).
 SOŁOWIJ Tadeusz: *Powstanie Warszawskie a problem odpowiedzialności* (10/48).
 S. V.: *Więści ze Lwowa* (12/48).
 STRZAŁKOWSKA Maria: *Dalsze nocne rodaków rozmowy* (4/42).
 SZYSZKOWSKI Wacław: *Autonomizm, reformizm i syndykalizm* (2/40-3/41).

Straty kultury polskiej

- CZAPSKA Maria: *Wacław Borowy* (2/40-3/41).
 DOŁĘGA Władysław i TOKARSKI J.: *Kardynał Sapieha* (9/47).
 DZIEWANOWSKI M. K.: *Zgon historyka wojen i wojskowości* (10/48).
 GRZYBOWICZ Stanisław: *Wspomnienie o Adamie Rose* (12/50).

Sprawy i troski

- CZAPSKA Maria: *Szkoły i dzieci* (12/50).
 FALK Wanda: *Rozmowa* (10/48).

- J. B.: *Kronika niemiecka* (4/42, 5/43, 7/45-8/46).
 — *«Z dna»* (2/40-3/41).
 KARBOWSKA J.: *W Buenos Aires* (4/42).
 KOŚCIAŁKOWSKI-ZYNDRA Wacław: *Z notatnika emigranta* (6/44).
 KRZEPISZ Kazimierz: *Bilans Skarbu Narodowego* (7/45-8/46).
 LERSKI Jerzy: *Kronika amerykańska* (7/45-8/46, 10/48).
 — *Stany Zjednoczone* (2/40-3/41).
 — *Symbioza* (12/50).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/39, 2/40-3/41, 4/42, 5/43, 6/44, 7/45-8/46, 10/48, 11/49, 12/50).
 MAŁECKI Zbigniew: *Notatki z podróży do Kanady* (11/49).
 OSTROWSKI Wiktor: *Genealogia Polonii Argentynskiej* (7/45-8/46).
 ULATOWSKI Jan: *Kronika francuska* (10/48).
 ZAST.: *Kronika niemiecka* (6/44, 11/49).
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Polonia belgijska* (2/40-3/41).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- KOESTLER Arthur: *«Szkola serca»*, przeł. Czesław Miłosz (9/47).
 RODITI Edouard: *Amerykański poeta kontemplacyjny*, przeł. Czesław Miłosz (4/42).
 — *Czyścić i piekło polityki*, przeł. Józef Ursyn (2/40-3/41).
 — *Listy ze Skandynawii*, przeł. W. A. Zbyszewski (6/44).
 SOUCZKOWA Milada: *Kryzys literatury czeskiej*, przeł. Czesław Miłosz (7/45-8/46).

Z języka białoruskiego

- ARSENIEWA Natalia: *Śpiewak*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Żyjj!*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 BAHDAŃOWICZ Maksim: *Maksym i Magdalena*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Pieśń emigrancka*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Pogoń*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 CHADYKA Władzimer: *✱*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 DUDZICKI Władzimer: *Oda*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 HENIJSZ Łarysa: *Do niezestanego*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 KOŁAS Jakub: *Symon Muzyka*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 KUPAŁA Janko: *✱*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 SIADNOW Masiej: *Ocean*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 SAŁAWIEJ Aleś: *Kruk*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).

- *Sonet*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 TANK Maksim: *Kamienie*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 — *Rubikon*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 ŻYŁKA Władzimer: *Naśladowanie Horacego*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).

Z języka francuskiego

- BERNIER Jean: *Rzeczywistość rosyjska w oczach Ciligi*, przeł. Zofia Hertz (2/40-3/41).
 HALEVY Daniel: *Wystawa Józefa Czapskiego*, przeł. Maria Czapska (12/50).
 LAZITCH Branko: *«Wojny seryjne»* R. Arona, przeł. W. A. Zbyszewski (11/49).

Z języka hiszpańskiego

- AROSARENA Marcelino: *Caridad*, przeł. J. Łobodowski (9/47).
 GUILLEN Nicolas: *Ballada o dwóch przodkach*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Ballada o upiorze*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Murzyński śpiew*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Nadejście*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Pieśń na bęben*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 MATOS Luis Palés: *Bombo*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 — *Niam-niam*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).
 MORA FERRATER José: *Filozofia, niepokój, odnowienie*, przeł. Józef Łobodowski (4/42).
 — *Wittgenstein — geniusz niszczycielski*, przeł. Józef Łobodowski (7/45-8/46).
 PEDROSO Regino: *Brat Murzyn*, przeł. J. Łobodowski (9/47).
 TALLET José Zacharias: *Rumba*, przeł. J. Łobodowski (9/47).
 VALDES Ildefonso Pereda: *Murzyńska gitara*, przeł. Józef Łobodowski (9/47).

Z języka niemieckiego

- OBERLAENDER Theodor: *Cele Europy*, przeł. Bogdan Kona-szewicz (2/40-3/41).

Z języka rosyjskiego

- N.N.: *Stalin i nowa koncepcja historii Rzymu*, przeł. Czesław Miłosz (12/50).
 REMIZOW A. M.: *Na katordze*, przeł. Józef Łobodowski (10/48).
 — *Szczurza porcja*, przeł. Józef Łobodowski (10/48).

Z języka ukraińskiego

- SZERECH Jurij: *Młódzież czwartego Charkowa*, przeł. Józef Łobodowski (1/39).

Listy do Redakcji

- BABIŃSKI Witold (9/47). CZAPSKI Emeryk (6/44). DITTMAR Jerzy (10/48). DROBNIAK Tadeusz (10/48). GAMM A. (4/42). GIERTYCH Jędrzej (2/40-3/41). GODZIŃSKI Konrad (11/49). GOMBROWICZ Witold (7/45-8/46). GONCZYŃSKI Franciszek (2/40-3/41). HOFFMAN Jakub (11/49). KĘDZIERSKI Jerzy Z. (2/40-3/41). KORCZYŃSKI Aleksander (2/40-3/41). «KRET», kpt. (10/48). LEVEQUE Marceli, ks. (1/39). MALENOWSKI-POBÓG Władysław (7/45-8/46, 10/48). MICHAŁOWSKI-SKARBEEK J. (10/48). MIEROSZEWSKI Juliusz (4/42). POGONOWSKI Leszek (9/47). PONIATOWSKI Józef (7/45-8/46). PONIŃSKI Alfred (7/45-8/46). PSTROKOŃSKI Stanisław (7/45-8/46). «SANDACZ», kpt. (10/48). «SIWY», mjr. (10/48). SOBOLEWSKI Tadeusz (2/40-3/41). SOKOLNICKI Michał (7/45-8/46). STROŃSKI Stanisław (6/44, 9/47). SZYMUSIAK J. M., ks. (1/39). WASILEWSKI Tadeusz (7/45-8/46). WASUNG Aleksander (11/49). WINCZAKIEWICZ Jan (9/47). WODZIŃSKI Cyryl (11/49). WSZELAKI Jan: (9/47). ZALESKI Wojciech (5/43). Z. K. (2/40-3/41).

Różne

- CHOMEŃCKI Jan: *List do Zespołu «Kultury»* (12/50).
Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za r. 1950 (1/39).
 ŁYSINA Jerzy: *Z ostatniej chwili* (1/39).
 MORDEGA Cyryl Doroteusz: *Z ostatniej chwili* (2/40-3/41).
Nasza odpowiedź (12/50).
Oświadczenie w sprawie nowej emigracji (12/50).
Résumé en langue française des principaux articles parus dans les numéros: 4/42, 5/43, 6/44, 7/45-8/46, 9/47, 10/48, 11/49, 12/50.

Noty biograficzne autorów

- BACZKOWSKI Wł. (2/40-3/41). BERNIER Jean (2/40-3/41). BREGMAN Aleksander (6/44). GOMBROWICZ Witold (10/48). GRZYBOWICZ Stanisław (7/45-8/46). HERTZ Aleksander (7/45-8/46). HOFFMAN Jakub (11/49). IWANIUK Wacław (6/44). JASIEŃCZYK Janusz (4/42). KAWAŁKOWSKI Aleksander (6/44). KOWALEWSKI-DOŁĘGA Jerzy (12/50). LANGROD Jerzy, Stefan (10/48). LERSKI Jerzy (12/50). LIBRACH Jan (5/43). ŁOBODOWSKI Józef (12/50). MACKIEWICZ Józef (6/44). MALI-
 NOWSKI-POBÓG Władysław (4/42). MIEROSZEWSKI Juliusz (5/43). MIŁOŚZ Czesław (5/43). MORA FERRATER José (4/42). NOWAKOWSKI Tadeusz (11/49). OBERLAENDER Theodor (2/40-3/41). PALESTER R. (7/45-8/46). RODITI Edouard (2/40-3/41). ROMER Tadeusz (4/42). SOKOLNICKI Michał (5/43). TARNAWSKI Wit (5/43). TERLECKI Tymon (10/48). TOKARSKI Jan (7/45-8/46). VINCENZ Stanisław (9/47). ZAMORSKI Kazimierz (11/49). ZBYSZEWSKI W. A. (6/44).

Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

Witold Gombrowicz, l'auteur de « Trans-Atlantyk », dont les fragments furent publiés par la « Kultura » N^{os} 43 et 44 sous le titre « Risum Teneatis » répond à tous ceux, qui « se sentirent offensés par le Trans-Atlantyk ».

L'auteur nous raconte, comme après plusieurs années de séjours en Argentine il fit la rencontre avec quelques de ses compatriotes, venus récemment de l'Europe. Dans la conversation qui s'engagea il ressentit toutes les notes fausses, dissonantes et discordantes que provoque l'ancien style de vie polonais, la façon polonaise de parler, réagir, plaisanter, de se prendre au sérieux et de s'apprécier et tout ceci, sur le lointain continent argentin lui parut suranné et révolu. Touché à vif par cette constatation il aurait voulu libérer ses compatriotes de leur style de vie suranné et faire faire que leur voix ait à nouveau un son vivant et authentique. L'auteur croit que les causes de cette catastrophe résident dans le désir des Polonais de maintenir à tout prix leur ancienne forme de vie, au lieu d'essayer d'en créer une nouvelle. Et la création d'une nouvelle forme pourra être entreprise seulement alors quand nous nous rendrons compte du fait que chaque forme en général nous est imposée... Le trait caractéristique de notre époque est constitué, d'après Gombrowicz, par cette « naissante méfiance vis-à-vis de la forme ». L'homme d'aujourd'hui doit avoir le sentiment qu'il est créé sans arrêt par d'autres hommes.

A. Hertz dans un essai intitulé « La culture américaine » analyse les causes de l'incompréhension mutuelle entre l'Europe et l'Amérique et tente de formuler les traits essentiels de la culture américaine en soulignant surtout son caractère régional, social et populaire.

Le numéro contient en outre la suite du récit de St. Vincenz intitulé « Syrojidy » et une nouvelle d'un remarquable écrivain polonais J. Mackiewicz.

La rubrique politique est consacrée cette fois-ci au problème de l'attitude négative du gouvernement de l'Allemagne occidentale à l'égard du paiement des indemnités aux anciens prisonniers des camps de concentration. Le côté financier de cette question n'étant pas d'une importance primordiale — il ne s'agit ici que d'une somme relativement peu élevée — c'est le côté moral qui revêt un caractère grave. Car le manque d'une solution quelconque à ce problème rend difficile toute collaboration entre Polonais et Allemands.

Dans la rubrique consacrée à l'histoire l'Ambassadeur Sokolnicki analyse les mémoires de J. Beck. A l'occasion du procès contre Gomulka, qui doit commencer prochainement à Varsovie, A. Burmeister nous apporte une série de détails inconnus et sensationnels concernant la liquidation par ordre de Staline du parti communiste polonais en 1937. Le procès contre Gomulka est le signe avant-coureur de grandes purges au sein du parti communiste polonais.

Le numéro contient en outre une riche chronique culturelle, des comptes rendus des livres ainsi qu'un index d'auteurs et d'ouvrages publiés par la « Kultura » en 1951.

Wydawca: Edition et Librairie "LIBELLA"
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1952

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IVe.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schöna, U.S. Zone
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83 Front St. E. Toronto/Ont; **Foreign Languages Advertising Co.**, 1523 Drummond, Montreal, Que.; **Stan. L. Opolski**, 880 Barton St. E., Hamilton/Ont. **Krystyna Krakowska**, 2290 Av. Marcl, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que; **Stanisław Zybała**, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bienkowski**, „Gryf Publ.”, 808 Wager Str., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetyński**, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **M. K. Dziewanowski**, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. Kretowicz**, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleśzczyński**, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; **M. Szyprowski**, 200 East 21 st., New York 10, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski**, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro. oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lau-sanne, Genève
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin
♦

Egz. poj.	Prenumerata	
	½ -roczna	Roczna
150 fr.	900 fr.	1800 fr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
250 lir	1500 lir	2500 lir
3 kr.	15 kor.	28 kor.
2,50 DM	15 DM	25 DM
8 peso	48 peso	96 peso
75 cent.	4 dol.	6 dol.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
15 cruz	90 cruz	150 cruz
2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

P. Jerzy PRADZYŃSKI został stałym korespondentem „KULTURY” w Berlinie. Adres: Jerzy PRADZYŃSKI, Berlin-Wilmersdorf, Rüdeshheimer Platz 1, telefon - 837711.



Przypominamy jednocześnie, że korespondentem londyńskim „Kultury” jest p. Juliusz Mieroszewski — 21, Fentiman Road, London SW 8, telefon REL. 41-33.

“ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BATTERSEA 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIETRZYŃSKI,
31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:
WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A :
WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-, rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:
WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IV^e,
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.
W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal
Joffre, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A : (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

GRYF PUBLICATION LTD,

169/171, Battersea Church Road, LONDON S.W.11

Cena 150 lrs.